

PIERS ANTHONY

VAR PAŁKI

Tom II cyklu Krąg Walki

1

Tyl, Mistrz Dwóch Broni, trwał przyczajony nocą na polu kukurydzy. Jedną pałkę trzymał w ręku, zaś drugą miał zatknietą za pas. Czekał już dwie godziny.

Był przystojnym mężczyzną, szczupłym, lecz muskularnym. Na jego twarzy widniał niezmienny grymas niezadowolenia — pozostałość po latach służby pod dowództwem, które mu nie odpowiadało. Imperium rozciągało się na przestrzeni tysiąca mil, a on był w nim drugi po Wodzu, zaś w większości codziennych spraw pierwszy. Rządził Imperium zgodnie z poleceniami Wodza oraz określał rangę i przydziały poszczególnych namiestników. Miał władzę, ale nie był zadowolony.

Wtem coś usłyszał. Od północy dobiegł go niewyraźny szelest. Tyl wstał ostrożnie. Wysokie rośliny osłaniały go przed wzrokiem intruza. Noc była bezksiężycowa. Zwierzę, na które czekał, nigdy nie wychodziło na oświetlony teren. Ciche dźwięki wskazywały, że intruz zbliża się do ogrodzenia. Wiatr wiał z północy. Gdyby niespodziewanie zmienił kierunek, stworzenie poczułoby zapach Tyla i spłoszyło się.

Po chwili nie było już wątpliwości. To było zwierzę, którego szukał. Wdrapało się na ogrodzenie ze sztachet, przelazło na drugą stronę i wylądowało w kukurydzy z cichym łoskotem. Przez chwilę czekało cicho, by sprawdzić, czy je odkryto. Sprytne zwierzę! Unikało pułapek, nie zwracało uwagi na trutki, a gdy je osaczono walczyło zaciekle. W ciągu ostatniego miesiąca trzech ludzi Tyla odniosło rany w nocnych starciach z nim. Już teraz szeptano, że zwierzę to pojawiło się za sprawą rzuconego na obóz uroku. Nawet doświadczeni wojownicy okazywali gorszący lęk przed ciemnością.

Tak więc załatwienie tej sprawy spadło na dowódcę. Tyl, znudzony szarą codziennością sprawowania rządów nad plemieniem nie prowadzącym wojny, był nadzwyczaj rad z tego wyzwania. Nie czuł lęku przed zjawiskami nadprzyrodzonymi. Miał zamiar schwytać zwierzę i pokazać je całemu plemieniu mówiąc:

— Oto duch, który uczynił tchórzy z nie dość odważnych mężczyzn!

Chciał je pojmać, nie zabić. Z tego powodu wziął ze sobą pałki, a nie miecz.

Ponownie usłyszał cichy odgłos. Stworzenie żerowało. Zrywało z kaczanów dojrzewające ziarna i zjadało je na miejscu. Oznaczało to, że nie było ono drapieżnikiem, gdyż ten nigdy nie tknąłby kukurydzy. Jednak nie mogło też być zwykłym roślinożercą, gdyż te zwierzęta nie zrywały, ani nie przeżuwały kaczanów w taki sposób. Ponadto ślady, które oglądano w świetle dnia po jego wizytach, nie przypominały śladów pozostawionych przez żadne znane zwierzę. Były szerokie i okrągłe, z odciskami czterech szerokich pazurów lub smukłych kopytek. Nie był to niedźwiedź, ani nic podobnego.

Nadszedł czas. Tyl ruszył w stronę intruza. W jednej ręce trzymał uniesioną pałkę, a drugą rozgarniał cicho łodygi kukurydzy. Wiedział, że nie zdoła podejść do stwora niezauważony, miał jednak nadzieję zbliżyć się na tyle, by móc zaskoczyć go nagłym atakiem. Wiedział, że nikt na świecie nie może się z nim mierzyć w walce na pałki. Jedyne zwierzę, które mógł go pokonać używając tej broni, już nie żył. Poszedł na Górę. Uzbrojony w pałki, Tyl nie lękał się niczego.

Skradając się z żalem wspomniawszy swą pierwszą porażkę. Cztery lata temu pokonał go Sol, Mistrz Wszystkich Broni — twórca Imperium i najlepszy wojownik od czasu Wybuchu. Sol wyruszył na podbój świata z Tylem jako swą prawą ręką. Zmierzała pewnie do tego celu, dopóki nie pojawił się Bezimienny. . .

Był już blisko. Nagle odgłosy żerowania ucichły. Stworzenie usłyszało go!

Tyl nie czekał, aż chytre zwierzę się namyśli. Rzucił się na nie, nie zważając na łany kukurydzy, które łamał i tratował w szalonym pędzie. Wyciągnął teraz drugą pałkę i biegnąc rozgarniał nimi łodygi.

Stworzenie poderwało się. Tyl ujrzał owłosiony garb przemykający w ciemności i usłyszał dziwaczne chrząknięcie. Przez chwilę korciło go, by użyć latarki, jednak jego oczy przywykły już do ciemności, a nagły blask groził krótkotrwałym oślepieniem. Zwierzę dotarło już do ogrodzenia, lecz płot był mocny i wysoki, i Tyl wiedział, że zdąży je dopaść zanim przejdzie na drugą stronę.

Ono również to zrozumiało. Oparte plecami o sztachety stawiało mu czoła, oddychając chrapliwie. Tyl ujrzał niewyraźny blask oczu i mglisty zarys ciała. Uderzył obiema pałkami, pragnąc zadać szybki, ogłuszający cios w głowę.

Stworzenie jednak uniknęło trafienia z zadziwiającą zwinnością. Zanurkowało w dół i przechodząc w ciemności pod jego gardą zatopiło zęby w kolanie Tyla. Wojownik uderzył je pałką w głowę, raz i drugi. Puściło go. Rana nie była poważna, gdyż pysk stworzenia nie był wystający, a zęby tępe, lecz kolano Tyla pokrywała wrażliwa blizna — pamiątka po ciosie Bezimiennego, który uszkodził je w zeszłym roku.

Fakt, że zaniedbał obronę, rozgniewał Tyla. Nic nie powinno przedostać się w ten sposób przez jego zastawę, w dzień czy w nocy!

Zwierzę cofnęło się warcząc. Tyla przeszył dreszcz pod wpływem tego dźwięku. Żaden wilk, ani dziki kot nie wydawał równie posępnego głosu. Teraz, gdy pokosztował krwi, w skowycie stwora słychać było nie tylko wyzwanie, lecz również głód.

Zwierzę potężnym susem rzuciło się na wojownika usiłując przegryźć mu gardło. Tyl przewidział to i zadał cios między oczy, lecz przeciwnik po raz drugi uprzedził jego zamiar przygarbiając się tak, że pałka omsknęła się po boku głowy. Za moment Tyl uderzony łbem w pierś przewrócił się na ziemię. Przednie pazury stwora przejechały mu po szyi, zaś tylne próbowały sięgnąć pachwiny.

Tyl, przerażony dzikością napastnika, odparł ten atak zadawanymi na oślepię ciosami. Zwierzę znów odskoczyło od niego. Zanim jednak zdążył wstać, ono wdrapywało się już na ogrodzenie. Wojownik pokuśtykał za nim, lecz nie zdążył.

Zaklął głośno, rozwścieczony porażką. Jednak oprócz gniewu Tyl poczuł podziw. To on wybrał miejsce walki, lecz mimo to intruz zdołał mu ujść. Po namyśle postanowił wykorzystać tę sytuację i to lepiej niż planował poprzednio...

* * *

Stworzenie skoczyło na ziemię na zewnątrz ogrodzenia i pognało do lasu. Stara rana otwarta na nowo przez ciosy napastnika krwawiła. Zwierzę utykało lekko. Posuwało się jednak szybko naprzód. Okryte zrogowaciałymi paznokciami palce stóp łatwo znajdowały punkty oparcia w leśnej darni.

Było ono inteligentne. Przyjrzało się Tyłowi wyraźnie i zapamiętało jego zapach. Jedynie silny głód stępił jego czujność zanim doszło do starcia. Zwierzę szybko zorientowało się, że pałki to broń i unikało ciosów, lecz niektóre z nich osiągnęły cel, sprawiając mu duży ból. Zastanawiało się nad tym, biegnąc w stronę Złego Kraju. Lu-

dzie coraz bardziej starali się utrudnić mu dostęp do swych pól. Czaili się teraz na nie, urządzali zasadzki, atakowali je i ścigali. Ta ostatnia próba, była bardzo niebezpieczna. Gdyby nie głód, najlepiej byłoby całkowicie omijać tę okolicę. Skoro jednak nie było to możliwe, trzeba będzie wynaleźć lepszą ochronę.

Zwierzę weszło na teren Złego Kraju, gdzie żaden człowiek nie mógł go ścigać i przystanąło, by wyrównać dech. Podniosło z ziemi gałąź, zaciskając na niej swe krótkie, grube palce. Jego przedramię było żylaste, zaś pazury szerokie i płaskie — niezbyt przydatne jako broń, stanowiły raczej osłonę palców pokrytych zgrubiałą skórą. Zwierzę machało kijem w różne strony, starając się uchwycić go wygodnie i naśladowując ruchy człowieka z pola kukurydzy. Wtem uderzyło o drzewo. Spodobał mu się wywołany tym hałas, więc uderzyło mocniej i spróchniała gałąź pękła, odsłaniając ogłuszoną larwę. Stworzenie szybko chwyciło ją i miażdżyło między palcami, oblizując ze smakiem tryskający sok. Zapomniało o złamanej gałęzi, ale czegoś się nauczyło.

Następnym razem, gdy pójdzie na żer, weźmie ze sobą pałkę!

2

Wódz Imperium zamyślił się na raporcie Tyla. Mistrz Dwóch Broni nie napisał listu własnoręcznie, gdyż podobnie jak większość koczowników był analfabetą. Zapewne zrobiła to żona Tyla, która znała dobrze sztukę pisania.

Wódz umiał czytać i pisać oraz rozumiał płynące z tego korzyści, lecz nie zachęcał nikogo do nauki czytania i rachunków. Wiedział również, jakie bogactwa przynosiło rolnictwo, ale nie zajmował się problemami rolników. Nie robił nic. Z rozmysłem dopuścił do tego, że Imperium ogarnęły bezwład i stagnacja. Wódz chciał, aby ten stan się pogłębiał.

Wiadomość, ujęta w słowach pełnych szacunku, stanowiła w istocie sprytnie sformułowane wyzwanie rzucone jego władzy. Tyl był człowiekiem czynu. Z niecierpliwością oczekiwał wznowienia podbojów. Chciał albo zmusić Wodza do akcji, albo też pozbawić go władzy tak, aby nowe przywództwo przyniosło zmianę aktualnego stanu rzeczy. Ponieważ Tyl związany był z Wodzem osobiście, nie mógł uczynić nic bezpośrednio. Nie występowałby też przeciwko człowiekowi, który pokonał go w Kręgu. To nie była kwestia tchórzostwa, lecz honoru.

Jeśli jednak Wódz nie zechce zająć się tym tajemniczym niebezpieczeństwem zagrażającym plonom, będzie to oznaką słabości lub zdradą Imperium. Rolnictwo stanowiło podstawę jego ekonomii. Koczownicy nie mogli polegać tylko na szczodrości Odmieńców. Jeśli Wódz nic nie zrobi, wywoła to niezadowolenie, które mogło doprowadzić do powołania nowego władcy. Zanim jednak do tego by doszło, czekał Wodza niekończący się ciąg pojedynków w Kręgu z mnożącymi się niczym króliki pretendencjami do władzy. Któryś z nich w końcu mógłby zwyciężyć. Nie! Należało zacząć działać. Inaczej nie da się utrzymać Imperium w bezruchu. . .

Nie pozostało mu nic innego, jak odpowiedzieć na to zręcznie rzucone wyzwanie. Mógł być pewien, że zadanie nie będzie łatwe. Dzikie zwierzę opisane w raporcie zraniło samego Tyla i uciekło. Oznaczało to, że żaden wojownik oprócz Wodza nie zdoła go poskromić.

Mógł oczywiście zorganizować wielkie polowanie, lecz byłoby to pogwałceniem zasad pojedynku, czego się nie robiło, nawet gdy w grę wchodziło zwierzę. W gruncie rzeczy byłby to kolejny dowód jego tchórzostwa.

Było więc konieczne, aby Wódz zmierzył się z tym stworem osobiście. Tego właśnie chciał Tyl, gdyż niepowodzenie z pewnością zaszkodziłoby autorytetowi Bezimiennego. Wodzowi nie podobało się, że Tyl tak nim manipulował, lecz inne rozwiązania byłyby gorsze, zaś on osobiście podziwiał zręczność, z jaką Tyl to obmyślił. Wódz uznał, że Tyl będzie cennym sojusznikiem, gdy pewne okoliczności ulegną zmianie.

Bezimienny, Wojownik bez Broni, Wódz Imperium opuścił zatem żonę, którą odebrał poprzedniemu Wodzowi, pozostawił codzienne sprawy w rękach namiestników, po czym wyruszył samotnie i pieszo do obozu Tyla. Swe przerośnięte potężne ciało szczelnie okrył płaszczem, lecz wszyscy, którzy go widzieli, poznawali go i pozdrawiali z lę-

kiem. Włosy Wodza były białe, a oblicze brzydkie, lecz żaden mężczyzna nie mógł się mierzyć z nim w Kręgu.

Po piętnastu dniach przybył na miejsce. Młody wojownik z żelaznym drągiem, który nigdy nie widział Wodza, zatrzymał go na skraju obozu. Bezimienny wziął w ręce jego drąg, zawiązał na nim supeł i oddał go właścicielowi.

— Pokaż to Tyłowi, Mistrzowi Dwóch Broni — rozkazał.

Tyl przybył pośpiesznie, otoczony świtą i odesłał strażnika do pracy w polu razem z kobietami, by go ukarać za to, że nie rozpoznał przybysza. Bezimienny jednak sprzeciwił się temu:

— Miał rację, że mnie zatrzymał, skoro nie wiedział kim jestem. Niech ukarze go ten, kto potrafi wyprostować jego broń. Nikt inny.

W ten sposób strażnik nie został ukarany, gdyż tylko kowal, w kuźni i po rozpaleniu pręta do czerwoności, zdołał go wyprostować. Nigdy więcej nie zdarzyło się jednak, by któryś z wojowników w tym obozie nie rozpoznał Bezimiennego.

Następnego ranka Wódz wziął łuk i długi sznur, gdyż były to bronie nie używane w Kręgu, po czym wyruszył na poszukiwanie intruza. Zabrał psa oraz plecak z żywno-

ścią na tydzień, nie chciał jednak zgodzić się na towarzystwo żadnego innego mężczyzny.

— Przeprowadzę to stworzenie ze sobą — oznajmił.

Tyl nic na to nie odpowiedział.

Trop zaczynał się na polach kukurydzy i gryki, przebiegał obok brzoź rosnących na krawędzi lasu i zmierzał ku kurczącemu się obszarowi miejscowego Złego Kraju. Wódz zauważył oznaczenia, które Odmieńcy ustawiali i od czasu do czasu przesuwali z miejsca na miejsce. Bezimienny, w przeciwieństwie do większości ludzi, nie odczuwał przesądnego strachu. Wiedział, że to promieniowanie czyniło te okolice siedliskami śmierci. Żyły tam Rentgeny — niewidzialne i złe istoty, narodzone w legendarnym Wybuchu, które starożytni nazywali „jednostkami promieniowania”. Z każdym rankiem było ich jednak coraz mniej i na obszary na rubieżach Złego Kraju zaczynało wracać życie. Rośliny i zwierzęta stopniowo odzyskiwały stracony teren. Wódz wiedział, że tak długo, dopóki otaczające go formy życia są zdrowe, nie grozi mu niebezpieczeństwo ze strony Rentgenów.

Na rubieżach istniały jednak i inne niebezpieczeństwa. Maleńkie ryjówki wyrajały się od czasu do czasu, zjadając wszystko co żywe na swej drodze, a gdy nie miały już nic innego, pożerały siebie nawzajem. Nocą pojawiały się wielkie, białe ćmy o śmiercionośnych żądłach. Ponadto przy ogniskach opowiadano sobie niesamowite historie o niezwykłych, nawiedzonych budynkach, pancernych kościach i żyjących maszynach. Wódz nie wierzył w większość z nich i poszukiwał zawsze rozumnego wyjaśnienia dla tych, w które wierzył, jednak zdawał sobie sprawę, że Zły Kraj jest niebezpieczny i wkraczał na jego teren zachowując dużą ostrożność.

Ślady omijały środek radioaktywnego obszaru, nie oddalając się o więcej niż około milę od granicy wytyczonej przez Odmieńców. To powiedziało Wodzowi coś ważnego, a mianowicie, że stworzenie, które ścigał, nie było nadprzyrodzonym duchem wywodzącym się z ponurej głębi Złego Kraju, lecz zwierzęciem z rubieży, wystrzegającym się promieniowania. Znaczyło to również, że będzie mógł je doścignąć.

Przez dwa dni Wódz podążał śladem wskazywanym przez psa. Aby oszczędzać zapasy w plecaku, od czasu do czasu polował na króliki. Spał na otwartym terenie, zakrywając się szczelnie. Było późne lato i wystarczał mu ciepły śpiwór — produkt Odmień-

ców. W razie czego miał w plecaku zapasowy. Wędrówka wydawała mu się przyjemna, nie przyśpieszał więc kroku.

Wieczorem drugiego dnia znalazł zwierzę. Pies pobiegł naprzód ujadając, lecz nagle zaskowyczał i zawrócił przestraszony.

Stworzenie stało na dwóch nogach, zgarbione, pod wielkim dębem. Miało około czterech stóp wzrostu. Długie, zmierzwione włosy opadały z głowy osłaniając twarz i ramiona. Z barków sterczały mu kępy kosmatej sierści. Jego skóra, widoczna w niektórych miejscach głowy, kończyn i tułowia, miała kolor szary w żółte cętki i była pokryta zaskorupiałym brudem.

Nie było to jednak zwierzę, lecz chłopiec. Mutant.

Zrobił sobie prymitywną maczugę. Sprawiał wrażenie, jakby chciał zaatakować swego prześladowcę, lecz same rozmiary Wodza wystarczyły, by go zniechęcić. Chłopiec odwrócił się i uciekł, biegnąc na czubkach palców swych zniekształconych stóp.

Bezimienny rozbił w tym miejscu obóz. Już wcześniej podejrzewał, że intruz jest człowiekiem, gdyż żadne zwierzę nie posiadało takiej inteligencji, jaką wykazał się ten rabuś. Teraz jednak, gdy potwierdził swe podejrzenia, musiał się zastanowić nad dal-

szym postępowaniem. Nie mógł zabić chłopca, gdyby zaś wziął go do niewoli, rozgniewani koczownicy zapragnęliby zemsty. Musiał jednak uczynić jedno albo drugie, gdyż w grę wchodził jego honor.

Zastanowił się nad tym powoli i intensywnie. Postanowił, że zabierze chłopca do własnego obozu, gdzie stanie się on pełnoprawnym wojownikiem. Będzie to jednak wymagało miesięcy, może lat starannej opieki.

Zaczęły pojawiać się białe ćmy. Wódz nakrył głowę siatką, zamknął szczelnie śpiwór i położył się spać. Nie znał żadnego skutecznego sposobu na ochronienie psa, gdyż zwierzę nie zrozumiałoby konieczności zamknięcia w zapasowym śpiworze. Wódz miał tylko nadzieję, że pies nie spróbuje złapać ćmy zębami, co skończyłoby się użądleniem. Był też ciekaw, w jaki sposób chłopiec zdołał przeżyć w tej okolicy. Pomyślał o Soli — dziewczynie, którą kiedyś kochał, teraz już jego żonie, którą udawał, że kocha. Wspomniawszy Solę, przyjaciela, którego wysłał na Górę. Oddałby całe Imperium za to tylko, by móc znowu być z tym człowiekiem i rozmawiać z nim, i nie mierzyć się z nim w Kręgu. Pomyślał też o kobiecie z Helikonu, swej prawdziwej żonie, którą naprawdę kochał

i której nigdy już nie miał ujrzeć. Te myśli, wielkie i małe, przyniosły mu cierpienie. Wreszcie zasnął.

Rankiem pościg zaczął się ponownie. Pies czuł się dobrze. Wyglądało na to, że ómy nie atakują nie zaczepiane. Być może ginęły, gdy wypuściły z siebie jad, podobnie jak pszczoły. Zapewne człowiek mógł być bezpieczny, jeśli tylko traktował je z szacunkiem. To mogło wyjaśniać fakt przeżycia chłopca.

Trop prowadził w głąb Złego Kraju. Teraz się przekonają, kto ma więcej odwagi i determinacji; ścigający czy ścigany.

Chłopiec najwyraźniej przebywał w tej okolicy już od dłuższego czasu. Gdyby było tu śmiercionośne promieniowanie powinien był już umrzeć. W każdym razie Wódz miał nadzieję wytrzymać tyle samo, co on. Jeśli więc chłopiec sądził, że ucieknie przed nim kryjąc się na najniebezpieczniejszym obszarze, spotka go rozczarowanie.

Tym niemniej Wódz nie mógł w pełni zapanować nad lękiem, gdy ślad zaprowadził go do okolicy pełnej skarłowaciałych i zdeformowanych drzew. Z pewnością były to skutki promieniowania. Ponadto było tu niewiele zwierzyny, co spowodowały zapewne

inwazję ryjówek. Jeśli nawet w tej chwili nie było tu promieniowania, musiało ono zniknąć całkiem niedawno.

Ponownie zbliżył się do chłopca. W pełnym słońcu przygarbiona postawa jego ciała była lepiej widoczna, a cętki na skórze bardziej rzucały się w oczy. Osobliwy był sposób, w jaki biegł; pięty uniesione wysoko, a kolana zgięte tak, że nigdy nie dotykał ziemi całymi stopami. Od czasu do czasu opuszczał ręce, by się nimi podeprzeć. Sprawiało to niesamowite wrażenie. Czy ten chłopiec kiedykolwiek mieszkał w ludzkim domu?

— Chodź! — zawołał Bezimienny. — Poddaj się, a daruję ci życie i dam jeść!

Tak jak się spodziewał, ścigany nie zwrócił na to uwagi. Zapewne ten mieszkaniec dziczy nigdy nie nauczył się mówić.

Chore drzewa stały się krzewami o korze pokrytej strupami i pęknięciami, z których sączył się sok. Ich liście były wiotkie i asymetryczne. Dalej z wypalanej ziemi sterczały tylko wyschnięte, groteskowo powyginane patyki. Wreszcie wszelkie życie zniknęło, pozostawiając jedynie zaskorupałe popioły i zielonkawę szkliwo. Pies zaskomlał przeżony martwym, nagim krajobrazem. Wódz też miał ochotę zaskomleć. Wyglądało to groźnie i ponuro.

Chłopiec jednak wciąż biegł naprzód, okrążając niewidzialne przeszkody. W pierwszej chwili Bezimienny myślał, że jest to podstęp mający na celu zabicie z tropu ścigającego. Potem, gdy zauważył, że chłopiec nie próbuje wcale ukrywać swych manewrów, zaczął podejrzewać obłąd. Promieniowanie faktycznie mogło niekiedy doprowadzić do szaleństwa, zanim spowodowało śmierć. Wreszcie Wódz zdał sobie sprawę, że chłopiec naprawdę omija gniazda Rentgenów. W jakiś sposób potrafił on wyczuć, gdzie żyły te stwory.

To była naprawdę niebezpieczna okolica! Bezimienny podążał dokładnie śladem chłopca, trzymając psa przy nodze. Wiedział, że skrótymy naraziłyby go na niewidzialne rany. Narażał swe zdrowie i życie, lecz nie zamierzał się poddać.

— Może się wstydzisz, że jesteś taki brzydki? — zawołał. Zrzucił płaszcz, ukazując masywny, pokryty bliznami tułów i szyję obrośniętą skostniałą chrząstką tak, że przypominała pień starej brzozy. — Nie jesteś brzydszy ode mnie!

Chłopiec jednak uciekał dalej.

Nagle Wódz zatrzymał się, gdyż ujrzał przed sobą budynek.

W świecie koczowników budowle były rzadkością. Zнали oni gospody obsługiwane przez Odmieńców, gdzie wędrowni wojownicy i ich rodziny mogli się zatrzymywać na noc, czy na kilka tygodni, bez żadnych zobowiązań poza tym, by zachowywać się wewnątrz z należytą uprzejmością. Istniały też domy, w których mieszkali sami Odmieńcy, oraz budynki ich szkół i urzędów, a także skryte pod ziemią labirynty i hale, gdzie produkowano broń i ubrania używane przez koczowników. O tym jednak wiedzieli tylko Odmieńcy i sam Wódz. Cały kraj pokrywały pola, lasy i paprocie. Wypalił go Wybuch, który zniszczył zdumiewającą, wojowniczą kulturę starożytnych. W ślad za ustępującym promieniowaniem i ginącymi Rentgenami wróciła puszcza, żywa i czysta.

Budynek przed nim był olbrzymi i zdeformowany. Naliczył w nim siedem oddzielnych poziomów ułożonych warstwami jeden na drugim. Ponad ostatnim piętrem sterczały metalowe pręty, jak żebra martwej krowy. Z tyłu wznosiła się druga, podobna budowla, a za nią trzecia i następne.

Przyjrzał się im zdumiony. Czytał o czymś takim w starych książkach, lecz był przekonany, że są to legendy. Przed nim znajdowało się jednak „miasto”.

Jak twierdziły książki, przed Wybuchem ludzkość, która była niewiarygodnie liczna i potężna, mieszkała w miastach, gdzie istniały wszelkie wyobrażalne i niewyobrażalne wygody. I nagle ci żyjący w bajecznym dobrobycie ludzie zniszczyli to wszystko w deszczu ognia i uderzeniu niemożliwego do zniesienia promieniowania, pozostawiając tylko rozproszonych koczowników, Odmieńców, mieszkańców Podziemia oraz rozległe Złe Kraje.

Wódz mógł wskazać tysiąc logicznych sprzeczności w tej bajce. Po pierwsze było jasne, że żadna kultura, która osiągnęła to, co opisywano, nie mogłaby jednocześnie być tak prymitywna, by bezmyślnie zniszczyć to wszystko. Poza tym całkowicie odmienna społeczność koczowników nie mogła pojawić się z niczego w pełni ukształtowana. Był jednak pewien, że ostateczne rozwiązanie zagadki kryło się gdzieś w Złych Krajach, gdyż samo ich istnienie zdawało się potwierdzać, że Wybuch miał miejsce naprawdę, niezależnie od tego, jaki był jego prawdziwy powód.

Teraz, co zdumiewające, Zły Kraj był gotów odsłonić przed nim niektóre ze swych tajemnic. W ciągu stulecia, które upłynęło od kataklizmu, żaden człowiek nie zdołał zapuścić się tak głęboko na tereny Rentgenów i wrócić żywy. Zakazane obszary stawały

się jednak coraz mniejsze. Wódz wiedział, że nadejdzie czas, choć nie za jego życia, gdy całe to terytorium będzie ponownie dostępne dla ludzi. Ogarnęła go gorączka odkrywcy. Pragnął poznać prawdę tak bardzo, że zapomniał o Rentgenach.

Ślady chłopca wyraźnie odciskały się na ziemi, rozmiękczonej przez niedawny deszcz. W tym miejscu ciemne szklivo popękało już i zniknęło. Wzdłuż ścieżki rosły kielki bladej trawy. W Złym Kraju nic, nawet promieniowanie, nie było niezmiennie.

Chłopiec skrył się w budynku. Większość koczowników czuła lęk przed zabudowaniami, niezależnie od ich rozmiarów, i unikała nawet niewielkich budynków wznoszonych przez Odmieńców. Wódz jednak odbył wiele podróży i poznał więcej świata niż ktokolwiek inny, i wiedział, że wielka budowla nie jest niczym nadprzyrodzonym. Mogły w niej czyhać niebezpieczeństwa, miały one jednak charakter naturalny; spadające belki, głębokie doły, promieniowanie, czy oszalałe zwierzęta, ale nie było tu żadnych demonów.

Tym niemniej jednak zawahał się, zanim wszedł do starożytnej budowli. W środku łatwo było wpaść w pułapkę. Być może przebiegły chłopiec zaplanował coś w tym rodzaju. Wódz wiedział, że jego przeciwnik wykopywał już wilcze doły na nieostrożnych

naganiaczy, wygrzebując ziemię rękami i paznokciami, i starannie je maskując. To była jedna z rzeczy, których najwyraźniej nauczył się od swych prześladowców.

Wódz rozejrzał się wokół. W otworach okien tkwiły kawałki suchego drewna. Większość z nich była spróchniała, lecz nie wszystkie. Wewnątrz z pewnością znajdowało się więcej drewna. Można je było podpalić i w ten sposób wykurzyć chłopca z budynku. Wydawało się, że jest to najbezpieczniejszy sposób.

Z drugiej strony mogły się tu znajdować bezcenne przedmioty — maszyny, książki i różne towary. Czy miał to wszystko tak po prostu zniszczyć? Lepiej zachować budynek nietknięty i przysłać tu później ludzi, którzy by go dokładnie zbadali.

Podjąwszy decyzję, Wódz wszedł przez największe wrota i przystąpił do ostatecznych poszukiwań. Pies skomlał i trzymał się tak blisko nogi, że trudno było się o niego nie potknąć, lecz nadal wyczuwał trop.

Kamienne stopnie prowadziły w dół korytarzem o imponującej, choć całkowicie zbędnej szerokości. Tędy uciekał chłopiec. Jego trop był tak wyraźny, że aż wydawało się to podejrzane. Jeżeli jednak poza tymi schodami nie było drugiego wyjścia, chłopiec musiał czekać na dole.

Wódz pomyślał, czy nie byłoby mądrzej sprawdzić najpierw wyższe piętra. Chłopiec mógł prowadzić go w śmiertelną pułapkę, podczas gdy jego prawdziwa kryjówka mogła być na górze. Bezimienny po zastanowieniu zrezygnował z tego zamiaru. Należało trzymać się jak najbliżej uciekiniera, gdyż w przeciwnym razie ryzyko natknięcia się na promieniowanie było zbyt wielkie. Gdyby przewidział, że ten pościg zakończy się tak daleko w głębi Złego Kraju, postaraliby się zdobyć od Odmieńców licznik Geigera. Nie mając zaś tykającej skrzynki, Wódz musiał postępować z rozwagą. Nagły atak ze strony chłopca był o wiele mniejszą groźbą niż promieniowanie, które mogło się czaić po obu stronach jego śladów.

Gdy Bezimienny zbliżył się do ostatniej izby, coś z niej wyleciało. Chłopiec, który nie miał już gdzie uciekać, zaczął rzucać w swojego prześladowcę wszystkim, co miał pod ręką.

Wódz przystanął, by przyjrzeć się temu, co upadło u jego stóp. Przykucnął i podniósł to, nie spuszczać z oczu wejścia do pokoju, w którym ukrył się chłopiec. Powoli obrócił przedmiot w dłoniach.

Zrobiono go ze stali, nie był on jednak puszką ani narzędziem. Była to broń, choć nie miecz, drag, czy sztylet. Jeden koniec był lity i zakrzywiony prostopadle do reszty, zaś drugi pusty w środku. Przedmiot był dosyć ciężki. Dołączono do niego kilka mniejszych mechanizmów.

Ręce Wodza zadrżały, gdy go rozpoznał. Tę rzecz wiele razy opisywano w książkach. To był wytwór dawnych czasów. Pistolet.

3

Chłopiec usiadł okrakiem na skrzynkach i przygotował się do rzutu następnym metalowym kamieniem. Olbrzymi mężczyzna i oswojone zwierzę zapędzili go w ślepią uliczkę. Nikt jeszcze nie ścigał go z taką zawziętością. Nigdy dotąd nie musiał też bronić własnego legowiska. Gdyby to przewidział, ukryłby się gdzie indziej.

Było tu jednak wiele miejsc, które parzyły jego skórę, zmuszając go do odwrotu! Ten budynek był jedynym, w którym był całkowicie bezpieczny.

Olbrzym ponownie pojawił się w drzwiach. Chłopiec cisnął w niego swym kamieniem i schylił się po następny. Jednak mężczyzna odskoczył w bok tak, że pocisk ześli-

znał się po jego udzie i rzucił przed siebie sznurem. Chłopiec zaplątał się. Po chwili był całkowicie bezradny. Sznur wyginał się, zaciskał i szarpał, jak gdyby był żywą istotą.

Mężczyzna związał go i przerzucił sobie przez potężne ramię, po czym wyniósł go z pokoju i z budynku. Jego siła była przerażająca. Chłopiec wiał się. Spróbował gryźć, lecz zęby napotykały ciało twarde niczym wyschnięte drewno.

Skóra piekła go, gdy mężczyzna przechodził przez parzący teren. Czyżby ten potwór był odporny również na to? Podczas pościgu przeszedł przez kilka podobnych miejsc, które chłopiec starannie omijał. Jak można było walczyć z taką siłą?

W lesie mężczyzna postawił go na ziemi i poluzował więzy. Wydawał przy tym ludzkie odgłosy, które coś chłopcu przypominały. Jednak gdy tylko został uwolniony, natychmiast rzucił się do ucieczki.

Sznur pofrunął w powietrzu niczym atakujący wąż, owinał go w pasie i przyciągnął z powrotem. Znowu był więźniem.

— Nie — powiedział mężczyzna. Ten dźwięk był oczywistym zakazem.

Olbrzym ponownie zdjął sznur i chłopiec znów pognał naprzód, lecz po raz drugi został złapany na lasso.

— Nie! — powtórzył mężczyzna. Tym razem jego wielka ręka zadała cios, który, jak się chłopcu zdawało, omal nie wybił mu dziury w piersiach. Padł na ziemię, niezdolny myśleć o niczym poza bólem i potrzebą zaczerpnięcia tchu.

Po raz trzeci mężczyzna rozwiązał sznur. Tym razem chłopiec pozostał na miejscu. Lekcje tego rodzaju były łatwe do zapamiętania.

Wyruszyli w kierunku ludzkiego obozu. Chłopiec szedł przodem, lecz mężczyzna nigdy nie spuszczał go z oczu. Unikał płam gorąca, a olbrzym i zwierzę podążali za nim. Wieczorem dotarli do miejsca, gdzie spotkali się poprzedniego dnia.

Mężczyzna otworzył plecak i wydobyl stamtąd kawały przyjemnie pachnącej substancji. Odgryzł kawałek, przeżuując go ze smakiem, po czym podał chłopcu drugą porcję. Nie musiał powtarzać zaproszenia. To było jedzenie.

Po posiłku mężczyzna oddał mocz pod drzewem i ponownie zasłonił swe ciało. Chłopiec podążał za jego przykładem, naśladowując nawet jego pionową postawę. Dawno już nauczył się panować nad procesem wydalania, gdyż nieostrożnie pozostawione ślady mogły być przeszkodą w polowaniu, nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, by kierować strumieniem moczu za pomocą ręki.

— Tutaj — powiedział mężczyzna. Delikatnie rzucił chłopca na ziemię i wepchnął nogami naprzód do kłępującego worka. Chłopiec opierał się, gdy siatka zakryła mu głowę.

— Zostań tu na noc, albo... — potężna pięść opadła i stuknęła go lekko w stłuczoną klatkę piersiową. Kolejne ostrzeżenie.

Mężczyzna oddalił się i wlaź do drugiego worka. Pies ułożył się pod drzewem.

Chłopiec leżał bez ruchu. Pragnął uciec, obawiał się jednak gorącego obszaru, przez który musiałby przebiec. Dobrze widział w ciemności i zwykle żerował po zmierzchu, ale to było złe miejsce. Kiedyś użądliła go tutaj biała ćma i omal nie zginął. Można ich było uniknąć, lecz nigdy z całkowitą pewnością, gdyż kryły się pod liśćmi, a czasem siedziały na ziemi. Tu, pod siatką, był bezpieczny.

Jeśli jednak nie ucieknie nocą, w dzień nie będzie miał żadnej szansy. Sznur był zbyt szybki i zręczny, a olbrzym zbyt silny.

Usłyszał, że mężczyzna zasnął. Zdecydował się. Usiadł i zaczął wygrzebywać się na zewnątrz.

Mężczyzna obudził się przy pierwszym szeleście.

— Nie! — zawołał.

Byłoby ryzykowne sprzeciwić się olbrzymowi, który mógł go i tak doścignąć ponownie. Zrezygowany chłopiec położył się z powrotem i zasnął.

Rankiem zjedli kolejny posiłek. Dotychczas rzadko kiedy udawało się chłopcu najeść dwa razy w tak krótkim odstępie czasu. Postanowił polubić ten stan rzeczy.

Mężczyzna zaprowadził go do strumienia i umył ich obu. Wysmarował maścią ze swego plecaka liczne siniaki i zadrapania na ciele chłopca i zastąpił niewyprawione zwierzęce skóry zbyt dużą koszulą i pantalonami. Po tych przerażających zabiegach ponownie ruszyli w kierunku obozu ludzi.

Chłopiec niespokojnie poruszył ramionami. Okropne ubranie łaskotało go w dziwny sposób. Ponownie pomyślał o ucieczce, zanim wyjdą poza znane mu tereny, lecz ostrzegawcze chrząknięcie olbrzyma sprawiło, że zmienił zdanie. W gruncie rzeczy mężczyzna, mimo dziwnaczego sposobu ubierania się i oddawania moczu, nie traktował go brutalnie. Nie karał go bez powodu, a nawet okazywał mu dobroć.

Około środka dnia mężczyzna zwolnił kroku. Mimo swych potężnych mięśni i wytrzymałości wydawał się zmęczony i śpiący. Chwiał się na nogach. Nagle zatrzymał się

i zwymiotował całe śniadanie. Chłopiec zastanowił się, czy nie jest to aby jakiś ważny ludzki rytuał. Mężczyzna usiadł na ziemi. Wyglądał dziwnie.

Chłopiec obserwował go przez pewien czas. Gdy mężczyzna się nie podniósł, zaczął się od niego oddalać. Olbrzym go nie zatrzymał. Chłopiec pognął szybko z powrotem tą samą drogą, którą przyszli. Był wolny!

Po przebyciu około mili zatrzymał się i zrzucił z siebie niewygodne, ludzkie ubranie. Nagle przystanął. Wiedział już, co się stało z olbrzymem. Wcale nie był on odporny na parzące miejsca. Po prostu o nich nie wiedział i lekkomyślnie naraził się na niebezpieczeństwo. Teraz zaczęła się u niego choroba.

Chłopiec poznał ją już na własnej skórze. Kiedyś poczuł się słabo, wymiotował i zdawało mu się, że umrze. Zdołał jednak przeżyć i potem jego skóra stała się wrażliwa. Gdy tylko zbliżał się do gorącego obszaru, natychmiast go wyczuwał. Jego bracia, nie mający plam na skórze, które go od nich odróżniały, nie posiadali podobnej umiejętności i zginęli okropną śmiercią. Odkrył wtedy pewne liście, które wcierane w piekącą skórę przynosiły ulgę. Sok z łądyg, na których rosły te liście, pomagał na podobną cho-

robę żołądka. Chłopiec nigdy jednak nie zapuszczał się w piekące miejsca z własnej woli. Skóra zawsze ostrzegała go w porę i lekarstwo nigdy nie było mu potrzebne.

Olbrzymi mężczyzna będzie bardzo chory i pewnie umrze. W nocy przyjdą ćmy, a potem ryjówki, on zaś leżał bezradny. Był głupi, że zapuścił się do serca Złego Kraju.

Głupi, ale odważny i dobry. Nikt nie wyciągnął do chłopca pomocnej dłoni ani nie nakarmił go, odkąd umarli jego rodzice. Chłopiec był tym dziwnie poruszony. Gdzieś w głębi swych wspomnień odnalazł wskazówkę: za dobro trzeba odpłacać dobrem. Było to wszystko, co pozostało z tego, czego nauczyli go rodzice, których kości i czaszki bieleły się w jednym z budynków.

Olbrzym przypominał chłopcu ojca: silny, gwałtowny w gniewie, lecz łagodny, gdy go nie prowokowano. Chłopiec rozumiał zarówno jego opiekę, jak i brutalną dyscyplinę. Takiemu człowiekowi można było zaufać.

Chłopiec zebrał odpowiednie zioła i wrócił. Jego motywy były niejasne, lecz czyny pewne. Pies gdzieś zniknął, a mężczyzna leżał tam, gdzie się położył. Skórę miał zaczerwienioną. Chłopiec położył mu na tułów i kończyny okłady z liści i wpuścił kilka kropli wyciśniętego z łodygi soku do wykrzywionych ust. Nie mógł zrobić nic więcej.

Olbrzym był zbyt ciężki, by można było go poruszyć, a zniekształcone ręce chłopca nie mogły wykonać tej pracy.

Gdy jednak nadszedł nocny chłód mężczyzna ożywił się nieco.

Oczyścił się z liści niezdarnymi ruchami, lecz nic nie zjadł. Wczołgał się do śpiwora i stracił przytomność.

Rankiem olbrzym wydawał się przytomny, lecz gdy spróbował wstać, przewrócił się. Nie mógł chodzić. Chłopiec dał mu do przeżucia łodygę. Mężczyzna uczynił to, najwyraźniej nieświadomy tego, co robi.

Następnego dnia zapasy w plecaku wyczerpały się i chłopiec wyruszył na poszukiwanie żywności. Właśnie dojrzewały niektóre owoce i dzikie bulwy. Zebrawszy ich trochę, zawiązał zdobycz w odnalezioną koszulę i pognął susami do olbrzyma. W ten sposób zdobył pożywienie dla nich obu.

Czwartego dnia skóra mężczyzny zaczęła krwawić. Niektóre części jego ciała były twarde jak drewno i te nie krwawiły, lecz wszędzie, gdzie miał naturalną skórę pojawiły się rany. Mężczyzna dotykał siebie przerażony, a potem stracił przytomność.

Chłopiec porwał koszulę, zamoczył ją w wodzie i zmył krew, lecz gdy pojawiło się jej więcej, pozwolił jej zbierać się i krzepnąć. To zmniejszyło krwotok. Chłopiec wiedział, że krew trzeba utrzymywać wewnątrz ciała, gdyż pewnego razu, gdy zranił się i wykrwawił obficie, potem przez wiele dni czuł się bardzo słabo. Wiedział też, że gdy zwierzęta traciły zbyt wiele krwi szybko ginęły.

Kiedy tylko mężczyzna odzyskiwał przytomność, chłopiec dawał mu do jedzenia owoce i lecznicze łydgi oraz wodę do picia. Gdy ponownie zapadał w sen, okładał go dokładnie leczniczymi liśćmi. Kiedy zaś robiło się zimno, przykrywał mężczyznę śpiworem i kładł się przy nim, aby go osłonić od najgorszych podmuchów lodowatego wiatru.

Pies wrócił któregoś ranka i zdechł.

Mijały dni. Chory mężczyzna trawił własne ciało. Wychudł i dziwnie się zmienił. Do tej pory wyglądał, jakby miał pod skórą kamienie i deski, których nic nie mogło przebić. Teraz, gdy podtrzymujące te zbroję mięśnie zanikły, przerośnięte chrząstki i kości zaczęły zwisać luźno. Utrudniało to mężczyźnie oddychanie i wydalanie. Jednak ten dodatkowy szkielet musiał zatrzymać dużą część promieniowania.

Olbrzym był bliski śmierci, nie chciał jednak umrzeć. Chłopiec obserwował go, wiedząc, że jest świadkiem walki z przeciwnikiem tak strasznym, że żaden człowiek nie mógłby mu sprostać. Ojciec i bracia chłopca oddali swe życie znacznie szybciej. Krew, pot i mocz splamiły legowisko. Brud i strupy pokryły całe jego ciało, lecz mężczyzna się nie poddawał.

W końcu zaczął wracać do zdrowia. Gorączka i krwawienie ustąpiły. Odzyskał część sił. Zaczął jeść, z początku niepewnie, potem z wielkim apetytem. Pewnego dnia spojrział na chłopca, jakby widział go po raz pierwszy, i uśmiechnął się.

Od tej chwili stali się przyjaciółmi.

4

Wojownicy zebrali się w środku wioski, wokół Kręgu. Tyl, Mistrz Dwóch Broni, rozpoczął ceremonię.

— Kto z obecnych pragnie zdobyć dziś imię i honor mężczyzny? — zapytał od niechcienia. Robił to co miesiąc od ośmiu lat i był tym głęboko znudzony.

Wystąpiło kilku młodzieńców — chudych wyrostków, którzy sprawiali wrażenie, jakby nie wiedzieli jak należy trzymać broń w ręku. Z każdym rokiem wydawali się młodszy i bardziej niezdarzy. Tyl tęsknił za dawnymi dniami, gdy służył Solowi, Mistrzo-

wi Wszystkich Broni. Wtedy mężczyźni byli mężczyznami, Wódz Wodzem i dokonywano wielkich czynów. Teraz nastał czas słabeuszy i beczynności.

Bez wysiłku nadał swemu głosowi ton rytualnej pogardy.

— Będziecie ze sobą walczyć — oznajmił. — Dobiorę was parami, byście stawili sobie czoła w Kręgu. Ten, kto zwycięży, zostanie uznany za wojownika i będzie miał prawo do imienia, bransolety, broni oraz honoru. Pokonany...

Nie zadał sobie trudu, by skończyć. Nikt nie mógł zdobyć miana wojownika, jeśli przynajmniej raz nie zwyciężył w Kręgu. Niektórzy kandydaci przegrywali raz za razem. Część z nich w końcu rezygnowała i przystawała do Odmieńców, inni szli na Górę lub przenosili się do innego plemienia, aby spróbować jeszcze raz.

— Ty z maczugą — powiedział Tyl wskazując na puciołowatego kandydata na wojownika — i ty z drągiem — wybrał drugiego, kościstego.

Dwaj młodzieńcy, wyraźnie podenerwowani, weszli do Kręgu i przystąpili do walki. Chłopiec z maczugą wymachiwał nią szeroko i niezgrabnie, zaś drugi nieudolnie odbijał jego ciosy. Wreszcie przypadkowe uderzenie maczugi zwichnęło jedną ze źle ustawionych dłoni trzymających drąg, który upadł na ziemię.

Jego właściciel miał dość. Wskoczył z Kręgu. Tyłowi zrobiło się niedobrze z powodu nieudolności walczących. W jaki sposób tacy gamonie mogli się stać porządnymi wojownikami? Jaki pożytek przyniesie plemieniu zwycięzca taki, jak ten, którego rozstrzygający cios był czystym przypadkiem?

Nigdy niczego nie można być pewnym — przypomniał sobie. Niektórzy z najgorzej zapowiadających się młodzieńców, których wysyłał do szkoleniowego obozu Sava Draęga, wracali stamtąd jako groźni wojownicy. Prawdziwa wartość człowieka ujawniała się w trakcie ciężkiego treningu. Tego nauczył Tyła mężczyzna, który nigdy nie walczył w Kręgu. Jak on się nazywał? Sos-Doradca. Sos przebywał z plemieniem przez rok i stworzył obecny system praw, a potem zniknął na zawsze. Mistrz Dwóch Broni pamiętał jakąś historię ze sznurem... Sos nie był może prawdziwym mężczyzną, ale umysł miał wielki. Tył uznał więc, że najlepiej będzie przyjąć grubasa z maczugą do grona mężczyzn i wysłać go do Sava. Może jednak wyrośnie z niego coś dobrego. Jeśli nie, mała strata.

Następna była para walczących na sztylety. Pojedynek był krwawy i obfitował w mnóstwo nieczystych, płytkich cięć, ale przynajmniej jego zwycięzca zapowiadał się na twardego mężczyznę.

W kolejnej walce wystąpił miecz przeciwko pałkom. Tyl ożywił się, gdyż były to jego bronie i pragnął mieć w plemienu więcej posługujących się nimi wojowników. Pałki nadawały się do podtrzymywania dyscypliny, a miecze do podbojów.

Nowicjusz z pałkami wydawał się obiecujący. Jego ręce były szybkie, a ciosy celne. Wojownik z mieczem był silny, lecz powolny. Wymachiwał klingą jak cepem.

Pałka trafiła w bok głowy walczącego mieczem. Za pierwszym ciosem poszła seria uderzeń w szyję i ramiona. Jednak atakujący zapomniał zupełnie o obronie. Nacierając bezmyślnie wręcz sam nadział się gardłem na miecz i padł martwy.

Zrozpaczony Tyl zacisnął powieki. Co za głupota! Jedyne młodzieniec, który rokował jakieś nadzieje, pozwolił się ponieść emocjom i zginął od ciosu, którego każdy idiota mógłby z łatwością uniknąć. Ten świat naprawdę schodził na psy!

Pozostał jeszcze jeden chłopiec, uzbrojony w rzadko spotykany morgensztern. Aby wybrać tę broń trzeba było mieć odwagę, a także niezdrowe skłonności, gdyż był to

oręż morderczy i niepewny. Tyl zostawił go na koniec, gdyż chciał, aby ten nowicjusz zmierzył się z doświadczonym wojownikiem. To zmniejszy wprawdzie jego szansę na zwycięstwo, lecz w równym stopniu ułatwi mu przeżycie tej walki. Tyl postanowił, że jeśli chłopak sprawi dobre wrażenie, to za miesiąc zmierzy się z łatwym przeciwnikiem i zdobędzie bransoletę i imię.

Wtem nadbiegł jeden ze strażników.

— Wodzu, przyszli obcy. Mężczyzna i kobieta. On jest brzydki jak diabli i ona chyba też.

Tyl poirytowany utratą obiecującego kandydata warknął gniewnie:

— Czy twoja bransoleta jest już tak wytarta, że nie potrafisz ocenić urody kobiety?

— Noś zasłonę.

To zaintrygowało Tyla.

— Jaka kobieta zasłoniłaby swoją twarz?

Strażnik wzruszył ramionami.

— Czy chcesz, żebym ich tu przyprowadził?

Tyl skinął głową.

Gdy mężczyzna się oddalił, Tyl ponownie zajął się problemem morgenszternu. Najlepszy będzie doświadczony drąg, gdyż morgensztern nawet w rękach nowicjusza mógł okaleczyć lub zabić wojownika używającego innej broni. Przywołał mężczyznę, który miał doświadczenie w walce przeciw morgenszternowi, i zaczął udzielać mu wskazówek.

Zanim jednak próba się zaczęła, zjawili się obcy. Mężczyzna rzeczywiście był brzydki: przygarbiony, z rękami okropnie zniekształconymi i wielkimi plamami odbarwionej skóry na tułowiu i kończynach. Jego oczy spoglądały spod kosmatych brwi, sprawiając dziwne wrażenie. Poruszał się z wdziękiem, ale w osobliwy sposób.

Z jego stopami było coś nie w porządku. Wyglądem przypominał dzikie zwierzę.

Kobieta była spowita w długi płaszcz i welon, które okrywały figurę i twarz. Tyl poznał po jej ruchach, że nie była młoda ani tłusta. To jednak było wszystko, czego mógł się na razie dopatrzyć. Miał nadzieję, że kobieta da mu jakiś pretekst, by kazać jej zdjąć zasłonę.

— Jestem Tyl. Rządzę tym obozem w imieniu Bezimiennego — powiedział do mężczyzny. — Co cię tu sprowadza?

Tamten pokazał mu lewy nadgarstek. Był nagi.

— Przybyłeś zdobyć bransoletę?

Tyl był zaskoczony, że mężczyzna tak muskularny, pokryty bliznami i tak groźnie wyglądający, nie jest jeszcze wojownikiem. Jednak kolejne spojrzenie na jego niemal beużyteczne dłonie wyjaśniło sprawę. Jak mógł walczyć, skoro nie mógł pewnie chwycić broni?

A może był to kolejny nieuzbrojony wojownik? Tyl słyszał tylko o jednym w całym Imperium, lecz tym jednym był sam Bezimienny — Wódz.

— Jaką broń sobie wybrałeś? — zapytał.

Mężczyzna sięgnął do pasa i odsłonił wiszącą pod kurtką parę pałek.

Tyl poczuł ulgę pomieszaną z rozczarowaniem. Początkujący nieuzbrojony wojownik byłby czymś intrygującym. Potem przyszło mu do głowy coś innego.

— Czy zgodzisz się walczyć przeciw morgenszternowi?

Nieznajomy skinął głową, wciąż się nie odzywając.

Tyl wskazał na Krąg.

— Morgenszternie, oto twój przeciwnik! — zawołał.

W chwili, gdy to powiedział, liczba kibiców zwiększyła się dwukrotnie. Ta walka zapowiadała się ciekawie.

Posiadacz morgenszternu wkroczył do Kręgu, wymachując swą kolczastą kulą. Nieznajomy zdjął kurtkę i spodnie. Pozostał tylko w pantalonach. Klatkę piersiową miał potężną, a skóra na niej była koloru żółtawego. Masywne nogi pokrywały węzły mięśni. Krótkie stopy były bose. Wokół palców nóg owijały się grube paznokcie, przywodzące na myśl kopyta. Niezwykły człowiek!

Jego ręce nie były tak umięśnione jak reszta ciała, choć u mężczyzny o szczuplejszej klatce piersiowej i ramionach sprawiałyby imponujące wrażenie. Zaciśnięte na pałkach dłonie przypominały obcęgi. Uchwyt był prosty i mocny. Ten nowicjusz był albo bardzo kiepski, albo bardzo dobry.

Kobieta w welonie usiadła przy Kręgu, by przyglądać się walce. Fakt, że ukrywała swą twarz, był równie niezwykły, jak wygląd młodego grubasa.

Przybysz wkroczył do Kręgu ostrożnie, jak zwierzę omijające pułapkę, gardę jednak miał podniesioną. Jego przeciwnik zakręcił nad głową kulą na łańcuchu, aż zawyło

powietrze. Przez chwilę obaj patrzyli na siebie w pełnej gotowości. Nagle posiadacz morgenszternu ruszył do ataku.

Tamten zrobił unik. Nie miał innego wyjścia. Niczyje ciało nie mogłoby wytrzymać uderzenia kolczastej, żelaznej kuli. Obcy zaczął biec zgięty w pół. Garb ułatwił mu to zadanie. O połowę niższy niż przed chwilą przebiegł na drugą stronę Kręgu i zaszedł przeciwnika od tyłu.

Ta jedna sztuczka rozwiązała połowę obaw. Tyl zrozumiał, że jeśli przybysz potrafi skakać równie dobrze, jak się schylać, to morgensztern nigdy go nie trafi. Na dodatek wirująca kula szybko wyczerpywała poruszające nią ramię.

Koniec walki nastąpił jednak jeszcze szybciej. Zanim posiadacz morgenszternu zdążył zmienić pozycję, pałki uderzyły go w rękę trzymającą broń. Trafiony nie zdołał zachować właściwej postawy. Kula zaryła się w piach Kręgu, a jej właściciel zachwiał się na nogach.

Widząc, że morgensztern jest zbyt głupi, by zrozumieć, że przegrał i wyjść z Kręgu, Tyl przemówił w imieniu mężczyzny z pałkami:

— Morgensztern się poddaje.

Jego posiadacz rozejrzał się wokół, zbity z tropu.

— Ależ jestem jeszcze w Kręgu!

Tyl nie miał cierpliwości do głupców.

— To walcz dalej.

Tamten spróbował znów zamachnąć się swą kulą, ale jego przeciwnik nie dał mu na to czasu — rąbnął pałką w czaszkę i powalił bez przytomności. Zwycięzca wziął jedną z pałek w zęby i chwycił w wolną dłoń łańcuch morgenszternu uwiązany drugim końcem do nadgarstka pojmanego. Był to niezwykły manewr, gdyż łańcuch zaopatrzony był w chroniące przed podobnym chwytem małe, ostre jak igły zadziory. Wydawało się jednak, że garbus tego nie zauważył. Przyciągnął nieprzytomnego przeciwnika do krawędzi Kręgu, a potem puścił łańcuch, schylił się i wypchnął rywala na zewnątrz.

Z niekłamaną radością Tyl wręczył groteskowemu wojownikowi złoty symbol męskości. Zauważył przy tym, że jego dłonie pokryte były zgrubiałą skórą. Nic dziwnego, że nie obawiał się zadziorów!

— Od tej chwili, wojowniku, będziesz się zwał... — Tyl przerwał. — Jakie imię sobie wybrałeś?

Mężczyzna spróbował przemówić, lecz jego głos był chrapliwy — zupełnie jakby coś tkwiło mu w krtani. Słowo, które z siebie wydał, zabrzmiało jak warknięcie.

Tyl załatwił się z tym szybko.

— Będziesz się zwał Var. Var Pałki. Kim jest twoja towarzyszka?

Var potrząsnął pochyloną głową. Nie odpowiedział, lecz kobieta podeszła do nich sama, zdejmując zasłonę i płaszcz.

— Sola! — zawołał Tyl, rozpoznając żonę Wodza. Wciąż była atrakcyjną kobietą, choć upłynęło niemal dziesięć lat, odkąd widział ją po raz pierwszy. Przez cztery lata przebywała z Solem, a potem przeszła do namiotu nowego Wodza Imperium. Ponieważ zwycięzca nie był uzbrojony, nie nosił bransolety i nie używał imienia, Solą zachowała poprzednią bransoletę i imię. Równało się to cudzołóstwu i to jawnemu, lecz Wódz zdobył ją w uczciwej walce. Był najpotężniejszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek wkroczył do Kręgu, z bronią, czy bez. Jeśli on nie dbał o pozory, to nikt inny nie odważył się sprzeciwić.

Solą była jednak zawsze wierna swym mężom, z wyjątkiem małego, zabawnego epizodu z Sosem, dawno temu. Dlaczego więc wyruszyła teraz w drogę z bezimiennym młodzieńcem?

— Wódz go szkolił — powiedziała jakby odgadując myśli Tyla — chciał jednak, by zdobył imię o własnych siłach, bez pomocy.

Uczeń Nieuzbrojonego! To tłumaczyło niektóre rzeczy. Dobrze wyszkolony — to jasne. Wódz potrafił walczyć przeciwko wszystkim rodzajom broni. Silny i brzydki — tak, to rozumiałe. Dokładnie taki typ człowieka, jaki spodobałby się Bezimiennemu. Być może sam Wódz wyglądał tak w młodości. . .

Wtem Tyl popatrzył na ślady odcisnięte w piasku Kręgu.

— To ten dziki zwierz, który niszczył plony pięć lat temu! — zawołał.

— Tak. Teraz już mężczyzna.

Ręce Tyla powędrowały do pałek.

— Ugryzł mnie wtedy. Teraz mogę się za to zemścić.

— Nie — odparła Solą. — Dlatego właśnie przybyłam. Nie wstąpisz z Varem do Kręgu.

— Czy boi się walczyć ze mną w świetle dnia?

— Var nie boi się niczego. Jest jednak jeszcze nowicjuszem, a ty drugim wojownikiem w Imperium. Wróci ze mną.

— Czy potrzebuje opieki kobiety? Powinienem go nazwać Var Pała!

Zerwała się na równe nogi. Jej uroda była wciąż w pełni rozkwitu, jak u świeżo dojrzałej dziewczyny.

— Czy chcesz odpowiadać za to przed moim mężem?

Tyl, poddany mężczyzny, którego ona nazywała swoim mężem, a także człowiek honoru, musiał zapanować nad gniewem i odpowiedzieć tylko w jeden sposób:

— Nie.

Zwróciła się w stronę Vara.

— Zatrzymamy się tu na noc, a jutro wyruszymy w drogę powrotną. Pewnie będziesz chciał zanieść swoją bransoletę do głównego namiotu.

Tyl uśmiechnął się drwiąco. Świeżo upieczony wojownik o tak groteskowym wyglądzie nie znajdzie chętnej na swą bransoletę. Niech obchodzi ten dzień w samotności!

A później, któregoś dnia, gdy Bezimienny nie będzie go już chronić, spotkają się znowu.

5

Var dobrze znał znaczenie złotej bransolety. Robili je Odmieńcy. Bransoleta była nie tylko oznaką męskości, ale również dawała prawo posiadania kobiety — na jedną noc, na rok lub na całe życie. Należało ją tylko założyć na nadgarstek wybranej dziewczyny i będzie ona należała do Vara, o ile wyrazi zgodę. Mówiono, że większość dziewcząt czuła się pochlebiona, gdy im ją ofiarowano i starała się zachować bransoletę tak długo, jak tylko można. Szczególnym honorem dla kobiety było mieć bransoletę na ręce w czasie porodu. Im więcej synów urodzonych w ten sposób, tym lepiej. Kobieta sprawdzała

się przez swą płodność, jak mężczyzna w Kręgu. Ziemia wciąż potrzebowała nowych ludzi.

Wielki namiot nie różnił się od innych. W każdym obozie był taki. Mieszkali w nim samotni wojownicy, a samotne dziewczyny stawały się tam przystępnymi.

Zapadł zmierzch. Wewnątrz zapalono już lampy. Właśnie kończyła się uczta. Var, szczęśliwy ze zdobycia imienia, nie był głodny, nie żałował więc tej straty.

Były tu dziewczęta siedzące na krzesłach domowej roboty. Odmieńcy dostarczali wszystkiego, czego wojownik mógł potrzebować, lecz używanie takich, otrzymanych za darmo towarów było w złym guście. Koczownicy woleli na ogół radzić sobie sami.

Var podszedł do najbliższej. Była owinięta w śliczny, jednoczęściowy zawój spięty od przodu srebrną broszką. Ten strój oznaczał, że była wolna. Miała luźno zwisające, kręcone, brązowe włosy, a jej figura była znakomita; wysokie piersi i długie nogi.

Spojrzał na nią pytająco. Dotknął prawą ręką bransolety i zaczął ją ściągać. To był ogólnie przyjęty rytuał. Widział, jak robili to wojownicy w obozie Wodza.

— Nie — powiedziała dziewczyna.

Var zatrzymał się, z ręką na nadgarstku. Czyżby źle ją zrozumiał? Miał ochotę zapytać ją jeszcze raz, wolał jednak się nie odzywać. Słowa nie miały być do tego potrzebne. Nauczył się języka, a raczej przypomniał go sobie dopiero po tym, jak zamieszkał z Wodzdem, lecz choć rozumiał dobrze, jego usta i język nie kształtowały słów w odpowiedni sposób.

Nieco zawiedziony, zwrócił się ku następnej dziewczynie. Nie brał pod uwagę, że może się spotkać z odmową i nie wiedział, jak na to zareagować. Sąsiednia dziewczyna była nieco młodsza. Miała jasne włosy i różowy kostium. Jeśli się nad tym zastanowić, była właściwie ładniejsza od pierwszej. Stuknął palcem w bransoletę.

Spojrzała na niego od niechcienia.

— Czy nie umiesz mówić?

Zawstydzony wychrzakał:

— Brzleta.

Bransoleta. W jego umyśle brzmiało to wyraźnie.

— Odejdź, głupku.

Var nadal nie wiedział, jak się zachować, skinął więc głową i ruszył dalej.

Żadna z dziewcząt nie była nim zainteresowana. Niektóre wyrażały swą pogardę z żenującą szczerością.

Wreszcie podeszła do niego dojrzała kobieta, nosząca bransoletę.

— Najwyraźniej nie rozumiesz tego, wojowniku. Wytlumaczę ci zatem. Widziałam jak dzisiaj walczyłeś, nie myśl zatem, że staram się ciebie obrazić.

Var ucieszył się, że wreszcie znalazł się ktoś, kto go traktuje z szacunkiem, więc słuchał z wdzięcznością.

— Te dziewczyny są młode — powiedziała. — Nigdy jeszcze nie musiały pracować ani rodzić dzieci i dlatego mają mało doświadczenia. One chcą się tylko zabawić. Ty... cóż, jesteś obcy, zachowują więc ostrożność. Jesteś też początkującym wojownikiem i z tej przyczyny traktują cię z lekceważeniem. Niesłusznie, ale jak już powiedziałam, są młode. Ponadto trzeba ci wiedzieć, że nie jesteś ładny. To, co liczy się w Kręgu, nie jest ważne tutaj. Dojrzała kobieta mogłaby to zrozumieć, ale nie te szukające zabawy smarkule. Nie miej do nich żalu. Kobiety dojrzewają z czasem, tak samo jak wojownicy. One również popełniają błędy.

Var skinął głową. Czuł się nieszczęśliwy, lecz odczuwał wdzięczność za udzieloną mu radę, choć nie rozumiał jej dokładnie.

— Kogo. . .

— Jestem Tyla, żona dowódcy. Chciałam tylko, żebyś to rozumiał.

Miał zamiar zapytać ją, do której dziewczyny powinien się zwrócić, ale ona nie dała mu dojść do słowa.

— Wróć do rodzinnego obozu, gdzie cię znają — rzekła. — Tyl cię nie lubi i to również nie ułatwia ci sprawy. Przykro mi, że psuję twoją wielką noc, ale tak to wygląda.

Teraz rozumiał. Nie chciano go tutaj.

— Dziękuję — powiedział.

— Powodzenia, wojowniku. Na pewno znajdziesz odpowiednią dziewczynę. Warto na nią poczekać. Nic tutaj nie straciłeś.

Var wyszedł z namiotu.

Ból nadszedł dopiero wtedy, gdy owiało go chłodne powietrze nocy. Nie chciano go. W obozie Wodza traktowano go dobrze i nikt nie mówił, że jest brzydki. Wydawało mu się, że jest zdolny do życia wśród ludzi, choć dzieciństwo spędził na pustkowiu. Teraz

zrozumiał, że dotychczas był chroniony niczym dziecko. Dzisiaj, gdy został uznany za mężczyznę, odsłoniła się przed nim cała prawda. Był odrażającym mutantem nie godnym przebywania w towarzystwie ludzi.

Z początku czuł się zawstydzony, aż jego głowa stała się gorąca, a ręce zaczęły drżeć. Z taką radością pragnął podarować swą lśniącą, dziewiczą bransoletę. . .

Potem opanowała go wściekłość. Dlaczego został narażony na coś takiego? Jakie prawo mieli ci ładni, oswojeni ludzie, aby go osądzać? Starał się przystosować do ich zwyczajów, a oni go odtrącili. Żaden z nich nie potrafiłby przeżyć w Złym Kraju!

Wziął w ręce swe lśniące, metalowe pałki. Z zadowoleniem poczuł ich ciężar. W tym był dobry. Był teraz wojownikiem i nie musiał przyjmować obelg od nikogo. Wstąpił do Kręgu — tego samego, w którym kilka godzin temu zdobył męskie imię. Zaczął wymachiwać bronią.

— Chodźcie ze mną walczyć! — krzyknął. Wiedział, że z ust wydobywa mu się tylko charkot, lecz nie dbał o to.

— Wyzywam was wszystkich!

Z pobliskiego namiotu wyszedł jakiś mężczyzna.

— Co to za hałas? — zapytał.

Był to Tyl. Miał na sobie szorstką, wełnianą koszulę nocną. Człowiek ten z jakichś powodów nie lubił Vara, choć ten, o ile pamiętał, nigdy go nie widział.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał Tyl, podchodząc bliżej. Z boku głowy zwisała mu żółta kokarda.

— Chodź ze mną walczyć! — krzyknął Var, wymachując groźnie pałkami. Jego słowa były niezrozumiałe, nie sposób było jednak nie odgadnąć, o co mu chodzi.

Tyl wyglądał na rozgniewanego, nie wstąpił jednak do Kręgu.

— Po zmierzchu się nie walczy — odparł. — Zresztą nawet gdyby tak było i tak nie mógłbym zmierzyć się z tobą, choć z przyjemnością rozwalilibym ci ten dumny łeb i wysłał kopniakiem z powrotem na pole kukurydzy. Przestań robić z siebie dumnia!

Pole kukurydzy? Varowi coś się przypomniało.

Zebrali się inni ludzie; mężczyźni, kobiety i dzieci. Wszyscy gapili się na Vara, który zdał sobie sprawę, że okrył się teraz znacznie większą śmiesznością niż w namiocie młodych wojowników.

— Zostawcie go samego — rozkazał Tyl i wrócił do siebie, komicznie kołysząc swą kokardą. Pozostali rozeszli się i wkrótce Var został w Kręgu sam. Przez swój gniew tylko pogorszył sprawę.

Rozżalony skierował się do jedyne­go miejsca, gdzie mógł znaleźć zrozumienie, do samotnego namiotu żony Wodza.

— Obawiałam się, że do tego dojdzie — powiedziała Sola dziwnie miękkim tonem. — Pójdę do Tyla i każę mu znaleźć dla ciebie panienkę. Nie powinno cię to ominąć tej nocy.

— Nie! — krzyknął Var, przerażony myślą, że jego życzenie miało być spełnione dzięki wstawiennictwu kobiety u jego wroga. Ludzkie zwyczaje nie wydawały mu się naturalne, to jednak był zbyt oczywisty wstyd.

— To również przewidziałam — powiedziała zrezygnowanym tonem. — Dlatego właśnie rozbiłam namiot z dala od głównego obozu.

Var nie zrozumiał.

— Wejdz i połóż się — powiedziała. — Nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Wartości mężczyzny nie sprawdza się w jeden dzień, czy w jedną noc. Dopiero lata ukazują prawdę.

Var wczuł się do namiotu i położył przy niej. Właściwie nie znał dobrze tej kobiety i niezbyt ją lubił. Trzymała się na uboczu, udzielając mu jedynie lekcji rachunków. Dzięki niej umiał policzyć do stu i wiedział, że w sześciu garściach po cztery kłosa w każdej jest mniej kłosów niż w dwóch koszach po piętnaście. Te rachunki były trudne i nie miały sensu. Nie znosił tych lekcji, a poza tym Solą sprawiała, że czuł się szczególnie głupio, Wódz jednak nie godził się na przerwanie nauki.

Var był zaskoczony, gdy została ona wyznaczona do tego, aby towarzyszyć mu w drodze na pierwszą walkę. Kobieta! Okazało się jednak, że nieźle sobie radzi. Potrafiła maszerować szybko, dzięki czemu każdego dnia pokonywali dużą odległość, znała drogę, a gdy napotkali obcych, to ona z nimi rozmawiała. Noce spędzali w gospodach Odmieńców, ona w jednym łóżku, on w drugim, choć nadal jeszcze Var wolał spać dawnym sposobem na drzewie. Traktowała go z rezerwą, lecz nie ukrywała przed nim swego ciała, gdy brała kąpiel lub przebierała się na noc. To, co wtedy widział,

wywoływało u niego bolesne wzwody. Miał zwierzęcą naturę i podniecała go każda kobieta.

Teraz, w tym obcym, nieprzyjaznym obozie, ze zranioną dumą zwrócił się do niej, gdyż stanowiła jedyny kontakt z jego jedynym przyjacielem — Wodzem.

— A więc poprosiłeś młode dziewczyny, a one cię wyśmiały — powiedziała. — Miałam nadzieję, że powiesz mi się lepiej, choć sama też byłam kiedyś młoda i równie głupia. Myślałam, że najważniejsza jest władza. Pragnęłam zawsze być żoną Wodza. W ten sposób utraciłam mężczyznę, którego kochałam i teraz tego żałuję.

Nigdy przedtem nie mówiła w ten sposób. Var leżał w milczeniu. Słuchał uważnie. Wolał to, niż myśleć o przeżytych upokorzeniach. Mówiła o swym poprzednim mężu — Solu, Mistrzu Wszystkich Broni, który utracił swe Imperium na rzecz Wodza i udał się na Górę wraz z ich córeczką Soli. Ta historia stała się już legendą. Każdy słyszał opowieść o zmianie władcy i samobójstwie ojca i córki.

Jeśli Solą kochała władzę tak bardzo, że wyrzekła się dla niej ukochanego mężczyzny i córki, którą mu urodziła, by przejść do łoża zwycięzcy, to nic dziwnego, że cierpiała!

— Czy rozumiałbyś — ciągnęła — gdybym ci powiedziała, że gdy myślałam, iż utraciłam swego ukochanego na zawsze, on powrócił do mnie. Wkrótce jednak okazało się, że straciłam jego miłość. Odzyskałam tylko ciało swego ukochanego, a nawet ono zostało okaleczone i zmienione nie do poznania?

— Nie — odparł szczerze Var. Nie wiedział dlaczego, ale przy niej łatwiej przychodziło mu wypowiadać słowa.

— Nie wszystko jest takie, jak się wydaje — szepnęła. — Ty również przekonasz się, że przyjaźń może być bardzo złudna, natomiast ci, których uważasz za wrogów, są ludźmi, którym można ufać. Takie jest życie. Chodź, skończmy z tym już.

Zrozumiał, że każe mu odejść i zaczął się wyczołgiwać z namiotu.

— Nie — powiedziała łagodnie, przytrzymując go. — To jest twoja noc i otrzymasz wszystko, co ci się należy. Ja będę twoją kobietą.

Oniemiały Var wydał z siebie gardłowy dźwięk. Czy to możliwe, by dobrze ją zrozumiał?

— Przepraszam cię, Var — powiedziała — zaskoczyłam cię tym. Połóż się. Usłuchał jej.

— Dziki chłopcze — mówiła — nie staniesz się mężczyzną, zanim nie będziesz miał kobiety. Tak stanowią nasze prawa. Przybyłam tu, by ci umożliwić spełnienie wszystkich warunków. Już. . . — w tej chwili przerwała — kiedyś to zrobiłam. Dawno temu. Mój mąż o tym wie. Uwierz mi, Var, tak musi być, choć wydaje się to pogwałceniem zasad, których cię nauczyliśmy. Nie mogę ci wytłumaczyć więcej. Musisz jednak zrozumieć jedną rzecz i obiecać mi następną.

Musiał coś powiedzieć.

— Wódz. . .

— Var, on wie! — szepnęła gwałtownie. — Nigdy jednak o tym nie wspomni. To zostało rozstrzygnięte już dziesięć lat temu. Musisz się też dowiedzieć, że choć jestem starsza od ciebie, nie jestem jeszcze zbyt stara, by mieć dzieci, a Bezimienny jest bezpłodny. Ta noc i następne są twoje. Wszystko skończy się, gdy wrócimy do obozu. Gdybym poczęła z tobą dziecko, będzie ono należało do Nieuzbrojonego. Nigdy nie będę nosiła twojej bransolety i gdy nasza podróż się skończy, nigdy już cię nie dotknę. Nie powiem nikomu o tym, co zaszło tutaj pomiędzy nami i ty również nie. Gdybym zaszła w ciążę, zostaniesz odesłany z obozu. Nie masz do mnie żadnych praw. Wszystko bę-

dzie tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło, z wyjątkiem tego, że zostaniesz mężczyzną. Zrozumiałeś?

— Nie... nie... — bełkotał, ogarnięty pożądaniem.

— Zrozumiałeś — wyciągnęła nagle rękę i dotknęła nią jego lędźwi. — Zrozumiałeś.

Zrozumiał, że Sola ofiarowuje mu swoje ciało i że brak mu wytrwałości, by jej odmówić. Tam, skąd pochodził, gotowość samicy była dla samca rozkazem.

— Musisz jednak obiecać — ciągnęła Solą, dotykając jego maczugowatej dłoni, która dopiero niedawno nauczyła się delikatności, i kładąc ją na swej miękkiej piersi. Wewnątrz śpiwora była naga. — Musisz obiecać...

W Varze narastała żądza, która przegnała wszelkie skrupuły. Wiedział już, że to zrobi. Być może Wódz zabije go za to, ale dziś w nocy...

— Musisz przysiąc, że zabijesz człowieka, który skrzywdzi moje dziecko.

Vara przeszedł dreszcz.

— Nie masz dziecka! — wybuchnął. — Nie takiego, które można by skrzywdzić...

Zdał sobie nagle sprawę z prostactwa i okrucieństwa swych słów. Nadal był jeszcze dziki.

— Przysięgnij.

— Jak mogę to zro. . . bić, skoro two. . . oje dzieckooo. . . od dawna nie żyyyje?

Uciszyła go pierwszym prawdziwym, kobiecym pocałunkiem, jakiego w życiu doznał. Jego ciało odpowiedziało. Ono wiedziało co robić, mimo jego zmieszania i tego, co wyglądało na szaleństwo Soli. Przygotowując się do przyjęcia go mówiła o swym martwym dziecku. Jej piersi były miękkie, a nogi rozwarte.

— Jeśli kiedyś dojdzie do takiej sytuacji, musisz to dla mnie zrobić — powiedziała.

— Przy. . . sięgam. . .

Cóż innego mógł odrzec?

Nie powiedziała już nic więcej, lecz jej ciało mówiło za nią. Ta rzekomo wyniosła, zimna kobieta. . . Choć Var robił to po raz pierwszy, zdołał rozpoznać namiętność o niespotykanym natężeniu. Solą była gorąca, gibka i gwałtowna. Miała co najmniej dwadzieścia pięć lat, lecz po ciemku wydawała się dorodną, ochoczą piętnastolatką. Nie było trudno na chwilę zapomnieć, że jest kobietą prawie na progu starości.

Gdy doszedł do końca i ogarnął go wybuch żaru, zrozumiał, że być może poprzy-
siął przed chwilą pomścić swe własne, przyszło dziecko...

6

Wódz ich oczekiwał. Wykorzystywał jedną z gospod Odmieńców jako biuro. Miał tu całe szuflady zapisanych papierów. Var nigdy nie rozumiał sensu robienia tych zapisków, lecz nie kwestionował mądrości swego przyjaciela. Wódz umiał czytać. Patrząc na przedmioty zwane książkami był w stanie powtórzyć przemowy wygłoszone przez ludzi, którzy dawno już nie żyli. Była to imponująca, lecz bezużyteczna umiejętność.

— Oto twój wojownik — powiedziała Solą. — Var Pałki, mężczyzna w każdym znaczeniu tego słowa. . .

Z tajemniczym uśmiechem oddaliła się do swego namiotu. Wódz stanął w przezroczystych, obrotowych drzwiach gospody i przyglądał się Varowi przez długą chwilę.

— Tak, zmieniłeś się. Czy rozumiesz, co to znaczy dochować tajemnicy? Wiedzieć, ale nie powiedzieć nikomu?

Var skinął głową na znak potwierdzenia, myśląc o tym, co zaszło pomiędzy nim a żoną Wodza w drodze powrotnej. Nawet gdyby nie zabroniono mu o tym mówić, zawahałby się przed tym.

— Mam dla ciebie jeszcze jedną tajemnicę. Chodź ze mną.

Nie pytając już o nic więcej i nie udzielając żadnych wyjaśnień, Bezimienny wyszedł z gospody, zakręciwszy za sobą drzwiami. Var spojrział jeszcze na połyskliwy, przezroczysty stożek tworzący jej dach oraz kryjące się pod nim tajemnicze mechanizmy, po czym odwrócił się i podążył za Wodzem.

Przeszli milę, mijając wojowników zajętych ćwiczeniami z bronią, lub patroszeniem zwierzyny. Wódz i Var wymieniali z nimi zdawkowe pozdrowienia. Wyglądało na to, że Bezimienny nigdzie się nie śpieszy.

— Czasami — przemówił niespodziewanie Wódz — człowiek wbrew własnej woli znajduje się w sytuacji, w której musi zachować milczenie, choć wołałby tego nie robić, a inni mogą go nawet uznać za tchórza. Jednakże tak jak jego własne słowa nie zawsze muszą być mądre, tak opinia, jaką o nim żywią, nie musi być prawdą. Istnieje odwaga innego rodzaju niż ta, którą okazuje się w Kręgu.

Var wiedział, że jego przyjaciel chce mu powiedzieć coś ważnego, nie był jednak pewien, co ma na myśli. Przeczuwał, że tajemnica Wodza będzie równie ważna dla jego życia, jak tajemnica Soli dla jego męskości. Wyglądało na to, że dzieje się coś szczególnego. Sytuacja różniła się od wszystkiego, co Var znał do tej pory.

Gdy znaleźli się daleko poza zasięgiem wzroku i słuchu pozostałych, Wódz zboczył z wydeptanej ścieżki i zaczął biec. Był wielki i ciężki, a ziemia aż trzęsła się pod jego stopami. Zdziwiony Var biegł za nim, znacznie lżejszym krokiem, zastanawiając się nad celem tego biegu.

Niebawem dotarli do znaków wytyczających granice miejscowego Złego Kraju. Pobiegli przez chwilę wzdłuż nich, a potem przeszli na drugą stronę. Var sądził, że Nieuzbrojony obawia się podobnych okolic od czasu ciężkiej choroby popromiennej, którą

przebył, gdy się spotkali po raz pierwszy. Minęły wtedy długie miesiące, zanim Wódz odzyskał pełnię sił. Var wiedział o tym dobrze i Solą również była tego świadoma, ukrywano to jednak przed innymi. Większość z początkowych ćwiczeń w sztuce walki, jakie odbył Var, miała na celu nie tylko pomóc dziukiemu chłopcu, ale również umożliwić Wodzowi odzyskanie sprawności. Poza tym wszyscy wiedzieli, że Bezimienny unika Złych Krajów z ostrożnością graniczącą z tchórzostwem.

Najwyraźniej jednak nie bał się ich. Dlaczego więc pozwolił, by ludzie tak myśleli? Czy to właśnie był ten drugi rodzaj odwagi, o którym przed chwilą mówił? Jaki jednak mógł być tego powód?

W głębi Złego Kraju, w miejscu, w którym nie było promieniowania, znajdował się obóz. Mieszkali w nim dziwni wojownicy — ludzie, których Var nigdy dotąd nie widział. Mieli na sobie zabawne zielone ubrania pełne guzików i kieszeni, a na głowach odwrócone garnki. Nosili też metalowe kamienie.

Natychmiast zjawił się dowódca tego niezwykłego plemienia. Był to niski, tęgi, stary mężczyzna o żółtych, kędzierzawych włosach. Z pewnością nie był zdolny do walki w Kręgu.

— To jest Jim — powiedział Wódz. — A to Var Pałki — dodał, by przedstawić sobie ich obu.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie podejrzliwie.

— Jimie i Varze — ciągnął Wódz, uśmiechając się ponuro — nie znacie się nawzajem, chcę jednak, żebyście uwierzyli mi na słowo, że możecie sobie zaufać. Obu was spotkały podobne nieszczęścia — brat Jima o tym samym imieniu dwadzieścia lat temu poszedł na Górę, zaś Var stracił całą rodzinę w Złym Kraju.

Na Varze nie wywarło to wrażenia. Drugi mężczyzna zdawał się podzielać tę opinię. Fakt, że ktoś nie miał rodziny, nie był jeszcze zaletą.

— Var jest wojownikiem, którego szkoliłem osobiście. Jego skóra jest bezpośrednio wrażliwa na dotyk Rentgenów, dzięki czemu nie może zostać poparzony bez względu na to, dokąd pójdzie.

Jim ożywił się, natomiast Wódz zwrócił się do Vara:

— To jest Jim Pistolet, powinienesz poznać jego broń. On umie czytać. Kilka lat temu porozumieliśmy się ze sobą za pośrednictwem listu. Jim studiował stare teksty

i o broniach, do których używa się materiałów wybuchających, wie więcej niż ktokolwiek z koczowników. Uczy tę grupę starożytnych sposobów walki.

Var rozpoznał teraz broń męzczyzny. Był to jeden z metalowych kamieni, które znajdowały się w niektórych budynkach w Złym Kraju. Nie sprawiał wrażenia, by nadawał się do użycia w Kręgu. Nie miał ostrza i był zdecydowanie za mały i zbyt nieporęczny, by służyć jako maczuga. Gdyby zaś nim rzucić, nie można by go było odzyskać.

— Var zostanie tutaj — powiedział Wódz. — Pod warunkiem, że się zgodzi. Przyda się jako zwiadowca. Chcę też, by nauczył się strzelać.

Jim i Var tylko patrzyli na siebie.

— Przełamię lody — ciągnął Wódz — ale potem będę musiał wracać, zanim ktoś zauważy, że mnie nie ma. Var, bądź tak uprzejmy i przynieś mi ten dzbanek — wskazał na brązowe, gliniane naczynie stojące na starym pniaku po drugiej stronie polany.

Jim zaczął coś mówić, lecz Wódz szybkim gestem nakazał mu milczenie. Var pognął susami w stronę dzbanka, lecz w połowie drogi zatrzymał się gwałtownie. Skóra zaczęła go piec. Cofnął się o kilka kroków i ruszył w bok, szukając drogi omijającej promieniowanie.

Zajął mu to kilka minut, lecz w końcu znalazł przejście i dotarł do dzbanka. Przy-
niósł go do nich, powtarzając swą krętą drogę. Do Wódza i Jima dołączył w tym czasie
tuzin innych mężczyzn. Wszyscy obserwowali go w milczeniu.

Var wręczył mu dzbanek.

— To prawda! Żywy licznik Geigera! — wykrzyknął zdumiony Jim. — Jasne, że
nam się przyda.

Wódz oddał dzbanek Varowi.

— Bądź tak uprzejmy i postaw go na ziemi daleko od nas.

Var wykonał polecenie.

— Pokaż mi jak działa karabin — powiedział Wódz do Jima.

Tamten udał się do namiotu i przyniósł stamtąd przedmiot przypominający skryty
w pochwie miecz. Uniósł go i skierował węższym końcem w stronę dzbanka.

— Będzie huk — ostrzegł Vara Wódz — ale to nie zrobi ci krzywdy. Radzę patrzeć
na dzbanek.

Var usłuchał. Nagle tuż obok niego rozległ się grzmot, pod wpływem którego podskoczył, sięgając odruchowo po broń. Odległe naczynie rozprysło się, jak uderzone maczugą. Nikt go jednak nie dotknął, ani niczym w nie nie rzucił.

— Zrobił to kawałek metalu z tej długiej broni — powiedział Wódz. — Jim pokaże ci, jak to się dzieje. Zostań z nim, jeśli zechcesz. Wróć za parę dni. Oddalił się biegiem, tak samo, jak przybył. Jim zwrócił się w stronę Vara.

— Jak to się stało, że nie jesteś jego poddanym, mimo że ćwiczył cię osobiście i powierzył ci tę tajemnicę?

Var nie odpowiedział mu natychmiast. Choć nie zdawał sobie przedtem z tego sprawy, była to prawda. Nie był poddanym Bezimiennego, ani członkiem żadnego z podległych mu plemion, ponieważ nigdy nie został pokonany w Kręgu. Walczył tylko raz, gdy zdobył prawa mężczyzny. Z reguły młody wojownik przyłączał się do plemienia, które sobie wybrał, rzucając rytualne wyzwanie jego wodzowi. Gdy przegrał, co było nieuniknione, bowiem żaden nowicjusz nie mógł mierzyć się z wodzem, zgodnie z obowiązującym wśród koczowników prawem zostawał poddanym, który z kolei podlegał Wodzowi. Jeśli młody wojownik walczył potem z mężczyzną z innego plemienia i prze-

grał, zmieniał tym samym swą podległość, jeśli zaś wygrał, jego przeciwnik przyłączał się do jego plemienia. Gdy tylko Var zdobył imię i bransoletę, został wolnym wojownikiem i miał nim być, dopóki nie utraci tej wolności w Kręgu.

Dlaczego Nieuzbrojony nie załatwił tej sprawy z Varem? I skąd Jim się o tym dowiedział?

— Zawsze pamiętał, by mówić do ciebie „bądź tak uprzejmy” lub podobnie — powiedział Jim. — To znaczy, że nie może ci rozkazywać.

— Ja... nie wiem dlaczego — odparł Var. Widząc zakłopotanie na twarzy tamtego powtórzył to staranniej, zmuszając język do prawidłowego wypowiedzenia słów... — Nie... wiem.

— Cóż, to nie mój interes — odparł Jim, udając, że nie dostrzega niezdarnej wymowy Vara. — Ja nie będę się bawił w formalne zwroty. Jeśli ci powiem, że masz coś zrobić, to nie będzie to rozkaz, tylko rada. Dobra?

— Dobra — odrzekł Var, wypowiadając te sylaby całkiem wyraźnie.

— Będę musiał udzielić ci wielu rad, ponieważ broń palna jest niebezpieczna. Może zabić równie łatwo jak miecz i to na odległość. Widziałeś, co się stało z dzbankiem.

Var widział. Jeśli coś mogło rozbić dzbanek odległy o pięćdziesiąt kroków, mogło też zranić człowieka z tej samej odległości.

Jim położył rękę na metalowym kamieniu u swego biodra.

— Popatrz. To pierwsza lekcja. To jest pistolet — taki sam, jak strzelba, tylko mniejszy. Jeden z setek, jakie znaleźliśmy w skrzyniach w pewnym domu w Złym Kraju. Musieliśmy użyć wykrywaczy Rentgenów, żeby wytyczyć drogę. Nie wiem, jak szef się o tym dowiedział. Prowadzę ten obóz od trzech lat. Szkolę ludzi, których on przysyła. . . — ale to nie należy do sprawy — zrobił jakiś ruch i metalowy przedmiot otworzył się. — Widzisz, jest pusty w środku. To jest lufa. A to jest nabój. Wkładasz nabój tutaj, zamykasz i gdy naciśniesz ten spust — bach! Nabój eksploduje i jego czubek wylatuje tędy, bardzo szybko. To tak, jak rzut sztyletem. Popatrz.

Odszedł kilka kroków, ustawił na sztorc kawałek drewna, po czym wrócił i skierował w stronę szczapy pusty koniec pistoletu. Oparł palec wskazujący o kołek, który nazywał spustem.

— Będzie hałas — ostrzegł.

Rozległ się nagły huk. Z pistoletu buchnął dym. Kawałek drewna podskoczył w górę.

Jim otworzył broń, która teraz stała się wyraźnie ciepła i pokazał Varowi jej wnętrze.

— Widzisz, nabój zniknął. Jeśli obejrzyysz sobie ten kawał drewna, to zobaczysz, gdzie uderzyła kula.

Wręczył broń Varowi.

— Teraz ty spróbuj.

Var przyjął od niego pistolet i z wysiłkiem wepchnął nabój do środka. Jego dłoń nie pasowała jak należy do uchwytu, zaś palec był zbyt gruby i wykrzywiony, by poruszyć spustem. Jim spostrzegłszy kłopoty młodego wojownika pośpiesznie przyniósł większy pistolet. Z tego Varowi udało się wystrzelić.

Wstrząs przebiegł mu wzdłuż ramienia, lecz był on lekki w porównaniu z uderzeniem pałką. Kula uderzyła wzbijając obłok kurzu.

— Nauczymy cię celować — powiedział Jim. — Pamiętaj, że pistolet jest bronią, ale w przeciwieństwie do miecza, drąga lub łuku, może zabić przypadkiem. Traktuj go z szacunkiem, jak miecz w ruchu.

Przez następne dni Var nauczył się wielu rzeczy. Odkąd dzięki Soli poznał cudowne tajemnice, towarzyszące tworzeniu życia, sądził, że nie pozostało mu już nic do odkrycia. Teraz, gdy Jim pokazał mu urządzenia służące niszczeniu życia, zastanawiał się, czy to rzeczywiście jest wszystko, czego mógłby się nauczyć.

Wódz wrócił po niego tak, jak obiecał.

— Teraz znasz już część mojej tajemnicy — powiedział. — Zdradzę ci więc następną. Dokonamy ataku na Górę.

— Na Górę!?

— Tak jest, na Górę Śmierci. Ona nie jest tym, za co się ją uważa. Nie wszyscy, którzy się na nią udają, giną. Pod tą górą żyją ludzie. Są podobni do Odmieńców, ale mają broń palną. Trzymają zakładników... — przerwał na chwilę. — Musimy zdobyć tę górę i wygnać ich stamtąd. Dopiero wtedy Imperium będzie bezpieczne.

— Nie rozumiem — w rzeczywistości Var wydał tylko pytające chrząknięcie.

— Powstrzymałem na sześć lat rozszerzanie Imperium, ponieważ bałem się potęgi mieszkańców podziemi. Teraz jestem gotów wystąpić przeciwko nim. Nie twierdzę, że

to są źli ludzie, trzeba ich jednak stamtąd usunąć. Gdy ten wróg zniknie, Imperium zacznie się szybko rozrastać. Rozszerzymy cywilizację na cały kontynent.

A więc szemrający niezadowoleni nie mieli racji również pod tym względem! Nieuzbrojony nie zamierzał zdusić Imperium. Nie na zawsze.

— Mam dla ciebie niebezpieczne zadanie. Pozwoliłem ci zostać wolnym wojownikiem, abyś mógł sam podjąć decyzję. Będziesz musiał udać się samotnie w bardzo niebezpieczne miejsca i nie będzie ci wolno powiedzieć o tej misji, ani o swych przygotowaniach nikomu, oprócz mnie. Mówiłem Jimowi, że będziesz zwiadowcą, lecz on nie wie, jak niebezpieczne będą to zwiady. Możesz zginąć gwałtowną śmiercią, być torturowany, lub wpaść w pułapkę śmiertelnego promieniowania. Możliwe też, że aby osiągnąć cel, będziesz zmuszony do pogwałcenia Kodeksu Kręgu, gdyż mamy do czynienia z ludźmi pozbawionymi honoru. Przywódca podziemi żywi jedynie pogardę dla naszych obyczajów. Wódz czekał na odpowiedź, lecz Var milczał.

— Możesz poprosić w zamian o co zechcesz. Pragnę postąpić z tobą uczciwie.

— Czy, gdy już to zrobię — zapytał Var, starannie wymawiając słowa — będę mógł przyłączyć się do Imperium?

Bezimienny spojrział na niego zdumiony. Potem zaczął się śmiać. Var roześmiał się również, choć nie wiedział, co jest w tym zabawnego.

7

Najpierw była dziura na dnie dołu, w którym znikła woda podczas burzy. Dalej rozszerzała się ona w obszerną jaskinię. Var dotarłszy tutaj postać chwilę bez ruchu, przyzwyczajając oczy do ciemności i wchłaniając w siebie zapachy.

Wiedział, w którym kierunku znajduje się Góra. Ten zmysł, podobnie jak węch, zdolność widzenia w ciemnościach oraz biegu w pozycji zgiętej w pół, nie opuścił go z chwilą, gdy porzucił dzikie życie. Wciąż czuł się na pustkowiu jak w domu.

Zzał buty. Nigdy nie było mu w nich wygodnie, a do tego zadania jego kopytkowate palce nadawały się znacznie lepiej.

Przy wejściu było wilgotno, lecz większa część jaskini była już sucha. Jej dno pokryte było żwirem, zaś ściany porastały przypominające mech grzyby. Pod wpływem przecucia Var uniósł pałkę i podrapał nią ścianę. Pod warstwą porostów i brudu pokazał się metal.

To nie była zatem naturalna jaskinia. Wódz wspominał mu o takiej możliwości. Cała Góra, jak mówił, była nienaturalna, choć nie wiedział w jaki sposób powstała.

Szansę na to, że nienaturalna jaskinia łączy się z nienaturalną górą, wydawały się duże.

Var, którego zmysły przystosowały się już do otoczenia, ruszył naprzód. Miał za zadanie odnaleźć drogę prowadzącą do wnętrza groźnej góry, drogę, która omijałaby fortyfikacje znajdujące się na jej stoku i którą mogliby przejść ludzie. Jeśli ją odkryje i mieszkańcy podziemi nie dowiedzą się o tym, Imperium będzie mogło odnieść szybkie zwycięstwo.

Jeśli zaś takiej drogi nie znajdzie, na powierzchni dojdzie do krwawej bitwy. Życie wielu ludzi zależało od jego misji, może nawet życie samego Wodza.

Tunel rozgałęział się. Odnogę prowadzącą w stronę Góry zatykał gruz, zaś druga była czysta. Var wiedział, dlaczego tak jest; podczas deszczów woda spływała tędy, splukując wszelkie przeszkody. Musiał pójść tą drogą, licząc na to, że w trakcie wędrówki nie zaskoczy go następna burza. Gdyby tak się stało, nie miałby szansy ująć z życiem.

W miarę jak schodził w dół, przejście rozszerzało się. Miało niemal pionowe ściany z metalu, a pod sufitem w równych odstępach znajdowały się stalowe belki. Wkrótce tunel dotarł do wielkiej hali, przez której środek przebiegał długi dół. Var zajrzał do niego i zauważył, że dno rozpadliny pokryte jest błotem, w którym poruszają się jakieś ciemne kształty; robaki, czerwie lub coś jeszcze gorszego. Były czasy, gdy zjadał podobne specjały ze smakiem, lecz cywilizacja zmieniła jego upodobania.

Zastukał w płaską powierzchnię, na której stał. Pod zaskorupiałym brudem znajdowały się kafle przypominające podłogę gospody.

Wódz mówił mu, że w tych okolicach można znaleźć wiele rzeczy pochodzących z czasów przed Wybuchem. Starożytni budowali domy, tunele i cudowne maszyny. Niektóre z tych urządzeń powinny jeszcze działać, ale nikt nie potrafił ich uruchomić. Var

nie potrafił pojąć, do czego służyło tak wielkie, długie pomieszczenie z pokrytą kaflami podłogą i rowem dzielącym je na dwie części.

Ruszył wzdłuż niego, wsłuchując się w odległe szelesty i wyczuwając wonie unoszące się w hali. Choć oczy Vara przyzwyczały się już do mroku, nie widział wyraźnie, gdyż tak głęboko pod powierzchnią ziemi prawie nie było światła. Tylko mchy wydziełały słabiutką, bladozieloną poświatę.

Hala zwęziła się. Po chwili skośna ściana dobiegła do rozpadliny. Dalej można było iść tylko w dół. A więc starożytni nie używali tego miejsca jako drogi, gdyż nigdzie ono nie prowadziło. Wódz mówił, że przypominali oni Odmieńców i mieszkańców podziemi, lecz byli jeszcze dziwniejsi. Nie sposób było ich zrozumieć. Ta hala była na to dowodem. Żeby włożyć tak wiele wysiłku w równie bezużyteczną konstrukcję...

Ostrożnie zsunął się na dół. Dno znajdowało się na głębokości równej zaledwie połowie wzrostu dorosłego mężczyzny, ale Var obawiał się istot, kryjących się w spoczywającym tu mule. Jeśli się je znało, mogły być nieszkodliwe, tak jak trujące jagody, których po prostu nikt nie jadł, w przeciwnym razie mogły jednak okazać się śmiertelnie niebezpieczne.

Błoto było twardsze niż mu się początkowo zdawało. Wzdłuż niego ciągnęły się dwie równoległe metalowe sztaby umieszczone w odległości kilku stóp od siebie. Były niezwykle mocno przytwierdzone. Bez względu na to, z jak dużą siłą je szarpał, nie chciały się zgiąć, ani poruszyć. Ciągnęły się wzdłuż rozpadliny tak daleko, jak zdołał sięgnąć wzrokiem. Odkrył, że idąc po jednej z nich może posuwać się naprzód w ogóle nie dotykając błota. Warto było zadać sobie ten trud.

Jego kopytkowate palce, zmiękczone nieco przez buty, które musiał nosić, gdy przebywał wśród ludzi, lecz nadal mocne, uderzały szybko o metal. Z łatwością utrzymywał równowagę mimo ciemności i wąskiej podpórki. Tunel ciągnął się bez końca i nie prowadził w stronę Góry. Var nie chciał zapuszczać się zbyt daleko w obawie, że nadejdzie burza i spływające w dół wzburzone wody pochłoną go, zanim zdąży uciec. Potem jednak zrozumiał, że tunel jest zbyt wielki, by woda łatwo go wypełniła i ujrzał jej ślady na ścianach tylko trzy stopy nad poziomem prętów. W razie czego będzie mógł brodzić lub płynąć.

Mimo to nie było sensu podążać tym przejściem bez końca, gdyż zakręcało ono, oddalając się coraz bardziej od Góry. Nie była to droga, o którą chodziło Wodzowi.

Postanowił iść tędy jeszcze przez chwilę, a potem zawrócić.

Zatrzymał się jednak już po kilkunastu krokach. Tunel skończył się, lub raczej coś zablokowało przejście. Był to jakiś ogromny, dziwaczny kształt z mnóstwem różnych występów.

Var uderzył w niego pałą. Był twardy i pusty w środku. Wydawało się, że spoczywa na sztabach, po których szedł młody wojownik.

Czy za tą przeszkodą mogło znajdować się rozgałęzienie lub zakręt? Var namacał wystający czop i podciągnął się w górę. Chciał sprawdzić, czy można było przejść przez to coś.

Wsadził głowę do wnętrza przeszkody, wdychając zatęchłe powietrze. Potem uderzył pałą w jeden z boków napotkanego kwadratowego otworu. Wsłuchując się w wi-brujący dźwięk określił z grubsza kształt zawalidrogi i wdrapał się do środka.

Podłoga znajdowała się tutaj wyżej niż na zewnątrz. Pokrywała ją gruba warstwa kurzu i brudu. Przypominało to wnętrze budynku w Złym Kraju. Były tu przedmioty przypominające krzesła i miejsca, które mogły być oknami, gdyby nie to, że jedynie niewielka przestrzeń dzieliła ich otwory od litej ściany tunelu. W całym wnętrzu pa-

nowała zupełna ciemność. Oczy były bezużyteczne, zaś słuch mylił pogłos powstający w zamkniętej przestrzeni. Var postanowił więc skorzystać z latarki Odmieńców, którą dał mu Wódz.

Coś się poruszyło. Var nie poderwał się nerwowo, lecz skierował w tamtą stronę promień światła, zasłaniając oczy przed ostrym blaskiem. Po chwili, po namyśle przesłonił latarkę dłonią, przez którą przeświecały teraz jedynie czerwone smugi. Potem rozluźnił palce i pozwolił, by wiązka światła wytrysnęła naprzód i przyszpiliła ofiarę.

To był szczur, pokryte krostami stworzenie o małych oczach, które uciekło przed światłem z piskiem bólu.

Var wiedział jedno; szczury nie wędrowały samotnie. Tam, gdzie był jeden, mogła być setka, a tam, gdzie żyły szczury, były też drapieżniki. Zapewne małe, takie jak łasice, norki, czy mangusty, lecz niewykluczone, że liczne. Pamiętał też, że same szczury mogą być agresywne, a niekiedy też wściekłe.

Przeszedł szybko przez długi, wąski pokój. Na jego końcu, w świetle sączącym się między palcami ujrzał drzwi. Musiał ruszyć w dalszą drogę, zanim zbierze się tu zbyt wiele szczurów.

Za drzwiami znajdowało się kolejne identyczne pomieszczenie i następne drzwi. Jeszcze jedna tajemnicza konstrukcja starożytnych!

Idąc dalej napotkał węża. Gad był wielki; miał kilka kroków długości. Nie wyglądał na jadowitego, ale nie przypominał żadnego ze znanych gatunków. Być może był to mutant. Var wycofał się.

W poprzednim pomieszczeniu zdążyło się już zebrać więcej szczurów. Var przeszedł pomiędzy nimi, kierując latarkę w miejsca, w których zamierzał stawiać stopy. Gryzonie rozpierzchały się przed światłem, lecz ponownie zbierały się z tyłu, szczerząc groźnie małe zęby. Były zbyt agresywne, by mógł się czuć bezpiecznie. Wtargnął do ich gniazda, a one na własnym terytorium czuły się pewnie.

Wysunął się przez okno i zeskoczył na wilgotne podłoże tunelu. Stopy ugrzęzły mu w błocie. Było ono w tym miejscu bardziej miękkie, lub też jego skorupa pękła pod ciężarem Vara. Wyłączył latarkę, odczekał chwilę, by na nowo przyzwyczaić wzrok do ciemności, odszukał sztabę i ruszył w drogę powrotną.

Musiał znaleźć jakąś inną drogę. Oprócz szczurów i węży mogły się czaić i inne, groźniejsze zwierzęta. Na dodatek ta droga wiodła w złym kierunku.

Wtem coś przeleciało cicho wzdłuż tunelu. Var poczuł ruch powietrza i uchylił się nerwowo. To był nietoperz, pierwszy z wielu.

Czym żywiły się te wszystkie zwierzęta? Wydawało się, że nie ma tu innych roślin oprócz pleśni i grzybów.

I owadów. . . Usłyszał teraz, jak wzbijają się w smrodliwe powietrze ze swych niezliczonych jam.

Wylękniony, zapalił latarkę.

Były wśród nich białe ćmy.

Serce zabiło mu mocniej. W żaden sposób nie mógł uchronić się przed ich śmiercionośnymi żąłkami, chyba żeby stał bez ruchu, co również było niebezpieczne. Musiał iść, ale jeśli wpadnie na jedną z nich. . . Wtedy zostanie mu parę godzin, by wrócić na powierzchnię i znaleźć pomoc, zanim trucizna sprawi, że zapadnie w śpiączkę, która w tych tunelach z pewnością zakończy się śmiercią. Nawet gdyby otrzymał tylko lekkie użądlenie, które go osłabi, a potem nadejdzie deszcz. . . albo szczury staną się śmielsze i podążą za nim wzdłuż sztaby. . .

Jednakże nie wszystkie białe ćmy były mutantami ze Złych Krajów. Te wydawały się mniejsze. Może były nieszkodliwe.

Jeśli należały do śmiertelnej odmiany, ta droga nie nadawała się do użytku. Ludzie nie będą mogli nią przejść, choćby prowadziła prosto pod samą Górę. Dalsze poszukiwania nie miałyby sensu.

Najlepiej było sprawdzić to natychmiast. Var pobiegł przed siebie, aż wreszcie ujrzał wysokie pomosty. Wdrapał się na jeden z nich i określił swe położenie, odnajdując tunel, którym tu wszedł. Następnie pognął za białą ćmą i schwytał ją w obie dłonie. Jego ręce i nadgarstki były wystarczająco zręczne do tego celu.

Zamknął owada pomiędzy palcami, przerażony lecz zdeterminowany. Stał tak przez długą chwilę, starając się zapanować nad drżącymi, spoconymi dłońmi.

Uwięziona ćma trzepotała skrzydłami, lecz Var nie poczuł żądła. Gdy ścisnął ją lekko, wyrywała się łagodnie.

W końcu otworzył dłonie i wypuścił owada. Był on nieszkodliwy.

Usiadł na kilka minut, by odzyskać spokój. Wolałby wstąpić do Kręgu, by zmierzyć się z mistrzem miecza, mając okaleczone ręce, niż trzymać w ten sposób w dłoniach ćmę ze Złego Kraju. Podjął jednak próbę i zwyciężył. Ta droga była dobra.

Przeszedł przez rów z dwoma sztabami i wspiał się na drugi pomost. Były tam tunele prowadzące we właściwym kierunku. Czynił sobie wyrzuty, że nie zauważył ich przedtem. Wybrał jeden z nich i pobiegł wzdłuż niego.

Nagle zatrzymał się. Skóra zaczęła go piec.

Było tu promieniowanie. Silne.

Wycofał się i wypróbował następne odgałęzienie. Na promieniowanie natknął się jeszcze szybciej. Nie do przejścia.

Wkroczył do trzeciego. Ten zaprowadził go dalej, lecz i tu dotarł w końcu do tej samej ściany promieniowania. Wyglądało na to, jakby całą Górę otaczały hordy Rentgenów.

Pozostał tylko tunel ze sztabami, wiodącymi w przeciwną stronę. Może w ten sposób ominie gniazda Rentgenów. Musiał się tego dowiedzieć.

Var skoczył na dno rozpadliny i pobiegł po szynie, szybciej niż poprzednio. Czuł się teraz znacznie pewniej. Człowiek o normalnych, szerokich stopach nie potrafiłby zapewne utrzymać się na sztabie z taką łatwością, ani też słuchając dźwięku wydawanego przez uderzające o metal paznokcie stwierdzić, że sztaba biegnie dalej, co w panującym mroku miało duże znaczenie.

Szyna ciągnęła się i ciągnęła, całymi milami. Var minął następną serię pomostów. Wyczuł ślad promieniowania, lecz zanim zdążył się zatrzymać Rentgeny zniknęły.

Pomiędzy prętami leżało coraz więcej gruzu. Ściany stały się bardziej wyszczerbione, jakby jakiś potężny cios wstrząsnął całą tą okolicą. Gdy był dzikim chłopcem widywał podobne zawalone konstrukcje. Zastanowił się, czy gruz i promieniowanie mogą mieć ze sobą jakiś związek. Były to jednak czcze rozważania.

Był już bardzo blisko Góry. Dotarł do trzeciego poszerzenia tunelu i zestawu pomostów, były one jednak mocno zniszczone. Wszędzie rozciągały się kamienne zwaliska. Wyczuł również trochę promieniowania. Pobiegł naprzód, obawiając się o trwałość otaczających go konstrukcji.

W Złym Kraju budynki w podobnym stanie mogły się zawalić z byle powodu, a tutaj dużym zagrożeniem były spadające kamienie.

Szyna skończyła się nagle. Dalej tunel wypełniał gruz, który nie pozostawiał miejsca na przejście.

Var wrócił do trzeciej grupy pomostów i wczuł się na ten z nich, który leżał po stronie Góry. Omijał gruz i uważnie tropił Rentgeny. Gdy tylko wyczuł promieniowanie, nawet zupełnie słabe, wycofywał się. Wódz wyraźnie powiedział, że trzeba znaleźć całkowicie czystą drogę, gdyż zwyczajni ludzie mogli być bardziej wrażliwi na dotyk Rentgenów niż Var.

Dwa przejścia zamykała śmiertelna bariera. Trzecie było czyste. Leżały w nim odchody wskazujące, że zwierzęta odkryły już, iż można tędy przechodzić. To z kolei oznaczało, że tunel dokądś prowadził, być może na powierzchnię, gdyż zwierzęta nie wędrowałyby korytarzem bez wyjścia.

Droga rozgałęziała się. Widać starożytni mieli trudności z podejmowaniem decyzji! Var ponownie wybrał tunel prowadzący w stronę Góry i ponownie natknął się na przeszkodę.

Było to legowisko zwierzęcia i to wielkiego. Leżało tu mnóstwo świeżych odchodów. Var poczuł nagle woń drapieżnika i usłyszał jego kroki.

Tunel był na tyle wąski, że duże zwierzę mogłoby zaatakować jedynie z przodu lub z Tyłu. Var zaczekał na nie. Musiał się dowiedzieć, czy da się je zabić, by utorować drogę ludziom przedostającym się pod Górę. Chwycił latarkę i skierował światło przed siebie.

Szczury uciekły na boki spoglądając na niego z ukosa, lub biegały w kółko zbite z tropu. Nagle pojawił się obrzydliwy, żabi łeb o wielkich oczach i zrogowaciałym dziobie. Bezzębna paszcza otworzyła się. Błysnęło w niej coś różowego. Najbliższy szczur pisnął i poderwał się w górę, pociągnięty przez różową smugę. Był to długi, lepki język.

Smuga światła załśniła na jednym z wyłupiastych ślepi. Stworzenie zwinęło się w kłęb. Była to olbrzymia salamandra. Gdy Var się cofnął, ujrzał całe jej ciało, długości około pięciu kroków. Miała jędrną, błyszczącą skórę, krótkie nogi i gruby ogon.

Nie był pewien, czy zdołałby zabić to zwierzę pałkami, z pewnością jednak mógłby je zranić i odpędzić. Był to zmutowany płaz. Wilgotna skóra i płetwowate kończyny

wskazywały, że spędzał on wiele czasu w wodzie. Ponadto skóra Vara zareagowała na jego obecność. Stworzenie było pokryte Rentgenami.

Znaczyło to, że w pobliżu znajdował się zatopiony tunel przechodzący przez obszar, w którym było promieniowanie. W skażonej wodzie musiało być więcej podobnych mutantów, gdyż żadne stworzenie nie może żyć w samotności. To nie była odpowiednia droga dla ludzi.

Var odwrócił się i zaczął uciekać. Nie bał się zwierzęcia, lecz nie miał również ochoty pozostawać w jego pobliżu. Ono żywiło się szczurami i choćby ze względu na to było pożyteczne dla człowieka. Nie miał powodu, by z nim walczyć.

Pozostała jeszcze jedna odnoga. Skręcił w nią i pokłusował naprzód. Czas naglił i zaczął odczuwać głód.

Natrafił na kolejne zwałisko, zdołał się jednak przedostać na drugą stronę i ujrzał światło.

Nie było to światło dnia, lecz żółty blask elektrycznej żarówki. Dotarł do Góry.

Korytarz był tu szeroki i czysty. Leżały w nim stosy masywnych skrzyń, za którymi można było się ukryć. To z pewnością musiał być magazyn.

W pobliżu otworu, przez który wszedł do środka, leżało jedzenie: kilka kawałków chleba i miseczka wody.

Trucizna! — rozpoznał. W chłopięcych latach Var wielokrotnie unikał podobnych pułapek. Wszystko, co wyłożono w tak kuszący sposób, było podejrzane. W ten sposób mieszkańcy podziemi radzili sobie ze szczurami.

Jego misja była spełniona. Mógł wrócić i przyprowadzić tutaj wojowników uzbrojonych w broń palną. Ta izba z pewnością łączyła się z głównymi pomieszczeniami Góry. Było tu też wystarczająco wiele miejsca, by ludzie mogli ukryć się przed atakiem.

Ale... lepiej się upewnić. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby prowadząca dalej droga była zamknięta. Zapуścił się w głąb pomieszczenia, ukrywając się za skrzyniami, choć nie było tu nikogo, kto mógłby go zobaczyć. Na jego końcu odkrył zamknięte drzwi. Zbliżył się do nich ostrożnie.

I usłyszał kroki.

Rzucił się w stronę tunelu, lecz natychmiast zdał sobie sprawę, że w ciągu chwili, która mu pozostała, nie zdąży przecisnąć się nie zauważony przez mały otwór. Po-

nownie schował się za skrzyniami. Drzwi otworzyły się. Musiał przeczekać, albo zabić mieszkańca Góry. Wziął w rękę obie pałki.

Kroki ruszyły w jego stronę, dziwnie lekkie i szybkie. Przyszedł sprawdzić truciznę, domyślił się Var. Przynętę trzeba było zmieniać co kilka godzin, gdyż w przeciwnym razie szczury przestałyby zwracać na nią uwagę. Gdy przybysz przeszedł, Var wystawił głowę ponad skrzynię i spojrzał na niego.

To była kobieta.

Zacisnął mocniej dłonie na pałkach. Jak mógł zabić kobietę? Tylko mężczyźni walczyli w Kręgu. Kobietom w zasadzie nie było to zabronione, ale po prostu brak im było niezbędnej do tego wiedzy i zdolności. Zresztą ich głównym zadaniem było dbać o mężczyzn i rodzić dzieci. Ponadto, gdyby nawet ją zabił, to co zrobiłby z ciałem? Zwłoki trudno jest ukryć, gdyż szybko zaczynają śmierdzieć. Tak czy owak, misja Vara wyszłaby na jaw, jeśli nie natychmiast, to z pewnością po upływie kilku godzin. O wiele za szybko, by koczownicy zdołali tu wejść niepostrzeżenie.

Kobieta była w średnim wieku, ale lżejszej budowy niż Sola. Włosy miała krótkie, brązowe i falujące, a twarz o tajemniczym wyrazie. Poruszała się z gracją. Ubrana była

w kitel, który ukrywał jej figurę. Gdyby nie zdradziły jej twarz i postawa, Var mógłby ją wziąć za dziecko ze względu na niski wzrost. Czy tak wyglądali wszyscy mieszkańcy podziemi? Mali, starzy i w kitlach? W takim razie nie trzeba było się martwić o wynik walki.

Spojrzała na chleb i zatrzymała się nagle.

Tam, na cienkiej warstwie kurzu, widoczne były ślady stóp Vara. Kobieta mogła nie poznać, że to ślady ludzkich stóp, musiała jednak odgadnąć, że przeszło tędy coś znacznie większego niż szczur.

Var rzucił się na nią, wznosząc w górę obie pałki. Nie miał teraz wyboru.

Odwróciła się błyskawicznie, unosząc drobne dłonie. Z jakiegoś powodu pałki nie trafiły w jej głowę, a Var został nagle szarpnięty i uniesiony w górę. Za moment wpadł na ścianę i runął na ziemię.

Zerwał się ponownie i spojrzał w jej stronę. Ujrzał, że zrzuciła kitel i stała pewnie na obu nogach, czekając na niego z uniesionymi w górę dłońmi i czujnym wyrazem twarzy. Była ubrana w krótką spódniczkę i jeszcze bardziej skąpy stanik. Jak na swój wiek miała zaskakująco pełne kształty. W tym również przypominała Solę.

Var widywał już taką ostrożną, pewną siebie postawę. Było to wtedy, gdy Wódz schwytał go w Złym Kraju oraz gdy mężczyźni stawali naprzeciw siebie w Kręgu. Było niewiarygodne, że kobieta, w dodatku mająca najlepsze lata za sobą i niewiele większa od dziecka, mogła okazać taką zręczność. Var jednak nauczył się już radzić sobie z niezwykłymi sytuacjami oraz szybko i dokładnie odczytywać niekorzystne znaki.

Wycofał się ostrożnie i wcisnął do tunelu.

Gdy znalazł się po drugiej stronie, przycisnął się w ciemności i czekał z pałkami w dłoniach, aż jej głowa pojawi się w wąskim otworze. Była jednak sprytna i nie podążyła za nim. Var zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie i zobaczył, że stoi bez ruchu, obserwując go.

Schował się szybko. Gdy tylko uznał, że nic już mu nie grozi, zaczął biec z powrotem tą samą drogą, którą przybył. Musiał opowiedzieć o wszystkim Wodzowi.

8

Bezimienny wysłuchał raportu w całkowitym milczeniu. Var obawiał się, że zawiódł, choć nie wiedział dokładnie dlaczego. Przecież znalazł drogę prowadzącą pod Górę.

— Jeśli nawet powie władcy Góry i zamkną przejście, będziemy mogli je otworzyć...

— Nie, mając przeciwko sobie miotacze ognia — rzekł Wódz ponuro. Nagle skrył głowę w dłoniach.

— Gdybym wiedział! Gdybym tylko wiedział! Właśnie ona! Poszedłbym sam!

Var spojrział na niego nic nie rozumiejąc.

— Wiesz, kim jest ta kobieta?

— To Sosa.

Var czekał na dalsze wyjaśnienia, gdyż to imię nic mu nie mówiło, Wódz jednak milczał.

Po dłuższej chwili Nieuzbrojony powiedział:

— Będziemy musieli przypuścić bezpośredni, frontalny atak. Sprowadź mi Tyla.

Var wyszedł bez słowa. Tyl nie był jego przyjacielem i znajdował się w obozie odległym o kilkaset mil, a Var nie musiał wykonywać żadnych rozkazów. Mimo to poszedł po Tyla.

Dzień drogi za obozem Wódz dogonił go Jim Pistolet.

— Przekaż to Tyłowi — powiedział. — Ale nikomu więcej.

Wręczył Varowi pistolet, pudełko z amunicją i list.

Tyłowi imponowała siła. Dlatego też pistolet go zafascynował.

Z przyczyn, których Var nie rozumiał, choć podejrzewał, że wpłynął na to przyniesiony przez niego list, Tyl zapomniał o urazie i próbował pozyskać sobie jego sympatię.

Var ze swej strony potrafił dobrze zapamiętać każdego, kto kiedykolwiek wyrządził mu krzywdę i bynajmniej nie zapomniał upokorzenia, które przeżył podczas pierwszego spotkania z tym mężczyzną. Tyl należał do ludzi, którzy w razie potrzeby potrafią być bardzo mili. Zabiegał zatem o względy Vara, zupełnie tak, jakby był on śliczną dziewczyną.

Do czasu, gdy Tyl i jego plemię dotarli do Góry, on i Var zostali przyjaciółmi. Po drodze wielokrotnie wstępowali razem do Kręgu. Pod okiem Tyla Var zrobił znaczne postępy w sztuce walki pałkami. Zrozumiał też, jakim był śmiesznym głupcem próbując wyzwać Tyla do walki na tę broń. Tyl nigdy nie miał powodu, aby się go obawiać. Podczas ćwiczeń rozbroił Vara z tuzin razy, za każdym razem pokazując mu, jaki błąd popełnił i jaką obronę należy w takim przypadku zastosować.

Tyl wymienił też wiele imion wojowników Imperium, których Var miał za zadanie przewyższyć. Ostrzegł go również przed innymi, których powinien się obawiać.

— Jesteś silny i twardy — stwierdził — a także odważny, lecz brak ci jeszcze doświadczenia. Będziesz gotów dopiero za rok albo dwa...

Wieczorami, gdy Var ćwiczył obronę przeciwko innym broniom. Wódz nauczył go podstawowych technik, ale to nie było to samo, co prawdziwa walka. Pałki musiały się nauczyć stępiać ostrze miecza, umykać maczudze i zwodzić uderzenia drąga. W przeciwnym razie nie byłoby z nich żadnego pożytku. W końcu pałki Vara opanowały wszystkie te sztuki i młodzieniec wrócił do ukrytego w pobliżu Góry obozu Bezimienego jako znacznie lepszy wojownik. Teraz rozumiał, dlaczego Tyl zajmował drugie miejsce w Imperium. Był honorowym i rozsądnym mężczyzną oraz znakomitym wojownikiem. Nie pozwalał też, by drobne osobiste urazy wpływały na jego decyzje. Spór pomiędzy nimi był drobnym nieporozumieniem, które Var błędnie wziął za złą wolę.

Var był obecny przy rozmowie Nieuzbrojonego z Mistrzem Dwóch Broni.

— Widziałeś pistolet — stwierdził Wódz. — Wiesz, czego potrafi dokonać.

Tyl skinął głową. Prawda była taka, że strzelał z niego wiele razy i opanował tę sztukę całkiem niezłe. Zastrzelił nawet królika, czego Var, ze swą niezgrabną dłonią, nie potrafił jak dotąd dokonać.

— Ludzie, z którymi mamy do czynienia, mają pistolety i jeszcze groźniejsze rodzaje broni. Nie przestrzegają też praw Kręgu.

Tyl ponownie skinął głową. Var wiedział, że fascynują go problemy związane z walką przy użyciu broni palnej.

— Przez sześć lat powstrzymywałem podboje w obawie przed mordercami z podziemi oraz ich bronią palną, której my nie mieliśmy.

Tyl zrobił zaskoczoną minę.

— Ależ ludzie, którzy idą na Górę. . . — zaczął.

— Nie zawsze tam giną.

Var nie potrafił zrozumieć wyrazu, który przemknął przez twarz Tyla.

— Sol, Mistrz Wszystkich Broni. . .

— Żyje pod Górą. Jest zakładnikiem.

— A ty. . .

— Przybyłem z Góry. Wróciłem. Tyl rozdziawił szeroko usta.

— Sos! Sos Sznur! A ptak. . .

— Bez imienia, bez broni, bez szans. Głupi umarł. Nakazano mi zniszczyć Imperium.

Tyl i Wódz wyglądali tak, jakby zaszło między nimi coś zdumiewającego, głębokiego i niezupełnie przyjemnego, co nie ograniczało się tylko do sprawy Góry. Var nie pojmował tego, choć skojarzył imię „Sos” z imieniem „Sosa”. Domyślił się, że Tyl nadal jest wierny Solowi, Mistrzowi Wszystkich Broni, poprzedniemu Wodzowi Imperium. Być może to wiadomość, że tamten żyje, tak go podnieciła.

— A teraz...? — zapytał Tyl.

— Teraz my również mamy broń palną.

— Imperium...

— Będzie się rozrastać. Być może pod władzą Sola, jak uprzednio. Po tym, jak podbijemy Górę.

— Ale tej... broni palnej... nie można używać w Kręgu — sprzeciwił się Tyl. Var widział jednak jego entuzjazm.

— To nie jest walka w Kręgu. To wojna.

Var był wstrząśnięty. Wiedział, co to jest wojna, gdyż Wódz mówił mu to wiele razy. Wojna była przyczyną Wybuchu.

Wódz spojrział na niego, wyczuwając głębię jego zaniepokojenia.

— Mówiłem ci, że wojna jest złem i że nigdy więcej nie może mieć miejsca. Już raz omal nie zniszczyła świata. Tu jednak mamy do czynienia z problemem, którego nie można tak zostawić. Musimy opanować Górę. To jest wojna dla skończenia z wojnami.

Słowa Wodza brzmiały rozsądnie, Var wiedział jednak, że coś tu nie jest w porządku. W tym planie tkwiło zło, nie tylko związane z samą wojną. Po raz pierwszy zwątpił w mądrość Nieuzbrojonego, nie potrafił jednak zdecydować, co go niepokoi, nie powiedział więc nic.

Tyl również sprawiał wrażenie niezadowolonego, nie sprzeciwił się jednak.

— W jaki sposób mamy to osiągnąć?

Wódz wyciągnął szkic, który wykonał podczas miesięcy spędzonych na obserwacji Góry.

— Odmieńcy nazywają to mapą. Obejrzałem Górę dokładnie ze wszystkich stron. Popatrz, tu leży nasz obecny obóz — daleko poza zasięgiem ich urządzeń obronnych. Tu jest gospoda, w której zatrzymują się samobójcy przed wejściem na Górę, a tu tunel metra, który zbadał Var.

— Metra? — najwyraźniej dla Tyla to słowo było równie nowe, jak dla Vara.

— Starożytni używali go do podróżowania. Metalowe pojazdy przypominające nieco ciągniki Odmieńców, z tym że poruszające się po szynach i ze znacznie większą prędkością. Te, które posuwały się na powierzchni, nosiły nazwę „pociągów”, a pod ziemią „metra”. Var mówił mi, że widział tam wagony metra.

Var nie mówił mu nic takiego. Zdał tylko sprawozdanie z tego, co widział: tunele, pomosty, sztaby, skrzynie, usypisko, promieniowanie, potwór. Nie zauważył niczego, co przypominałoby ciągnik Odmieńców. Dlaczego Wódz kłamał?

— Miałem nadzieję wykorzystać tę drogę, aby dokonać ataku z zaskoczenia, lecz w podziemiach wiedzą już o niej. Wiedzą, że ją znamy i że promieniowanie opadło. Z pewnością zastawili tam pułapki. Musimy zaatakować na powierzchni.

Tyl wyraźnie odetchnął z ulgą.

— Moje plemię zdobędzie Górę dla ciebie.

Wódz uśmiechnął się.

— Nie wątpię w umiejętności twojego plemienia, ale twoi ludzie są wojownikami walczącymi w Kręgu. Co mogą działać przeciwko broni palnej i to strzelającej z ukrycia, bez ostrzeżenia? A także przeciwko miotaczom ognia?

— Miotaczom ognia?

— To strumienie płomieni, które w parę chwil mogą pochłonać człowieka.

Tyl skinął głową, lecz Var zauważył, iż nie uwierzył on, że jest to możliwe. Var również nie uwierzył. Gdyby ogień wystrzelił strumieniem, wiatr by go zgasił.

— Czy pamiętasz, jak... ktoś... powiedział ci o białych ćmach, których uządlenie jest śmiertelne? O małych stworzonkach, zdolnych pokonać uzbrojonych wojowników? Ogniu pływającym po wodzie?

— Pamiętam — odparł z powagą Tyl.

Var nie rozumiał, jaki związek ze sprawą miały te pytania. Wszyscy wiedzieli o ćmach i rojach ryjówek ze Złych Krajów, zaś pływający ogień był bzdurą. Wydawało się jednak, że dzięki temu Tyl uwierzył w miotacze ognia.

— To nie będzie piękna walka — stwierdził Nieuzbrojony. — Ludzie będą ginąć poza Kręgiem, nie widząc tych, którzy ich zabijają. Będziemy jak ryjówki — musimy zalać przygotowany do odparcia ataku obóz. Zginą nas krocie, lecz jeśli będziemy nieustępliwi, zdobędziemy Górę mimo wszystkich ukrytych tam okropności. Porozmawiaj z namiestnikami. Każ im znaleźć ochotników do walki, w której zginie połowa z nich.

Nie będą używać zwykłej broni. Tym, którzy się zgłoszą, wydamy karabiny i nauczymy posługiwać się nimi.

Tyl podniósł się z uśmiechem na ustach.

— Tęskniłem za dawnymi dniami. Teraz one wracają.

Trzy tysiące mężczyzn z wielkiego plemienia Tyla odłożyło na bok swe naturalne uzbrojenie i przystąpiło do ćwiczeń z karabinami. Ludzie z małego plemienia Jima przebywali na strzelnicy dniem i nocą. To oni uczyli koczowników obchodzić się z bronią palną. Tym, którzy opanowali już sztukę strzelania, wręczano pistolet lub karabin oraz dwadzieścia nabojów i kazano zgłosić się do głównego obozu, gdzie zabroniono strzelać zanim nadejdzie bitwa.

Var miał pod dostatkiem zajęcia. Przenosił wiadomości pomiędzy Wodzem, Tylem i pomniejszych dowódcami. Nieuzbrojony śleczął nad mapą Góry, nanosząc na nią znaki oznaczające pozycje swoich wojowników.

— Jesteśmy ryjówkami — stwierdził tajemniczo — i musimy używać taktyki ryjówek. Oni wiedzą, że tu jesteśmy, lecz nie wiedzą kiedy i w jaki sposób przypuścimy atak. Nie zabijają zakładników dopóki nie będą pewni, kiedy to nastąpi. Spróbujemy

zgnieść ich naszą przewagą liczebną, zanim się zorientują. Mimo to nie spodziewam się, że po zakończeniu tej bitwy będę szczęśliwym człowiekiem.

Jedynym zakładnikiem, o którym wiedział Var, był Sol, poprzedni Wódz Imperium. Dlaczego jego los był taki ważny? Wodzowi nie powinno chyba zależeć na powrocie konkurenta do władzy.

Wreszcie wyszkolono ludzi i rozwinięto ich w pierścień otaczający całą Górę. Specjalny oddział strzegł wylotu tuneli metra. Wokół Góry nie było miejsca dla żon i dzieci. Przeniesiono je więc do oddzielnego obozu, odległego o dzień drogi stąd.

Wojownicy byli gotowi, lecz Wódz nie wydawał rozkazu ataku. Zwłoka drażniła ich, ponieważ pragnęli wypróbować nową broń oraz stawić czoła ludziom z podziemi. Góra napawała koczowników gorączkową fascynacją. Mieli karabiny i wierzyli, że potrafią zdobyć każdą fortecę, ale zdobycie Góry byłoby jak zwycięstwo nad samą śmiercią!

Wtem, w najgorszy z możliwych dni, Wódz kazał ruszać. Nie zważał na trwogę Tyla i zdumienie Vara. Przystąpili do szturm na Górę w chwili, gdy rozszalała się straszliwa burza.

Var i Tyl stali obok Bezimiennego, zgodnie z jego życzeniem. Obaj zastanawiali się skrycie, czy ich dowódca nie postradał zmysłów. Obserwowali sytuację ze specjalnie przygotowanego stanowiska. Trudno było zobaczyć cokolwiek w padającym deszczu, wiedzieli jednak, na co zwracać uwagę.

— Błyskawice powinny oślepić część z ich urządzeń telewizyjnych — wyjaśnił Wódz. — Zawsze tak się dzieje. Grzmoty stłumią huk strzałów, a deszcz zagłuszy odgłosy posuwania się naszych oddziałów i być może złagodzi też efekt użycia miotaczy ognia. To, oraz liczba atakujących, powinno załatwić sprawę.

A więc Bezimienny wcale nie zwariował, zrozumiał Var. Mieszkańcy Góry, sądząc że podczas deszczu nie dojdzie do ataku, nie będą przygotowani.

Wódz wręczył im lornetki polowe, kolejny wynalazek starożytnych, i zademonstrował szybko, jak ich używać. Dzięki nim mogli zobaczyć odległe zbocza Góry tak, jakby były całkiem blisko. Deszcz zasłaniał nieco widok, lecz i tak efekt był zdumiewający.

Var obserwował oddział smaganych ulewą mężczyzn podążających ku pierwszym metalowym belkom, wystającym z podnóża Góry, która była w istocie szarą masą. Aż do jej podstawy sięgały skarłowaciałe drzewa, zaś z samej powierzchni tu i ówdzie

sterczały nieliczne chwasty. Na przerdzewiałych stalowych belkach siedziały tłuste mysołowy. Czekwały nie zważając na deszcz. Dziś z pewnością będą miały ucztę!

Przez metalową gęstwinię belek i sztab prowadziły ścieżki. Z oddali sporządzono ich mapę. Wojowników zaopatrzono w kołki i haki. Byli oni w stanie w ciągu kilku minut pokonać przeszkodę, której sforsowanie mogłoby zająć nie przygotowanemu człowiekowi pół dnia. Już teraz kolumna, którą obserwował Var, zaczęła się rozpraszać, poszukując osłony.

Nagle ziemia uniosła się w powietrze, uderzając w biegnących ludzi. Wyrzuciło ich w górę i przez moment lecieli ponad przeorany gruntem. Buchnął dym, który zasłonił widoczność.

— Miny — stwierdził Wódz. — Obawiałem się tego.

— Miny — powtórzył Tyl. Var nie miał wątpliwości, że zanotował on sobie w pamięci kolejną rzecz, której należało się wystrzegać w przyszłości.

— Materiały wybuchowe ukryte w ziemi. Nie sposób odgadnąć, w którym miejscu się znajdują. Ciężar jednego człowieka wystarczy, by wywołać wybuch... — nastąpiła

znacząca przerwa. — Ten teren powinien być teraz bezpieczny dla innych wojowników. Miny już wybuchły.

Odgłosy bardziej odległych eksplozji wskazywały, że inne otaczające Górę obszary również stawały się bezpieczne. Var zastanawiał się, skąd Wódz wie tak dużo. Wydawało się, że spędzał on większość czasu na czytaniu starych ksiąg, lecz mimo to sprawiał wrażenie, jakby jeszcze dodatkowo zwiedził cały świat i zgłębił wszystkie jego sekrety.

Druga fala ludzi przebiegła przez dymiące wyrwy w miejscu, w którym przedtem wybuchły miny. Dotarli do podstawy Góry, kryjąc się tak, jak ich uczono. Obrońcy jednak milczeli.

Wojownicy przedostawali się między powyginanymi belkami lub pod nimi, podążając wzdłuż ścieżek, które znali. Z tej odległości kolumna przypominała wijącego się węża, który pojawiał się i znikał pod częściową osłoną. Wreszcie koczownicy wbiegli na pierwszy z płaskowyżów.

I z ziemi wysunęły się rury, z których trysnął ogień.

Teraz Var uwierzył. Wydawało mu się, że czuje zapach palącego się mięsa, gdy ludzie szamotali się, płonęli i ginęli.

Padło wielu, lecz następni już nadchodzili. Zaatakowali rury z boków, gdyż ogień mógł wytryskiwać tylko w jednym kierunku. Zaczęli strzelać w otwory, a ci, którzy zabrali ze sobą maczugi i drągi, uderzali nimi w wystające części miotaczy, zginając je. W końcu płomienie zgasły. Deszcz nie przestawał padać, zalewając wszystko wodą.

— Twoi ludzie są odważni i dobrze wyszkoleni — powiedział Wódz do Tyla.

Ten nie był jednak łasy na pochwały.

— W słoneczny dzień nikt z nich by nie ocalał. Teraz to wiem.

Wreszcie przeciwnik odpowiedział ogniem na ogień. Przerzedzone oddziały ruszyły dalej. Teraz jednak nie miały już osłony przed ukrytymi stanowiskami ogniowymi. Zamontowana w nich broń była czymś o wiele groźniejszym od pistoletów.

— Karabiny maszynowe — rzekł Bezimienny i wzdrygnął się. — Nie możemy dalej atakować. Wydaj sygnał do odwrotu.

Zanim jednak ten rozkaz dotarł do nacierających, zginęło ich jeszcze bardzo wielu.

Wieczorem, gdy podsumowali wszystkie straty dowiedzieli się, że w tym szturmie zginęło prawie tysiąc ludzi. Najprawdopodobniej nikt z obrońców nie został zabity.

— Czy przegraliśmy? — zapytał niepewnie Var, gdy znalazł się sam na sam z Wódczem. Czuł się winny, że nie znalazł, lub raczej nie utrzymał w tajemnicy, podziemnej drogi prowadzącej pod Górę. Wszyscy ci odważni ludzie mogliby jeszcze żyć...

— Pierwszą bitwę tak, ale nie wojnę. Ustawimy strażę na zdobytym terenie. Dzięki temu nie będą mogli umieścić tam nowych min, czy miotaczy ognia. Wiemy też, gdzie znajdują się ich karabiny maszynowe. Zaczniemy oblężenie. Zbudujemy katapulty, by bombardować ich stanowiska. Będziemy rzucać na nie granaty. Prędzej czy później odniesiemy zwycięstwo.

Do wejścia zbliżył się jakiś wojownik.

— To papier — powiedział unosząc rękę. — Zapisany. Był w metalowym pudełku, które spadło na nasz obóz. Jest adresowany do ciebie.

Wódcz wziął list.

— To, że umiesz czytać, może zmienić losy wojny — pochwalił wojownika.

Zadowolony z pochlebstwa mężczyzna opuścił namiot.

Var wiedział, że wiele kobiet, a również nieliczni mężczyźni, zajmowało się czytaniem. Czyżby warto było to robić?

Wódz rozwinął kartkę i przyjrzał się jej. Uśmiechnął się z przekąsem.

— Zrobiliśmy na nich wrażenie! — oznajmił. — Chcą negocjacji.

— Czy poddadzą się bez walki? — Var nie zadał sobie trudu, by dokładnie wymówić wszystkie słowa, taka jednak była istota jego wypowiedzi.

— Niezupełnie.

Var spojrział na Wodza, znowu go nie zrozumiał. Bezimienny zaczął czytać:

— Celem uniknięcia bezsensownego dziesiątkowania ludzi i niszczenia sprzętu proponujemy rozstrzygnięcie przez pojedynek wyznaczonych reprezentantów. Miejsce: płaskowyż na szczycie Góry Muz, dwanaście mil na południe od Helikonu. Data: szósty sierpnia, rok 118 po Wybuchu. Wybór pozostałych warunków należy do was. Jeśli zwycięży nasz reprezentant, zaprzestaniecie działań wojennych, opuścicie tę okolicę na zawsze i nie zezwolicie już na żadne ataki na Helikon. Gdyby zwyciężył wasz wojownik, poddamy wam Helikon w stanie nietkniętym. Odpowiedzcie nam przez wideofon w najbliższej godzinie.

— Co ty na to, Var? — spytał Wódz po chwili milczenia.

Var nie wiedział, co odpowiedzieć, więc nie odpowiedział.

— Wydaje ci się to rozsądne? Czy sądzisz, że nasz reprezentant mógłby zwyciężyć w walce ich wojownika?

Var nie wątpił, że Wódz mógłby pokonać każdego przeciwnika, którego ludzie z podziemi wysłaliby przeciwko niemu, zwłaszcza jeśli warunki pojedynku przewidywałyby walkę bez broni palnej. Skinął twierdząco głową.

Wódz wyciągnął mapę.

— Tu leży góra, o którą chodzi — pokazał. — Widzisz jak gęsto przebiegają warstwy?

Var ponownie skinął głową, rozumiał jednak, że jest to tylko część problemu.

— To znaczy, że jest ona bardzo stroma. Gdy przyglądałem się jej z bliska, dostrzegłem, że nie potrafiłbym się na nią wdrapać. W każdym razie nie szybko. Jestem na to zbyt ciężki i niezgrabny. A na szczycie leżą głazy...

Var wyobraził sobie kamienie spychane w dół na głowę przeciwnika przez tego, który wspinał się szybciej. Bezimienny nie miał sobie równych w walce, lecz spadające głazy mogłyby zranić lub zabić. Być może wybrano ten szczyt po to, by uniemożliwić mu przyjęcie wyzwania i zmusić go do wystawienia słabszego reprezentanta.

— A więc... ktoś inny? Mamy wielu dobrych wojowników.

Var użył słowa „my”, choć wiedział, że nie jest jeszcze członkiem Imperium.

— Będzie to nie tylko próba walki, lecz również wspinaczki. Ponadto mamy tylko jeden dzień na przygotowania, gdyż dzisiaj jest czwarty sierpnia według podziemnego kalendarza.

— Więc jutro rano robimy turniej wspinaczki! — zawołał Var. Wiedział, że choć jego słowa stały się niezrozumiałe pod wpływem podniecenia, Wódz zrozumie, co ma na myśli.

Nieuzbrojony uśmiechnął się posepnie.

— Czy nie podejrzewasz zdrady?

Do tej chwili nie podejrzewał. Rozumiał jednak, że gdyby władca podziemi nie uonorował wyniku pojedynku, koczownicy będą mogli zdobywać Górę zgodnie z pierwotnym planem. Warto więc było spróbować.

Nieuzbrojony podążył za jego myślami.

— Zgoda. Powiedz Tyłowi, żeby wybrał pięćdziesięciu najzręczniejszych wojowników do turnieju wspinaczki. Nocą odbędę rozmowę z Górą, a jutro będziemy ćwiczyć na Górze Muz.

Nadal jednak sprawiał wrażenie, jakby coś go gnębiło.

* * *

O świcie następnego dnia Var stanął u podnóża Góry Muz czekając aż zrobi się dostatecznie jasno, by rozpocząć wspinaczkę, czy raczej, by inni mogli ją rozpocząć razem z nim, gdyż oczy koczowników słabiej widziały w ciemności niż jego własne. Wiedział, że weźmie udział w tych zawodach już od chwili, gdy Wódz zgodził się je urządzić. Ze swymi dłońmi pokrytymi zrogowaciałą skórą i kopytkowatymi stopami, a także ze względu na lata spędzone w dziczy, miał duże szansę okazać się najlepszym wspinaczem. Ponieważ nie był członkiem Imperium Wodza, nikt nie mógł mu zabronić udziału w turnieju.

Tyl uśmiechnął się na jego widok i nie powiedział nic.

W południe Var został zwycięzcą zawodów.

— Ależ on jest jeszcze żółtodziobem! — zaprotestował Wódz, zdumiony tą sytuacją.

Tyl uśmiechnął się i przywołał kilku koczowników.

— To są wojownicy, którzy zajęli trzy dalsze miejsca. Pozwól mu zmierzyć się z nimi.

Zatroskany Nieuzbrojony wyraził zgodę. Tak więc Var, zmęczony po porannym wysiłku, lecz gotowy do walki, zmierzył się z mężczyzną, który dotarł na szczyt kilka minut po nim. Gdyby był to pojedynek reprezentantów na szczycie Góry Muz, Var miałby pod dostatkiem czasu, by okaleczyć przeciwnika zrzucając na niego kamienie. W tym leżał sens turnieju wspinaczki — najlepszy wojownik w Imperium przegrałby walkę, gdyby był wolniejszy od tego, którego wysłał władca Góry. Kiedy jednak przyjdzie do prawdziwej walki, w niej również będzie musiał okazać się lepszy od przeciwnika.

Drugie miejsce w wyścigu zajął chudy i zwinny wojownik z drągiem, którym zręcznie pomagał sobie podczas wspinaczki. Var wstąpił do Kręgu. Przypomniawszy sobie szybko rady, jakich udzielali mu kiedyś Wódz i Tyl. Pałki przeciw drągowi. Pałki były szybsze, a drąg mocniejszy. Pałkami można było przypuścić oburęczny atak, lecz trudno

było się przebić przez dobrą obronę drąga. A jeśli pałki nie dokonają tego szybko, prędzej czy później drąg znajdzie okazję na zadanie decydującego ciosu.

Przeciwnik zdawał sobie sprawę z tego wszystkiego równie dobrze jak Vara, a ponadto miał więcej doświadczenia. Czas pracował na jego korzyść i było oczywiste, że zamierzał to wykorzystać. Blokował ostrożnie ciosy, nie popełniając żadnych błędów. Chciał sprowokować Vara, by ten ruszył na niego.

Var zrobił to, uderzył jednak pałką w drąg, nie w przeciwnika. Potem udawał, że chce go trafić w głowę, w stopy, w kostki dłoni trzymających drąg, aż w końcu rywal znudził się tym nękaniem i jego ruchy stały się odrobinę wolniejsze.

I wtedy Var skierował gwałtowne uderzenia na głowę i tułów jednocześnie. Drąg obrócił się, by odparować obydwa, lecz nie wystarczająco szybko, gdyż poprzednie, odwracające uwagę wypady Vara uspiły czujność jego właściciela. Cios wymierzony w głowę chybił, lecz drugi doszedł celu. Przynajmniej jedno żebro zostało złamane.

Mężczyzna skrzywił się z bólu. Uniósł drąg, by uderzyć Vara w odsłoniętą rękę, lecz Tyl wkroczył do Kręgu.

— Pierwsza rana! — oznajmił. Wycofajcie się.

A więc Var zwyciężył. Przewaga, którą zdobył, w zwykłym pojedynku wystarczyłaby, aby prędzej czy później zapewnić mu zwycięstwo. To było wszystko, co musiał zademonstrować. Nie było sensu marnować sił. Jutro czekała go prawdziwa walka.

Następny przeciwnik użył sztyletów. Var zadrżał w duchu na ten widok, gdyż noże były równie szybkie jak pałki, a ich ciosy bardziej niebezpieczne. Miecz czy maczuga wywierały większe wrażenie, lecz sztylet we wspieranej dłoni był bardziej śmiercionośny w ograniczonej przestrzeni Kręgu.

Jednak z drugiej strony cięcia i pchnięcia musiały być zadawane pod odpowiednim kątem. Uderzenie płazem noża było bezużyteczne. Poza tym sztylety nie nadawały się do blokowania ciosów. Choć skuteczniejsze w ataku, były ogólnie rzecz biorąc słabszą bronią niż pałki.

Var nie miał wyboru. Musiał walczyć ze sztyletami, skupiając się przede wszystkim na obronie. Jeśli będzie miał okazję zadać cios nie ryzykując przy tym zbytnio, zrobi to. Jeśli nie. . .

Rywal stale atakował, a Var musiał walczyć ostrożnie, podobnie jak jego przeciwnik w poprzedniej walce. Jeśli nie zdoła zmienić tej sytuacji, rezultat będzie taki sam, z tym, że to jemu przypadnie rola ofiary.

Tamten jednak zaczął się męczyć. Był to starszy mężczyzna, w wieku Wodza. Z pewnością doświadczenie uczyniło z niego wprawnego wojownika, lecz jego wiek sprawił, że szybko poczuł zmęczenie. W miarę upływu czasu Var zdobywał stale narastającą przewagę.

Gdy to zauważył, wiedział już, że wygrał. Z większą pewnością siebie odbijał ciosy sztyletów. Jego większy wigor sprawiał, że przechwytywał każde pchnięcie, wstrząsając ręką trzymającą nóż. Stopniowo zmusił przeciwnika do obrony, powstrzymując jego ciosy zanim ten zdążył je wyprowadzić, aż wreszcie przyparty do granicy Kręgu rywal popełnił błąd, otrzymał bolesny cios w nadgarstek i został uznany za pokonanego.

Trzeci mężczyzna nosił pałki.

— Jestem Hul — powiedział.

Var, zmęczony dwiema walkami oraz poranną wspinaczką, pojął, że nie ma szans na zostanie reprezentantem Imperium. Hul był jednym z wojowników, przed którymi

ostrzegał go Tyl. W walce przeciwko własnej broni jedyną szansą Vara mogły być wyższe umiejętności, a tej przewagi nie posiadał.

Hul stanął tuż przy Kręgu.

— Varze Pałki — powiedział donośnym głosem. — Obserwowałem cię i oceniłem twoje umiejętności. Wiem, że mogę cię pokonać w Kręgu. Może nie za rok, ale dzisiaj z pewnością. Zanim jednak przegrasz, zadasz mi wiele bolesnych ciosów, gdyż jesteś silny i nieustępliwy. To sprawi, że jutro na szczycie będę osłabiony, co może zaszkodzić sprawie Imperium. Czy ustąpisz mi miejsca bez walki?

To było rozsądne żądanie. Hul był mniej zmęczony i był również młody i silny. Na dodatek był mistrzem pałek. Tyl nie popełniał w tych sprawach omyłek, gdyż jego obowiązkiem było ustalanie kolejności czołowych wojowników Imperium. Var nie był jednak członkiem Imperium i odpowiadał tylko przed sobą samym. W przeciwnym razie żadne dodatkowe pojedynki nie byłyby konieczne. Wódz i Tyl mogliby po prostu wyznaczyć wojownika o największych szansach i to zakończyłoby sprawę. Var dla dobra Imperium mógł wystąpić z Kręgu. Już dwukrotnie dowiódł swej wartości w walce, więc jego honor nie ucierpiałby na tym.

Var jednak nie chciał być rozsądny. Gdy uświadomił sobie, że ma utracić przywilej walczenia za Wodza i bycia jego reprezentantem. . . Myśl o takim poświęceniu napełniła go wściekłością.

— Nie! — krzyknął. Jego głos zabrzmiał jak warczenie. Nie zamierzał zrezygnować. Trzeba mu będzie zabrać siłą tę szansę.

Nieporuszony Hul zwrócił się w stronę Tyla.

— W takim razie, jeśli Niezubrojony pozwoli, ja ustąpię miejsca Varowi. Jeden z nas musi zachować siły. Jeśli będziemy walczyć, obaj je stracimy. Var potrzebuje odpoczynku, gdyż odwagi mu nie brak.

Tyl skinął głową, wyrażając zgodę w imieniu Wodza. Przez następne lata Var miał wielokrotnie wspominać ten czyn Hula. Za każdym razem, gdy to czynił, uczył się czegoś nowego.

9

Ponownie nastał świt. Tym razem Var znał już najlepszą drogę, dzięki czemu mógł zaoszczędzić pół godziny w porównaniu z wczorajszą wspinaczką. Nie musiał też na nikogo czekać. Była to jednak męcząca i trudna droga, więc postanowił nie wyruszać w nią bez wystarczającej ilości światła dziennego. Gdyby skorzystał z latarki, przeciwnik mógłby go zauważyć.

Z przeciwnej strony Góry Muz reprezentant wroga będzie się wspinał w podobny sposób, jak on. Będzie nagi, oprócz być może butów, ponieważ tego zażądał Wódz. Var również nie miał ubrania. Miało to dać pewność, że żaden z walczących nie przyniesie

potajemnie pistoletu lub innej zakazanej broni. Wódz uzgodnił, że dozwolone jest każde z ogólnie uznanych narzędzi walki w Kręgu; maczuga, drąg, pałki, miecz, sztylety, czy morgensztern. Żadnego sznura, sieci ani bicia. Ludzie z obu grup będą obserwować szczyt przez lornetki i śledzić, czy któryś z reprezentantów nie oszukuje w jakiś inny sposób. Ze wskazaniem zwycięzcy nie powinno być kłopotu. Tylko on bowiem miał zejść ze szczytu żywy.

Było już dostatecznie jasno. Var ruszył w górę z pałkami przywiązanymi rzemieniem do pasa. Poranny chłód szczypał mu skórę. Bardzo pragnął się rozgrzać, a jeszcze bardziej oddalić się od spojrzeń mężczyzn gapiących się na jego odsłonięte ciało. Wiedział, że nie jest piękny.

Zaczął się wspinać. Z początku było to łatwe, gdyż stok wznosił się górę łagodnie, a poza tym Var unikał rozpadlin, w które jego stopa mogłaby wpaść po ciemku. Potem wszedł na usiane głazami gołoborze. W tym miejscu wyprzedzał go wczoraj już tylko jeden człowiek i Var dokładnie zapamiętał ścieżkę, którą tamten podążał. Wiedział, że reprezentant Góry musiałby być znakomitym atletą, by okazać się szybszym od niego, gdyż na pewno nie ćwiczył na tym stoku.

Przynajmniej nie wczoraj. Mógł, rzecz jasna, wspinać się na Górę Muz zanim koczownicy przystąpili do oblężenia. Być może właśnie dlatego podano ten warunek. Var wiedział jednak, że wspina się tak szybko, jak to tylko możliwe.

Był także pewien, że podejście z drugiej strony nie jest łatwiejsze niż z tej. Sprawdził to, gdy był na szczycie. Upewnił się również, że nie ma tam żadnego ukrytego tunelu wybudowanego przez starożytnych. Warunki były zatem uczciwe.

Ostatni odcinek trasy był najtrudniejszy. Ściana poniżej szczytu wydawała się niemal pionowa. Było to złudzenie wywołane perspektywą, powstające wówczas, gdy patrzyło się z dołu. W rzeczywistości znajdowały się tutaj przypominające stopnie tarasy oraz rozpadliny, o szerokości kilku stóp. Krótkie i grube, pokryte zrogowaciałą skórą palce u rąk oraz kopytkowate palce u nóg pozwalały Varowi znaleźć oparcie na bardzo wąskiej podstawie. Wspinał się w górę i w bok obserwując z niepokojem, czy nie spadają na niego głązy. . .

Jednak przeciwnik nie zdołał dotrzeć na szczyt pierwszy.

Gdy Var ostrożnie wystawił głowę ponad krawędź, wystrzegając się nagłego ataku, stwierdził, że wierzchołek jest pusty.

Teraz wszystko zależało od jego zręczności w posługiwaniu się pałkami.

Pobiegł do przeciwległej strony małego płaskowyżu. Miał on około dziesięciu kroków średnicy i był dwukrotnie większy od Kręgu Walki, ale nie sprawiał jednak takiego wrażenia ze względu na przepaść otaczającą go ze wszystkich stron. Var popatrzył w dół.

Wojownik podziemi wspinał się w górę. Var widział jego nagie plecy, głowę i poruszające się kończyny, nie potrafił jednak dostrzec więcej szczegółów. Oceniał, że tamtemu potrzeba jeszcze co najmniej pięciu minut, aby osiągnąć szczyt. Var poczuł ulgę. Oznaczało to, że wybór na reprezentanta Imperium był trafny. Wolniejsi wojownicy dotarliby tutaj zbyt późno. Zwłaszcza Hul. Na co zdałyby się jego umiejętności i odwaga, jeśli rozbito by mu głowę podczas wspinaczki?

Var spojrział na leżące wokół kamienie. Niektóre były małe i nadawały się tylko do rzucania, inne były w sam raz takie, aby spuścić je tamtemu na głowę, zaś kilka było tak wielkich, że można je było tylko toczyć. Biada temu, kto znalazłby się na ich drodze!

Wziął w rękę kamień odpowiedni do rzucania. Zacisnął na nim dłoń. Jego chwyt był niezgrabny, lecz potrafił rzucać wystarczająco celnie. Spojrział w dół na wojownika,

który trzymając się mocno krawędzi półki, mozolnie posuwał się od jednego wąskiego stopnia do drugiego. Był bezradny. Gdyby spróbował się uchylić przed spadającym kamieniem, sam runąłby w dół. Nie patrzył nawet w górę, jakby możliwość takiego przedwczesnego ataku nie przyszła mu do głowy.

Var położył kamień na ziemię. Czuł do siebie pogardę za to, że w ogóle odczuł taką pokusę. Wrócił na swoją stronę płaskowyżu. Wódz w rozmowach z nim wiele razy podkreślał znaczenie honoru poza Kręgiem. Wewnątrz Kręgu nie było żadnych praw, tylko zwycięstwo lub śmierć, lecz poza jego obrębem nie było zwycięstwa bez honoru. Ten płaskowyż w istocie stanowił Krąg. Mieszkańcy podziemi mogli nie mieć honoru w sensie, w jakim rozumieli go koczownicy, lecz ta sytuacja była niewątpliwie wyjątkiem. Var uznał, że musi pozwolić przeciwnikowi wejść na szczyt, zanim zacznie z nim walczyć.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami po swojej stronie płaskowyżu, podczas gdy drugi wojownik wdrapywał się na szczyt. Pierwszą rzeczą, którą Var ujrzał, była dłoń i pałki przywiązane sznurkiem do nadgarstka. Miał więc zmierzyć się ze swą własną bronią!

Po chwili ze zdumieniem stwierdził, że jego przeciwnik jest niewysoki, niemal karłowaty. Głowa przybysza sięgała niezbyt wysokiemu Varowi zaledwie do ramion. Wtem młody koczownik otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Reprezentant Góry miał co prawda broń, ale nie posiadał drugiego co do ważności atrybutu wojownika. . . To była kobieta!

— Jestem! — zawołała chwytając pałki.

Właściwie nawet nie można było nazwać jej kobietą — raczej dziewczynką. Miała wysoki i słodko brzmiący głos, gęste, czarne włosy obcięte tuż poniżej uszu oraz delikatne rysy twarzy i szczupłe, zwinne ciało. Jedyne jej odzieniem były ciasno związane sandały. Nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat. Połowę tego, co Var.

Pomyłka jednak nie wchodziła w grę. Była na miejscu, miała broń, nie okazywała nieśmiałości, czy zaskoczenia. Mieszkańcy podziemi wysłali dziecko.

Dlaczego? Z pewnością nie liczyli na to, że z wrażenia ustąpi dziewczynce zwycięstwo? Nie, gdy stawką był los Góry i Imperium, a w pierwszej bitwie zginęło już tysiąc ludzi! Z drugiej strony, jeśli chcieli przegrać, nie było potrzeby zawierania tak skomplikowanej umowy i poświęcania dziecka.

Var wstał i zaczął przygotowywać pałki. Robił to powoli, by móc się zastanowić nad sytuacją. Przyszło mu do głowy, że powinien się czuć zawstydzony tym, iż jest nagi w obecności dziewczynki, lecz zbyt krótko przebywał wśród ludzi, aby do głębi przejmować się takimi drobnostkami. Kodeks honorowy był dla Vara czymś o wiele bliższym niż nakazy wstydlivosti. Zresztą to nie była kobieta, tylko dziecko. Gdyby jej łono było zakryte, mogłaby uchodzić za młodego chłopca. Nie miała długich włosów, ani rozwiniętych piersi.

Naszły go niewczesne myśli o Soli.

Ruszył ostrożnie na spotkanie tego dziecka. Wątpił, by potrafiło ono władać w należyty sposób bojowymi pałkami.

Szczupłe ramiona dziewczynki poruszyły się jednak szybko. Jej pałki wprawnie uderzyły w jego własne. Wiedziała, co robi.

Zaczęli więc walczyć. Var był większy i silniejszy, lecz dziewczynka szybsza i lepiej wyszkolona. Walka, co zdumiewające, była zatem równa.

Var szybko zrozumiał, że nie jest to zabawa. Był przygotowany na walkę na śmierć i życie z groźnym mężczyzną, a tymczasem nie mógł poradzić sobie z małą dziewczyn-

ką. Jeśli jednak nie zdoła jej pokonać — nie potrafił już nawet pomyśleć „zabić” — to przegra, a wraz z nim przegra Imperium.

Lepiej zrobić to szybko. Zaatakował z furją, używając swej brutalnej siły, by zepchnąć dziewczynkę w stronę krawędzi. Cofnęła się o krok, potem o drugi, nie mogła jednak robić tego bez końca. Pałki uderzały o pałki, żaden cios nie trafił w ciało, lecz Var naciskał coraz mocniej, tak samo, jak robił to wczoraj w walce przeciwko sztyletom, a jego pozycja poprawiała się tak jak wtedy.

Dziewczynka stała już dwa kroki od krawędzi. Jeden krok. Nagle obróciła się na pięcie i nie patrząc w jego stronę podbiła jedną z jego pałek w górę, zanurkowała pod nią, zaszła go od Tylu i uderzyła w nadgarstek całkowicie zaskakującym ciosem na odlew.

Var patrzył z niedowierzaniem, jak jedna z pałek wylatuje z jego odrętwiałej dłoni i spada z grzechotem w dół zbocza. Kontratak był tak szybko i tak zręcznie wykonany, że nie pozostawił mu żadnych szans na obronę. Teraz, na wpół rozbrojony, był praktycznie pokonany. Jedna pałka nie miała szans przeciwko dwóm.

Okazało się więc, że jego brak doświadczenia kosztował Imperium porażkę. Hul nie dałby się zaskoczyć w tak prosty sposób, a już z pewnością nie Tyl. Kto jednak mógłby się spodziewać podobnych umiejętności po małym dziecku?

Var czekał na atak, który musiał nadejść. Był skazany, lecz nie zamierzał się poddać. Miał jeszcze nadzieję zaskoczyć ją, rzucając się do przodu, i zepchnąć ich oboje z płaskowyżu, tak by pojedynek zakończył się śmiercią obojga walczących.

Popatrzyła na niego przez chwilę, po czym od niechcienia rzuciła jedną ze swych pałek w ślad za jego bronią.

Zdumiony Var zagapił się na spadającą pałkę. Dziewczynka mogłaby w tej chwili bez trudności rozbić mu czaszkę, jednak nie ruszyła się z miejsca.

— Co?...

— Spłaciłam dług — odparła. — Walczymy uczciwie.

Ruszyła na niego z jedną pałką.

Var musiał walczyć, był jednak wstrząśnięty. Rozbroiła się sama, by uczynić walkę równą, choć mogła z łatwością odnieść zwycięstwo. Nigdy sobie nie wyobrażał, że coś takiego może się wydarzyć w Kręgu.

Nie było jednak wątpliwości, że dziewczynka walczy poważnie. Naciskała na niego mocno. Raz za razem zadawała celne ciosy w jego nieosłonięty bok. Był to dziwny pojedynek, wymagający niezwykłych odruchów i skrętów ciała równoważących brak jednej pałki. Zniknęła niemal cała finezja pojedynku na podwójną broń.

Walczyli zatem w ten niezgrabny sposób, a Var zaczął stopniowo zyskiwać przewagę, ponieważ utrata pałki sprowadziła umiejętności dziewczynki bliżej jego poziomu, nie zwiększając przy tym jej siły. Atakował jednak bardzo ostrożnie. Nie była mu potrzebna druga taka nauczka, jak ta, która kosztowała go utratę broni. Dziewczynka stawiała się najniebezpieczniejsza w chwilach, gdy groziło jej przegranie pojedynku.

A teraz ogarniało ją coraz większe zmęczenie. Var podwoił ostrożność i przeszedł do obrony. Sądząc po wysokości słońca walczyli już około sześciu godzin.

Jak jednak mieli zakończyć ten pojedynek, skoro ich walka na śmierć i życie zamieniła się w coś przypominającego zwykły trening? Tylko jedno z nich miało prawo zejść z tego szczytu. Tylko jedna strona mogła zwyciężyć. Zwłoka nie była w stanie zmienić twardej rzeczywistości.

Jednak nie zanosiło się na to, aby walka skończyła się szybko. Zmieniała się w parodię. Żadne z nich nie starało się naprawdę odnieść zwycięstwa. Przynajmniej nie natychmiast. Oboje ociągali się, by zachować siły i czekali na jakiś błąd rywala. Ten jednak nie nadchodził. Pałka wciąż uderzała o pałkę, lecz ciosy walczących stawały się coraz bardziej niedbałe.

Gdy zapadł zmrok dziewczynka cofnęła się, upuszczając broń na ziemię.

— Nie powinniśmy walczyć nocą — powiedziała.

Var upuścił pałkę na znak zgody, obawiał się jednak jakiegoś podstęp.

Dziewczynka podeszła do krawędzi, pozostawiając broń za sobą.

— Nie patrz — powiedziała i ukucnęła.

Var zdał sobie sprawę, że chciała oddać moc. Gdyby jednak odwrócił się do niej plecami, będzie mogła podbiec do niego od tyłu. . .

Jeśli jednak nie potrafił zaufać jej podczas rozejmu, to w takim razie dlaczego się na niego zgodził? Pamiętał też o odrzuconej pałce. Jej kodeks był inny niż jego, wydawał się jednak uczciwy.

Odwrócił się w stronę zbocza i opróżnił własny pęcherz w rozciągający się poniżej mrok.

Potem oboje wrócili na środek płaskowyżu. Ciemność rozpościerała się wokół nich, jak wielki ocean, lecz ich wyspa pozostawała nadal jasna. I odludna.

— Jestem głodna — powiedziała.

On również czuł głód, nie mieli jednak nic do jedzenia. Wszyscy spodziewali się, że walka będzie trwała krótko, nie zaopatrzone ich więc w zapasy niezbędne do dłuższego pobytu na górze. Być może było to celowe. Jeśli reprezentanci nie będą walczyli z dostatecznym wigorem, zmuszą ich do tego głód i pragnienie.

— Nie jesteś rozmowny, prawda? — zapytała.

— Nie mówię dobrze — wyjaśnił Var. Bełkotliwe sylaby przekazały sens jego wypowiedzi dokładniej niż język.

Uśmiechnęła się nieoczekiwanie, jej zęby błysnęły bielą pośród ciemności.

— Mój ojciec w ogóle nie mówi. Został ranny w gardło, wiele lat temu. Nie pamiętam, kiedy to się stało. Ale ja rozumiem go wystarczająco dobrze. Var skinał tylko głową.

— Dlaczego nie położysz się z tej strony, a ja z tej? — zapytała, wskazując ręką. — Pójdziemy spać, a jutro skończymy walkę.

Zgodził się. Wziął w rękę pałkę, nakreślił nią na środku płaskowyzu linię, która podzieliła go na dwie równe części. Położył się na swojej połowie.

Dziewczynka przysiadła na chwilę. Wydawała się bardzo mała.

— Jak masz na imię?

— Var.

— Graur?

— Var.

— Nie widzę na twojej szyi żadnej większej blizny. Dlaczego nie umiesz mówić?

Var usiłował wymyślić jakiś prosty sposób, by odpowiedzieć na to pytanie, lecz nie udało mu się.

— Jak wygląda życie na zewnątrz? — zapytała.

Zrozumiał, że na jej pytania nie musi udzielać sensownych odpowiedzi. Bardziej interesowało ją mówienie, niż słuchanie.

— Jest zimno — poskarżyła się.

Var nie pomyślał o tym wcześniej, ale dziewczynka miała rację. W miarę pogłębiania się nocy ziąb stawał się coraz bardziej przenikliwy, a oni byli nadzy i nie mieli śpiworów. On, rzecz jasna, mógł to wytrzymać. W młodości wystarczająco uodpornił się na zimno. Dziewczynka jednak była młodsza i chudsza od niego, a skórę miała delikatniejszą.

W gruncie rzeczy chłód był dla niej czymś więcej niż niewygodą. Mogła od tego umrzeć. Już teraz jej zgięty w pół, nieowłosiony tułów dygotał tak gwałtownie, że Var wyczuwał drżenie gruntu.

Usiadł.

— Dług, który u ciebie mam, za pałkę... — zaczął.

Jej głowa zwróciła się w jego stronę. Dostrzegł ten ruch, lecz w panujących ciemnościach nie widział nic więcej.

— Nie rozumiem.

— Za pałkę. Spłata długu — starał się wyraźnie wymawiać słowa.

— Pałkę — powtórzyła. — Długu.

Zaczynała odbierać jego nieporadne słowa, lecz nie rozumiała ich znaczenia. Mówiąc szczerkała zębami.

— Ciepło mojego ciała dziś w nocy.

— Ciepło? Nocy? — nadal nie rozumiała.

Var zerwał się nagle na nogi i przeszedł na jej stronę. Położył się na boku, złapał ją i przycisnął do siebie.

— Spać. Ciepło! — powiedział tak wyraźnie, jak tylko potrafił.

Naprężyła się na moment. Jej dłonie odruchowo pomknęły do jego szyi. Var rozpoznał ten gest. Pokazywał mu go niegdyś Bezimienny. Dziewczynka umiała walczyć bez broni! Jednak rozluźniła się szybko.

— Och. . . chcesz się podzielić ze mną ciepłem! Och, dziękuję ci, Var!

Odwróciła się, podwinęła nogi i przytuliła drżące plecy do jego brzucha i piersi. Objął ją rękoma i nogami. Zatopił pokrytą rzadkim zarostem brodę w jej puszystych włosach. Jego przedramię spoczęło na jej podkulonym udzie, zaś dłonią objął jej kolano, by móc przyciągnąć ją jak najbliżej siebie.

Przypomniął sobie jak, kilka miesięcy temu, po raz pierwszy obejmował kobietę. Oczywiście było to co innego. Sola była gorąca i miała bujne kształty, zaś to dziecko było kościste i zimne. Ich związek miał też całkiem inny charakter. Var stwierdził jednak, że ta bliskość dla ochrony przed zimnem jest dla niego równie ważna jak uprawianie miłości. Odwdzięczanie się za przysługi stanowiło część kodeksu Kręgu, tak jak Var go rozumiał, i nie było w tym żadnego wstydu.

Jednak rankiem mieli ponownie przystąpić do walki. . .

— Kim jesteś? — zapytał. Tym razem udało mu się wypowiedzieć to wyraźnie.

— Soli. Moim ojcem jest Sol, Mistrz Wszystkich Broni.

Sol! Poprzedni Wódz Imperium! Człowiek, który stworzył je z niczego. Nic dziwnego, że była tak sprawna! Nagle uderzyła go straszliwa myśl.

— Twoja matka. . . kim jest twoja matka?

— Och, moja matka wie jeszcze więcej o walce niż Sol, z tym, że robi to bez broni. Jest bardzo mała, tylko trochę wyższa ode mnie, a ja nie jestem jeszcze dorosła, ale każdy mężczyzna, który ją zaczepi, dostaje w kość! — zachichotała. — To zabawne.

Poczuł ulgę, lecz po chwili przyszło mu do głowy coś innego.

— Ona... twoja matka... brązowe, krę...cone... włosy, bardzo dobra figura, kitel...

— Tak, to ona! Skąd ją znasz? Nigdy nie opuszczała podziemi, przynajmniej odkąd ja tam jestem.

I znowu Var nie wiedział, jak jej to wytłumaczyć. Z pewnością nie chciał jej powiedzieć, że próbował zabić jej matkę.

— Oczywiście Sosa nie jest moją prawdziwą matką — stwierdziła Soli. — Urodziłam się na zewnątrz. Mój ojciec przyniósł mnie ze sobą, gdy byłam mała.

Var stężał z wrażenia.

— Ty... ty jesteś... martwą córką... Soli? — aby wypowiedzieć te słowa wyraźnie zmusił się do nadludzkiego wysiłku.

— Tam, w podziemiu, nie jesteśmy naprawdę martwi. Pozwalamy tylko koczownikom tak myśleć dlatego, że... nie wiem dokładnie dlaczego. Sol jednak był na zewnątrz mężem Soli i ja jestem ich dzieckiem. Mówią, że później Sola poślubiła Bezimiennego.

— Tak, ale... zachowała... swoje imię.

— Sosa również zachowała swoje. To dziwne.

Var przypomniał sobie przysięgę, którą wymogła na nim Solą: „Zabij człowieka, który skrzywdzi moje dziecko.”

Tym człowiekiem był Var Pałki, który poprzysiągł, że uratuje Imperium, zabijając reprezentanta Góry.

10

Var budził się w nocy kilkakrotnie, dręczony panującym na tej wysokości chłodem. Zaczął wiać wiatr, który zwiewał z jego pleców bezcenne ciepło. Tylko z przodu, gdzie jego ciało stykało się z ciałem Soli, nie czuł zimna. Mógłby to wytrzymać, ale w ten sposób było mu lepiej.

Co jakiś czas dziewczynka poruszała się, lecz gdy jej wyciągnięte członki napotykały na zimno, szybko kurczyły się z powrotem. Mimo to jej dłonie były lodowate. Gdyby spała sama, było niemożliwe, aby rano mogła władać pałką, o ile w ogóle by przeżyła. Var położył swą grubą łapę na jej delikatnej dłoni.

Wreszcie nadszedł świt. Podnieśli się drżący i zaczęli podskakiwać dla rozgrzewki, po czym ponownie załatwili naturalną potrzebę. Minał jednak pewien czas, zanim oboje poczuli się lepiej. Płaskowyż spowijała mgła sprawiająca, że przepaść wydawała się czymś nierealnym, a niebo nad nimi przypominało ołowianą pokrywę.

— Co to jest? — zapytała Soli, wskazując palcem jego podbrzusze.

Po raz kolejny Var nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

Wiedział, co to jest, lecz nie wiedział, jak nazywają to kobiety.

— Mój ojciec, Sol, nie ma takiego — oznajmiła.

Var pomyślał, że dziewczynka jest w błędzie, gdyż gdyby rzeczywiście tak było, nigdy by się nie narodziła.

— Chce mi się jeść — powiedziała. — I pić.

Varowi też się chciało, lecz rozwiązanie tego problemu nie było bliższe niż poprzedniej nocy. Musieli ze sobą walczyć. Zwycięzca będzie mógł zejść na dół i zjeść ile tylko będzie chciał. Pokonany nie będzie już potrzebował jedzenia. Spojrzał na parę pałek leżących obok dzielącej płaskowyż linii.

Dostrzegła jego spojrzenie.

— Czy musimy walczyć?

Var znów nie umiał odpowiedzieć na jej pytanie. Z jednej strony był reprezentantem Imperium, z drugiej musiał dotrzymać przysięgi, którą złożył Soli. Wzruszył ramionami.

— Jest mgła — powiedziała tęsknym głosem. — Nikt nas nie widzi.

Czy chciała powiedzieć, że nie powinni walczyć bez świadków? Cóż, to było jakieś usprawiedliwienie. Mgła nie sprawiała wrażenia, jakby miała się rozrzedzić, a z jej głębin nie dobiegał żaden dźwięk. Świat spowiła biel.

— Dlaczego nie zejdziemy na dół, aby zdobyć trochę jedzenia? — zapytała. — Moglibyśmy wrócić zanim nas zauważą.

Prostota jej sposobu myślenia była zdumiewająca! Ale... dlaczego nie? Var ucieszył się, że znaleźli pretekst do odłożenia walki, gdyż nie widział żadnego dobrego sposobu na jej rozstrzygnięcie.

— Rozejm... aż mgła się rozwieje? — zapytał.

— Rozejm, aż mgła się rozwieje. Tym razem zrozumiałam cię bardzo dobrze.

Var był zadowolony.

Zeszli z góry po jego stronie, gdyż Soli obawiała się, że mieszkańcy podziemi mają sposoby, by dostrzec każdego, kto schodziłby z drugiej strony Góry Muz.

— Czujniki telewizyjne... nie wiadomo, gdzie są ukryte.

— Telewizory... leżą... na zewnątrz?

Var wiedział, co to jest telewizja. Widział niezwykle obrazy w pudełkach w gospodach.

— Telewizory... na zewnątrz — powtórzyła, starając się zrozumieć. — Nie, głup-tasie. Czujniki — małe pudełka, jak oczy, wmontowane w kamienie i inne rzeczy, i sterowane z daleka.

Var porzucił ten temat. Nigdy nie widział kamienia z okiem, lecz w Złych Krajach istniały jeszcze dziwniejsze rzeczy.

U podstawy góry mgła była jeszcze gęstsza. Trzymając się za ręce zakradli się do obozu Wodza. Var zawahał się.

— Poznają mnie — szepnął.

— Och — powiedziała, zaniepokojona. — To może ja pójdę?

— Nie znasz obozu.

— Jestem głodna! — użaliła się.

— Psst! — pociągnął ją do tyłu. W każdej chwili mógł odkryć ich stojący na straży wojownik.

— Podaj mi plan obozu — szepnęła zdesperowana. Pójdę do środka i ukradnę trochę jedzenia.

— Nie wolno kraść!

— Podczas wojny wolno. Z obozu nieprzyjaciela.

— Ale to jest mój obóz!

— Och — zastanowiła się przez chwilę. — Mogę pójść i poprosić o trochę. Nie znają mnie.

— Bez ubrania?

— Ale ja jestem głodna!

Var zmieszał się. Nie odpowiedział. Jego własny głód stał się dotkliwy. Dziewczynka zaczęła płakać. Tak po prostu.

— Chodź — powiedział Var, ogarnięty bolesnym poczuciem winy. — W gospodzie są ubrania.

Pobiegli do gospody, odległej o jedną milę. Zanim Var zdążył wyrazić sprzeciw, Soli wręczyła mu swą pałkę, po czym weszła do środka. Po paru minutach wyszła na zewnątrz mając na sobie sukienkę, wstążkę we włosach i nowe sandały. Wyglądała uroczczo.

— Miałaś szczęście, że nikogo tam nie było! — zawołał poirytowany Var.

— Ktoś był. Czyjaś żona. Czekala na swojego męża. Zdaje się, że do waszego głównego obozu nie wpuszczają kobiet. Aż podskoczyła z wrażenia, kiedy weszłam do środka. Powiedziałam jej, że się zgubiłam, więc mi pomogła.

Sprytnie zrobione! Var nigdy by nie wpadł na taki pomysł, ani nie miałby tyle śmiałości. Nie wiedział czy była to odwaga, czy naiwność?

— Masz — powiedziała, wręczając mu męskie ubranie.

Var ubrał się i spojrzeli w stronę głównego obozu. Varowi przyszło do głowy, że w gospodzie powinno być jedzenie, przypomniał sobie jednak, że wojownicy zabrali Odmieńcom wszystkie zapasy. Potrzeba było mnóstwo żywności, by wykarmić wielki obóz, a jedzenie z gospody było lepsze niż to, które mieli koczownicy.

— Będę musiała pójść do głównego obozu — stwierdziła.

Głód sprawił, że Var nie zaprotestował.

— Będę udawać, że jestem czyjąś córką i zabieram jedzenie dla rodziny.

Taka zuchwałość przestraszyła Vara, nie potrafił jednak zaproponować nic lepszego.

— Bądź ostrożna — ostrzegł ją.

Ukrył się w lesie. Postanowił nie ruszać się stąd w obawie, że Soli nie będzie mogła go odnaleźć. Dziewczynka zniknęła we mgle.

Dopiero w tym momencie do Vara dotarło, że w obozie

byli tylko mężczyźni i to tacy, którzy znali się nawzajem. Strażnicy nie przepuszczają nikogo nieznanego, a już zwłaszcza małej dziewczynki.

Było jednak za późno, by ją zatrzymać.

* * *

Soli weszła do głównego obozu, zafascynowana jego wielkością. Serce było jej niespokojnie. Czułaby się znacznie pewniej gdyby miała ze sobą pałki, ale zostawiła je Varowi gdyż dzieci, a zwłaszcza dziewczynki, nie nosiły tutaj broni.

Przy jednym z namiotów stał strażnik. Spróbowała prześliznąć się obok niego, jak gdyby nigdy nic, lecz mężczyzna opuścił natychmiast drąg, by zagrozić jej drogę.

— Kim jesteś? — zapytał.

Wiedziała, że nie może podać prawdziwego imienia, wymyśliła więc na poczekaniu inne:

— Jestem Sami. Mój ojciec jest zmęczony. Muszę zabrać trochę jedzenia dla. . .

— Nie znam żadnego Sama, dziecko. Na pewno zapamiętałbym takie dziwne imię. Co chcesz zrobić?

— Sam Miecz. Dopiero co przybył. On. . .

— Kłamiesz, mała. Żaden wojownik nie sprowadził rodziny do tego obozu. Zabiorę cię do Wodza.

Trącił ją lekko drągiem.

W pobliżu nie było widać nikogo. Soli przeskoczyła przez drąg. Jej wyprostowane palce wystrzeliły w kierunku jego oczu. Gdy mężczyzna odruchowo cofnął głowę, uderzyła go w szyję usztywnionym kantem dłoni. Spróbował jeszcze zaczerpnąć tchu, lecz trzepnęła go po raz drugi i runął bez jęku na ziemię.

Był zbyt ciężki, by mogła go poruszyć, zostawiła go więc tam, gdzie upadł i weszła do namiotu. Poprawiła sukienkę i włosy. Mogła jeszcze zdobyć jedzenie, jeśli będzie działać wystarczająco szybko.

— Ktoś napadł na Kola! — usłyszała krzyk tuż przy wejściu. — Przeszukajcie wszystko!

A wiec stało się! Nadal jednak dręczył ją głód. Należało teraz nadrobić słabość czystą zuchwałością, jak zwykła mówić Sosa, która umiała znajdować wyjście z każdej sytuacji.

Pod ścianą namiotu przeczołgała się na zewnątrz, na drugą stronę.

Wojownicy na gwałt cucili nieprzytomnego Kola. Krzyczeli jeden przez drugiego:

— Nie widziałem, jak to się stało!

— Dostał maczugą w gardło.

— Nie mógł uciec daleko!

Nagle nadszedł olbrzymi mężczyzna. Soli poznała go natychmiast: Bezimienny, władca nieprzyjacielskiego Imperium. Jego ruchy przywodziły na myśl toczącą się cięż-

ką maszynę. Ziemia drżała pod wpływem jego kroków. Był brzydki. Jego głos brzmiał niemal równie źle, jak głos Vara.

— To był cios bez broni. Góra przysłała tu szpiega. Soli nie czekała na więcej. Wybiegła zza namiotu i rzuciła się w stronę potwora, wyciągając ramiona.

Ten, zaskoczony, złapał ją za barki i podniósł wysoko. Jego siła budziła trwogę.

— Co my tu widzimy?

— Na pomoc! — krzyknęła. — Ściga mnie jakiś mężczyzna!

— Dziecko! — powiedział. — Dziewczynka. Gdzie twoja rodzina?

— Nie mam rodziny. Jestem sierotą. Przyszłam po jedzenie. . .

Wódz postawił ją na ziemi, lecz jedna dłoń zaciskała się na jej chudym karku z siłą imadła.

— Ręka, która uderzyła Kola w szyję, była nie większa od twojej, dziecko. Widziałem ślad. Jesteś tu obca, a ja znam sztuczki Góry. . .

Zareagowała, zanim w pełni zrozumiała znaczenie jego słów. Wygięła swe ciało i uderzyła kostkami palców w miejsce, gdzie pod płaszczem krył się splot słoneczny.

Poczuła jakby trafiła w ścianę. Jego brzuch był twardy jak ze stali.

— Spróbuj jeszcze raz, mały szpiegu — powiedział ze śmiechem.

Spróbowała. Podniosła kolano i uderzyła go mocno w pachwinę, zaś dłonią zadała mu cios w szyję.

Bezimienny stał bez ruchu i chichotał. Ani na chwilę nie rozluźnił swego uchwytu. Wolną ręką rozchylił płaszcz.

Jego tułów był gruzłowatą masą mięśni, która nawet nie poruszała się podczas oddychania. Szyję tworzyła lita chrząstka.

— Dziecko, znam sztuczki waszego przywódcy. Co tu robisz? Nasz spór miał zostać rozstrzygnięty przez pojedynkę reprezentantów na płaskowyżu.

— Proszę pana, ja. . . myślałam, że chciał mnie zaatakować. Poruszył tą swoją tyczką. . . — gorączkowo zastanowiła się nad wiarygodną historyjką. — Jestem z plemienia Pan.

To było plemię, do którego należała Sosa, zanim przybyła do podziemi. Uczono tam kobiety walki bez broni.

— Uciekłam. Szukałam tylko jedzenia.

— Plemię Pan — zastanowił się Wódz. Na jego straszliwej twarzy pojawiło się coś dziwnie miękkiego. — Chodź ze mną.

Puścił ją i wyszedł z tłumu.

Żaden z pozostałych wojowników się nie odezwał. Wiedziała, że w tej chwili nie ma żadnych szans na ucieczkę, podążyła więc potulnie za Nieuzbrojonym, który wszedł do wielkiego, prywatnego namiotu. Było tam jedzenie, którego zapach przyprawił jej pusty żołądek o bolesny skurcz.

— Jeśli jesteś głodna, jedz.

Postawił przed nią talerz z owsianką i kubek mleka.

Sięgnęła ochoczo po oba. . . i nagle zrozumiała, że to pułapka. Zachowanie się koczowników przy stole różniło się od obyczajów obowiązujących w podziemiu. Każdy ruch zdradzi jej pochodzenie. Nie wiedziała, czy koczownicy w ogóle używają sztuców.

Zanurzyła rękę w owsiance i uniosła w górę ociekającą bryłę. Wsadziła ją sobie w usta, krzywiąc się pod wpływem gorąca. Mleko pociekło jej po brodzie.

Bezimienny patrzył bez słowa.

— Chcę pić — powiedziała po chwili. Bez słowa przyniósł jej bukłak.

Przytknęła jego dziób do ust i pociągnęła łyk. Zakrztusiła się. To była jakaś gorzka, pienista mikstura.

— To nie woda! — krzyknęła z udręką.

— Czy w plemienu Pan nie znają ani gospod, ani piwa własnej roboty? — zapytał.

Zdała, sobie sprawę, że przesadziła. Większość koczowników z pewnością znała cywilizowany sposób jedzenia, gdyż w gospodach były talerze, widelce, łyżki i kubki, zaś naprawdę nie cywilizowane plemiona piły warzone przez siebie piwo.

Soli rozpląkała się, wyczuwając pod tym brutalnym obliczem łagodny charakter. To była jej ostatnia nadzieja.

Przyniósł jej wody.

— To nie ma sensu — powiedział do siebie, gdy piła. — Bob nie wysłałby nie przygotowanego dziecka do samego serca obozu nieprzyjaciela. To byłaby głupota, zwłaszcza w tej chwili.

Soli zastanowiła się, skąd Bezimienny znał imię jej wodza. Po chwili przypomniała sobie, że rozmawiali ze sobą, gdy planowali walkę na szczycie Góry Muz.

— Z drugiej strony — ciągnął — zwykle dziecko nie umiałoby walczyć bez broni. Zrozumiała, że jej pomyłki jednak zbiły go z tropu.

— Czy mogę zabrać trochę dla mojego przyjaciela? — zapytała przypomniawszy sobie Vara.

Bezimienny wyglądał, jakby miał zamiar zadać jakieś pytanie, Po chwili jednak wybuchnął śmiechem.

— Weź, ile zdołasz zabrać, ty urwisie! Niech twój przyjaciel ucztuje przez wiele dni. Może dzięki temu stanie się szczęśliwszym człowiekiem niż ja!

— Naprawdę mam przyjaciela — odparła, poirytowana jego tonem. Zrozumiała, że żartuje sobie z niej, myśląc, że chce to wszystko zjeść sama.

Przyniósł torbę i wrzucił do niej nagromadzone zapasy, dodając do tego dwa bukłaki.

— Zabierz to i znikaj z mojego obozu, dziecko. Uciekaj jak najdalej. Wróc do plemienia Pan. Rodzą się w nim dobre kobiety, nawet te, które są bezpłodne. Zwłaszcza te. Mamy tutaj wojnę i mimo że znasz sztukę samoobrony może ci grozić niebezpieczeństwo.

Zarzuciła sobie worek na plecy i ruszyła do wyjścia,

— Dziewczynko! — zawołał nagle. Poderwała się, przestraszona, że mimo wszystko ją przejrzał. Bob, władca Helikonu, postępował w ten sposób. Bawił się ze swym rozmówcą, udając, że się z nim zgadza, a potem przypuszczał nieoczekiwany atak.

— Jeśli kiedykolwiek znudzisz się wędrowaniem, odszukaj mnie. Zostaniesz moją przybraną córką.

Zrozumiała z ulgą, że był to wielki komplement. Polubiła tego ogromnego, strasz-
nego mężczyznę.

— Dziękuję — powiedziała. — Może któregoś dnia spotkasz mojego prawdziwego ojca. Myślę, że polubilibyście się nawzajem.

— A więc nie byłaś sierotą przez długi czas — szepnął, znowu się śmiejąc. Inteligencja olbrzyma najwyraźniej dorównywała jego sile.

— Kim jest twój ojciec?

Nagle przypomniała sobie, że obaj mężczyźni spotkali się już kiedyś i że to Bezimienny odebrał jej ojcu Imperium oraz jej prawdziwą matkę. Nie odważyła się więc wymienić imienia Solą, gdyż byli oni z pewnością śmiertelnymi wrogami.

— Dziękuję — powiedziała pośpiesznie, udając, że go nie usłyszała. — Do widzenia.

Pozwolił jej odejść. W ślad za nią nie wyruszył żaden pościg, nikt też jej nie śledził.

11

Var poczuł się słabo, gdy ujrzał, jak Soli wyłania się sama z rzedniejącej mgły. Nikt za nią nie szedł. Pozwolił jej przejść obok i odczekał chwile, by się upewnić.

Słyszał przecież krzyki i miał wrażenie, że słyszy głosy dziewczynki i Wodza. Coś się zdarzyło, a on nie mógł nic zrobić, a nawet nic nie wiedział. Zmuszony czekać beczynn timer, zaciskał nerwowo palce na rękojeściach pałek — swojej i jej.

Tymczasem Soli krążyła po lesie, szukając go. Var nie mógł pojąć, w jaki sposób dziewczynka potrafiła się z tego wykręcić. W końcu doszedł do wniosku, że wziął obce głosy za te, które znał.

— Tutaj — szepnął.

Podbiegła do niego i wepchnęła mu w ręce ciężką torbę. Oboje oddalili się pośpiesznie od obozu. Var wiedział, że w tej mgłę nikt ich nie wyśledzi, a grunt był tu zbyt twardy, aby ich ślady mogły być widoczne.

U podnóża Góry Muz zatrzymali się na chwilę. Var zanurzył rękę w worku w poszukiwaniu jedzenia. Odnalazł bukłak i zaczął pić chciwie. To było dobre, mocne piwo warzone przez koczowników. Odmieńcy nigdy nie dostarczali podobnego napoju. Następnie złapał kromkę czarnego chleba i zaczął go żuć w trakcie wspinaczki.

Zaspokoivszy pierwszy głód Var zaczął się martwić o mgłę. Jeśli rozwieje się, zanim osiągną szczyt, ich tajemnica się wyda. Co zrobią wtedy?

Mgła jednak nie ustąpiła. Oboje poczuli ulgę, gdy wreszcie, ciężko dysząc, padli na skałę na szczycie. Wysypali z torby jej zawartość i przystąpili do uczty.

Był tu chleb, pieczone mięso, gotowane kartofle, jabłka i orzechy, a nawet trochę czekolady od Odmieńców. W jednym z bukłaków było mleko, w drugim piwo.

— Jak zdobyłaś to wszystko? — zapytał Var z pełnymi ustami.

Soli, która dzięki owsiance nie była zbyt głodna, postanowiła ponownie spróbować piwa. Do dzisiaj nigdy go nie piła i jego obrzydliwy smak zaintrygował ją.

— Poprosiłam o to Bezimiennego.

Var zakrztusił się kartoflem.

— Jak... dlaczego...? — wystękał.

Soli wypiła kolejny łyk drapiącego w gardło piwa, które uparcie pragnęło wrócić tą samą drogą, którą weszło, i opowiedziała mu całą historię.

— Chciałabym, żeby nie byli wrogami — dokończyła. — Sol i Bezimienny. Gdyby nie to, mogliby się polubić. Twój Wódz jest całkiem miły, chociaż straszny.

— Tak — szepnął Var, przypominając sobie swą pięcioletnią zażyłość z Bezimiennym. — Ale tak naprawdę oni nie są wrogami. Wódz kiedyś mi o tym opowiadał. Byli przyjaciółmi, ale z jakichś przyczyn musieli walczyć ze sobą. Sol oddał Nieuzbrojone-mu żonę z bransoletą dlatego, że go nie kochała i nie chciała umierać — Var zorientował się nagle, że kiedy mówił szeptem wszystkie słowa były wyraźne.

Soli przez większą część jego przemowy miała zdumioną minę, ale na ostatnie zdanie zareagowała gniewem.

— Kochała go! — wybuchnęła. — Była moją matką!

Wycofał się szybko, zmieszany jej krzykiem.

— Jest dobrą kobietą — powiedział po chwili. Wydawało się, że to ułagodziło Soli, choć Var miał na myśli podróż, którą odbył z Solą. Dostrzegał już teraz podobieństwo pomiędzy matką a córką. Ale. . . jak Solą mogła kochać kogokolwiek, biorąc pod uwagę, co zrobiła? Przeniosła się od jednego mężczyzny do drugiego, a nawet jemu oddała potajemnie swe ciało. Wódz z pewnością o tym wiedział, tak powiedziała Solą, a jednak na to pozwolił. Jak można było wytłumaczyć podobną rzecz?

Ponownie stanął wobec problemu przysięgi, którą złożył Soli. Miał zabić człowieka, który skrzywdzi jej dziecko. To, jakiego rodzaju kobietą była Solą i dlaczego zaczęło ją teraz tak bardzo obchodzić dziecko, które porzuciła wtedy — te sprawy nie zwalniały go z obowiązku. Dał słowo. Jak mógł teraz walczyć z Soli?

— Przyjaciółmi — powtórzyła smutnym głosem Soli. — Mogłam mu wszystko powiedzieć. . . — wypijała kolejny łyk piwa i beknęła jak prawdziwy koczownik. — Var, jeśli będziemy walczyć i ja cię zabiję, Nieuzbrojony odejdzie i Sol już nigdy go nie zobaczy — ponownie się rozplakała.

— Nie możemy walczyć — powiedział Var. Poczuł ulgę, gdy oznajmił to oficjalnie. Mgła rozwiała się.

— Widzą nas! — krzyknęła Soli, zrywając się na równe nogi. Nie była to prawda, gdyż ziemię nadal spowijał biały całun, który jednak stawał się coraz rzadszy.

— Domyśla się. Pałki!

Cieężko klapnęła na ziemię.

— Co się stało? — zapytał Var, ruszając by jej pomóc.

Pokręciła głową.

— Dziwnie się czuję.

Zwymiotowała.

— Piwo! — zawołał Var. Był wściekły na siebie, iż nie pomyślał, że ten napój może jej zaszkodzić. Sam czuł się źle, gdy pierwszy raz poznał jego działanie. — Musiałas wypić całą kwartę, kiedy rozmawialiśmy...

Zawartość bukłaka zmniejszyła się jednak aż o jedną trzecią. Soli uwiesiła się na ramieniu Vara, dręczona mdłościami.

— Soli, nie możesz teraz chorować. Patrzą na nas — twoi i moi. Jeśli nie będziemy walczyć...

— Gdzie jest moja pałka? — wrzasnęła histerycznie. — Rozwałę ci twój garbaty łeb! Zostaw mnie.

Zatoczyła się gwałtownie.

Var starał się utrzymać ją w pozycji pionowej. Nie wiedział, co robić. Bał się, że jeśli ją puści, dziewczynka osunie się na ziemię, lub spadnie ze szczytu. Tak czy inaczej nie będzie to zwykłe widowisko i obserwatorzy z obu stron zaczną coś podejrzewać.

Widowisko! Patrzącym z daleka musiało się wydawać, że oboje toczą ze sobą śmiertelny bój, zataczając się ze zmęczenia po całonocnej walce. To właśnie był ich pojedynek! Ale byli w ubraniach... Var nie wiedział, co robić.

— Chcę spać — mruknęła Soli. — Położyć się. Jestem chora. Chroń mnie przed zimmem, Var. Dobry z ciebie koczownik...

Kolana ugięły się pod nią.

Var wsadził ramiona pod jej pachy i dźwignął ją do góry.

— Nie możemy spać. Obserwują nas — powiedział bez przekonania.

— Nie dbam o to. Puść mnie.

Znowu zalała się łzami.

Var musiał ją posadzić na ziemi.

— To przez piwo, prawda? — zapytała nagle nadspodziewanie przytomnie. — Jestem pijana. Nigdy nie pozwalali mi pić. Sol i Sosa. Straszne świństwo. Trzymaj mnie, Var. Jestem taka słaba. Boję się.

Var uznał, że dalsze udawanie walki w niczym już nie pomoże. Położył się i objął ją ramionami. Drżała i płakała.

Po pewnym czasie odzyskała panowanie nad sobą.

— Co teraz zrobimy, Var?

Nie wiedział.

— Czy nie moglibyśmy oboje wrócić do domu i powiedzieć, że nie wyszło? — zapytała płaczącym głosem. Zanim Var zdążył odpowiedzieć, dodała: — Nie. Bob zabiłby mnie za zdradę, a wojna trwałaby nadal.

Leżeli obok siebie, spoglądając na rozciągający się w dole świat.

— Dlaczego im nie powiedzieć, że ktoś wygrał? — zapytała nagle. — W ten sposób sprawa się rozstrzygnie.

Var miał wątpliwości, ale gdy się zastanowił, propozycja wydała mu się sensowna.

— Kto ma wygrać?

— Będziemy musieli zdecydować. Jeśli ja wygram, koczownicy odejdą. Jeśli ty, zdobędą podziemie. Co jest lepsze?

— Jeśli dostaniemy się na dół, zginie mnóstwo ludzi — odparł. — Może twoi... może Sol i Sosa.

— Nie — odpowiedziała. — Nie, jeśli Helikon się podda. Mówiłeś, że oni byli przyjaciółmi — Sol i Bezimienny. Mogliby znowu być razem, a ja poznałabym Solę, moją prawdziwą matkę — zamilkła i dodała po chwili namysłu: — I tak nie mogłaby być lepsza od Sosy.

Var zastanowił się nad tym i wydało mu się to rozsądne.

— Więc ja wygrywani?

— Ty wygrywasz, Var.

Uśmiechnęła się do niego blado i sięgnęła po chleb.

— Ale co z tobą?

— Schowam się. Powiesz im, że nie żyję.

— Ale Sol! . .

— Jak będzie po wszystkim, odnajdę Sola i powiem mu o naszej umowie. Wtedy to już nic nie zmieni.

Var poczuł niepokój, lecz skoro Soli była tak pewna siebie, nie mógł się sprzeciwić.

— Idź już — ponagliła go. — Powiedz mu, że walka była ciężka i ty również padałeś na ziemię, ale w końcu zwyciężyłeś.

— Ale na mnie nie ma śladów!

Zachichotała.

— Popatrz na swoją rękę!

Spojrzał na obie. Prawa była zdrowa, lecz lewą, w której nie miał pałki, pokrywały siniaki. Soli trafiła go nieraz, gdy walczyli na poważnie. Sama miała na sobie tylko kilka stłuczeń.

— Mogłabym ci ze dwa razy przywalić w twarz — dorzuciła figlarnie. — Żeby lepiej wyglądała. . .

Bezskutecznie próbowała opanować chichot.

— Chyba źle się wyraziłam. Nie jest aż tak brzydka. To znaczy twoja twarz.

Var zostawił ją na szczycie i zaczął schodzić w dół. Uzgodnili, że będzie udawała trupa aż do zmierzchu, a potem zejdzie na ziemię. Niepokoił się o nią, lecz powiedziała mu, że zna drogę, a poza tym będzie miała mnóstwo czasu, co pozwoli jej zachować ostrożność.

— Zacznę schodzić, kiedy jeszcze nie będzie całkiem ciemno — powiedziała mu.

— W ten sposób minę najgorszą część zbocza, zanim przestanę cokolwiek widzieć.

Zatrzymał się o kilka kroków poniżej szczytu i szepnął do niej:

— A jak coś się stanie, to gdzie cię znajdę?

— Przy gospodzie, głuptasie — odpowiedziała. — Pośpiesz się. Złaż już.

Posłuchał jej. Postanowił nie unikać zadrapań. Dzięki nim jego rzekoma walka na śmierć i życie wyda się bardziej prawdopodobna. Skłamię, ale postąpi jak należy, a także dotrzyma przysięgi. Zrozumiał ostatnią lekcję, jakiej udzielił mu Wódz.

— Var! Vaaar! — zawołała Soli. Jej ciemna głowa wystawała ponad krawędzią.

— Co?

— Twoje ubranie!

Zapomniał o tym! Miał na sobie skradzione ubranie. Gdyby w nim wrócił, wszystko by się wydało.

Zawstydzony wrócił na szczyt i rozebrał się do naga. Z jego ubrania Soli zrobiła sobie legowisko.

* * *

Całą noc w znajdującym się u stóp Góry obozie Wodza świętowano. Var został uczczony w sposób, do którego był całkowicie nie przygotowany. Przyniesiono mu mianowicie całe góry jedzenia. Nie odważył się przyznać, że nie jest głodny i omal nie pękł. Kobiety, które pojawiły się tutaj podejrzanie szybko, okazywały mu swoje zainteresowanie. Var mógł jednak myśleć wyłącznie o małej Soli, która schodziła po ciemku ze zdradzieckich urwisk. Jeśli spadnie, ich fortel stanie się rzeczywistością. . .

Wojownicy uznali, że walczył z uzbrojonym w pałki mężczyzną. Var postanowił unikać dokładniejszych wyjaśnień. Jego zła wymowa tym razem okazała się zaletą.

— Zabiłem — oznajmił i na tym skończył.

Opędzał się od gratulacji mężczyzn i zalotów kobiet, aż wreszcie Tyl zauważył to i znalazł mu na noc osobny namiot.

Rankiem Wódz udał się do gospody na rozmowę z telewizorem, zabierając Vara ze sobą. Nie zadał mu żadnych pytań i wyglądał na zaniepokojonego.

— Jeśli Bob chce nas oszukać, to robi to właśnie teraz — mruknął. — On nie należy do tych, którzy łatwo się poddają.

To zgadzało się z tym, co o władcy podziemi mówiła Soli. Musi być on bardzo groźnym człowiekiem — pomyślał Var.

Weszli do eleganckiego, cylindrycznego budynku z jego półkami pełnymi ubrań, urządzeniami sanitarnymi i różnymi dziwnymi machinami. Wódz włączył telewizor. Gdy się rozgrzewał, Var zdał sobie sprawę, że kolejny raz o włos udało się uniknąć katastrofy. Gdyby ten telewizor był włączony w czasie, gdy Soli była w gospodzie, w podziemiu dowiedziano by się o tym.

Obraz, który się pojawił, nie był przypadkowym, nudnym zestawem postaci w dziwacznych ubraniach, które Var od czasu do czasu widywał. Nie był również bezgłośny. Ujrzeni pokój nie przypominający pomieszczenia w gospodzie, lecz z pewnością będą-

cy dziełem maszyn Odmieńców. Był kwadratowy. Na przeciwległej ścianie widać było otwory wentylacyjne, a na środku podłogi stało ciężkie, metalowe biurko.

Pomieszczenie przypominało pokój w budynku w Złym Kraju. Ten był jednak czysty i nowy.

Na krześle za biurkiem siedział mężczyzna. Był stary, starszy od Wódza. Miał trzydzieści lat, a może nawet więcej. Var nie wiedział, jak długo może żyć człowiek, jeśli nie przytrafi mu się nieszczęście w Kręgu. Może czterdzieści lat? Ten mężczyzna miał rzadkie, brązowe włosy, przyprószone siwizną. Bruzdy na twarzy nadawały jej surowy wyraz.

— Cześć, Bob — powiedział Wódz ponurym głosem.

— Cześć, Sos. Co słyszeć?

Głos tamtego był dziarski i była w nim pewność siebie. Bob poruszył swym długim, chudym ramieniem, jakby wydawał polecenie podwładnym. Nie spodobał się Varowi.

— Wasz reprezentant nie wrócił?

Wódz spojrzał na niego chłodno.

— To jest nasz reprezentant, Var Pałki — oznajmił wskazując Vara. — Poinformowałem mnie, że zabił wczoraj waszego reprezentanta na płaskowyżu na szczycie Góry Muz.

— To niemożliwe. Z pewnością wiesz, że żaden wojownik słabszy od ciebie nie mógłby pokonać Sola, Mistrza Wszystkich Broni w uczciwej walce.

Wódz wyglądał na wstrząśniętego.

— Sol! Wysłałeś Solą?

— Spytaj swojego rzekomego reprezentanta — odrzekł Bob.

Wódz zwrócił się powoli w stronę Vara.

— Sol na pewno nie poszedłby walczyć. Jeśli jednak. . .

— Nie — odpowiedział Var. — To nie był Sol.

Nie rozumiał, dlaczego władca podziemi prowadzi taką grę.

— Być może, w takim razie, jego małżonka, jeśli to określenie nie jest nieuprzejmym eufemizmem — ciągnął Bob, wpatrując się w nich bardzo uważnie. W jego oczach było coś dziwnego. — Kobieta o śmiercionośnych dłoniach i bezpłodnej macicy.

— Nie! — krzyknął Var. Wiedział, że tamten go prowokuje, ale nie mógł się powstrzymać. Wódz, co zdumiewające, był zlany potem. Było to tak, jakby prawdziwa walka rozgrywała się tutaj, nie na płaskowyżu. To był pojedynek na śmiercionośne słowa o okrutnych skutkach. W tym starciu górą był Bob.

Podczas przerwy w rozmowie Bob przyglądał się swoim paznokciom. — Więc kto to był?

— Jego... córka. Soli. Miała pałki.

Wódz otworzył usta, nie powiedział jednak nic. Spojrzał na Vara jak przeszyty mieczem.

— Przykro mi — ciągnął Bob przymilnym głosem. — Var był na miejscu i zabił naszego wyznaczonego reprezentanta. Jej rodzice byli zbyt przezorni, by zgodzić się na współpracę, popadli więc w naszą niełaskę, lecz Soli była, powiedzmy, naiwnie chętna. Oczywiście miała tylko osiem lat, osiem i pół, lub więcej, pal licho, nie wiem ile, ale myślę, że powinniśmy powstrzymać się od dalszych kroków w tej sprawie z myślą o ponownym rozegraniu...

Var zrozumiał, że zawile słowa tamtego oznaczają, iż zamierza on złamać umowę. Wódz jednak nie protestował. Wciąż wpatrywał się tępo w Vara.

Nastąpiła głucha cisza.

— Ty... zabiłeś... Soli? — zapytał wreszcie Wódz głosem tak ochryłym, że niemal niezrozumiałym.

Var nie odważył się wyznać prawdy w obecności władcy podziemi.

— Tak.

Całe ciało Wodza zaczęło drżeć, jakby było mu zimno. Var nie rozumiał, co się stało. Soli nie była z nim spokrewniona. Wódz nie poznał jej nawet, gdy przyszła go prosić o jedzenie. Prawda, że zabójstwo dziewczynki nie było pięknym czynem, lecz miał się zmierzyć z reprezentantem Góry bez względu na to, kim on będzie. Walczyłby z nim nawet wtedy, gdyby okazał się jaszczurką-mutantem. Dlaczego Wódz był taki zdenerwowany, a Bob miał taką zadowoloną minę? Zachowywali się tak, jakby to Var przegrał walkę.

— Miałem więc rację co do niej — powiedział Bob. — Sol nie zdradził, ale oczywiście...

— Varze Pałki — powiedział Wódz lodowatym tonem. Jego głos aż drżał od emocji. — Przyjaźń pomiędzy nami jest skończona. Gdy spotkamy się następnym razem, czeka nas Krąg. Walka będzie na śmierć i życie. Ze względu na twoją niewiedzę i to, co było dawniej, daję ci jeden dzień i jedną noc na ucieczkę. Jutro wyruszę w pościg.

Nagle odwrócił się i uderzył potężną pięścią w telewizor. Szkło na jego powierzchni pękło, a skrzynka przewróciła się i zaiskrzyła.

— Potem przyjdzie kolej na ciebie! — krzyknął do zniszczonej maszyny. — Krwią twoich ludzi zmyję korytarze Helikonu, a ty spłoniesz żywcem na stosie!

Var nigdy u nikogo nie widział podobnej furii. Nie zrozumiał nic, oprócz tego, że Wódz zamierza zabić zarówno jego, jak i władcę podziemi. Jego przyjaciel postradał zmysły.

Uciekł z gospody. Gnał przed siebie zbity z tropu, zawstydzony i przerażony.

12

— Var!

Odwrócił się błyskawicznie, sięgając po swe nowe pałki.

— Soli! — westchnął z ulgą.

— Widziałam jak uciekałeś z gospody, poszłam więc za tobą. Var, co się stało?

— Wódz. . . — Var przerwał, opanowany niegodną mężczyzny rozpaczą. — On. . .

— Nie ucieszył się, że wygrałeś?

— On. . . Bob złamał umowę.

— Och. . . — zatroskana złapała go za rękę. — A więc nic z tego. Nic dziwnego, że Nieuzbrojony jest wściekły. Ale to nie twoja wina, prawda?

— Powiedział, że mnie zabije.

— Zabije cię? Bezimienny? Dlaczego?

— Nie wiem.

Było to tak, jakby ona była zadającym pytania dorosłym, a on dzieckiem.

— Ale on jest taki miły. Nie zrobiłby tego. Nie dlatego, że ci się nie udało.

Var wzruszył ramionami. Widział przecież, jak Wódz wpadł w szal.

— Co teraz zrobisz, Var?

— Ucieknę. Dał mi dzień i noc.

— Ale co ja zrobię? Nie mogę teraz wrócić. Bob mnie zabije. Sola i Sosę też. Za to, że przegrałam. Powiedział, że jeśli nie zgodzę się walczyć, zabije ich oboje. Jeśli się dowie. . .

Var stał bez ruchu. Nie potrafił udzielić jej odpowiedzi.

— Chyba nie postąpiliśmy zbyt mądrze — powiedziała Soli. Zaczęła płakać.

Objął ją ramieniem. Czuł się tak samo jak ona.

— Za mało wiem o koczownikach — dodała. — Nie chcę zostać sama.

— Ja też nie — odrzekł Var. Zdał sobie sprawę, że czeka go wygnanie. Kiedyś był samotnikiem i czuł się zadowolony, zmienił się jednak od tego czasu.

— Może pójdziemy razem — zaproponowała Soli.

Var zastanowił się nad tym. Wydawało się, że to dobry pomysł.

— Chodź! — krzyknęła, ogarnięta nagłą radością. — Możemy wpaść do jakiejś innej gospody po ekwipunek podróżny i uciec daleko stąd! Tylko ty i ja! Umiemy też walczyć w Kręgu!

— Nie chcę już więcej z tobą walczyć — odparł.

— Głupi! Nie ze mną! Z innymi! Możemy stworzyć duże plemię, ze wszystkimi, których pokonamy, a potem wrócić i . .

— Nie! Nie będę walczył z Wodzem!

— Ale jeśli będzie cię ścigał . .

— Będę uciekał.

— Ale, Var . . !

— Nie!

Odepchnął ją od siebie.

Jak zwykle, gdy coś popsuło jej szyki, Soli rozplakała się. Varowi natychmiast zrobiło się przykro i jak zawsze nie wiedział, co powiedzieć.

— Myślę, że to tak, jakbyś walczył z własnym ojcem — odezwała się po chwili. Wydawało się, że to koniec rozmowy.

— Ale możemy robić wszystkie inne rzeczy? — zapytała tęsknym głosem chwilę później.

Uśmiechnął się.

— Wszystkie!

Pogodzeni, rozpoczęli ucieczkę.

* * *

O zmierzchu znaleźli się w gospodzie odległej o dwadzieścia mil.

— Tu jest prawie jak w domu — powiedziała Soli. — Z tym, że pokój jest okrągły. I wszystko jest na miejscu. Chyba w tym tygodniu koczownicy nie wybierali zapasów.

Var wzruszył ramionami. Nie czuł się w gospodzie jak w domu, wydawało się to jednak lepsze niż poszukiwanie kolacji na zewnątrz. Gdyby był sam, pozostałby w głębi lasu, ale z Soli. . .

— Mogę nam przygotować prawdziwą kolację — oznajmiła. — Hmm, widziałam, jak robią to kucharze. Sosa mówiła, że powinnam umieć gotować sama, bo kiedyś mogę być do tego zmuszona. Popatrzmy; to jest piec elektryczny, a ten guzik sprawia, że robi się gorący. . .

Jedno jej słowo utkwilo w głowie Vara: Sosa. Wiedział, że to imię jej przybranej matki, małej kobiety, którą spotkał w podziemiu i która powaliła go z taką łatwością. Wódz również wymienił jej imię. Było też jednak coś jeszcze. . .

Sos! Bob z Góry nazwał Wodza imieniem Sos! Tak samo, jak kiedyś Tyl. Teraz to sobie przypomniał. Bezimienny miał imię! Sos byłby właściwym mężem Sosy!

Ale tam, w Górze, to Sol był mężem Sosy, podobnie jak Sos Soli. Jak doszło do takiej zamiany?

I, jeśli Soli była córką Solą i Soli, to czy istniało też dziecko Sosa i Sosy — Sosi? A jeśli tak, to gdzie?

Varowi zakręciło się w głowie od tak skomplikowanych myśli. Był pewien, że gdzieś w tej gmatwaninie kryje się wyjaśnienie powodów niezwykłego gniewu Wodza. Jak jednak miał to rozwikłać?

Soli miała trudności z posiłkiem.

— Potrzebuję otwieracza — powiedziała, trzymając w ręku zamkniętą puszkę.

Var nie wiedział, co to jest otwieracz.

— Chcę otworzyć te pomidory.

— Skąd wiesz, co jest w środku?

— To jest napisane na etykiecie. POMIDORY. Odmieńcy na wszystkich przylepiają etykiety. Tak ich nazywacie, prawda?

— To znaczy, że umiesz czytać? Tak samo jak Wódz?

— Szczerze mówiąc, nie za dobrze — przyznała. — Nauczył mnie Jim Bibliotekarz. On uważa, że gdy wróci cywilizacja, wszystkie dzieci Helikonu powinny umieć czytać. Jak mam otworzyć tę puszkę?

Ona również nazywała Górę Helikonem. Tyle drobnych różnic! Jej znajomym nie był prawdziwy Jim Pistolet, lecz jego brat z Góry.

Var wziął puszkę i podszedł do półki z bronią. Wziął z niej sztylet i wbił go w płaskie dno cylindra. Wytrysnął czerwony sok, zupełnie jak z rany.

Oddał jej ociekającą puszkę. To rzeczywiście były pomidory.

— Jesteś mądry — powiedziała Soli z podziwem. To śmieszne, ale poczuł się dumny.

W końcu dziewczynka podała posiłek. Var, od dziecka przyzwyczajony do jedzenia, znajdującego w śmietnikach ludzkich obozów, nie był nim szczególnie przerażony. Schrupał spalone mięso, wypił sok pomidorowy, przeżuł spieczone bułki i rozłupał sztyletem twarde jak kamień lody.

— Bardzo smaczne — powiedział, gdyż Wódz zawsze podkreślał znaczenie uprzejmości.

— Nie potrzebuję twoich drwin!

Var, nie wiedząc o co jej chodzi, nie odpowiedział. Dlaczego ludzie tak często gniewali się bez powodu?

Po posiłku wyszedł na zewnątrz, by oddać moc. Nie był przyzwyczajony do porcelanowych urządzeń sanitarnych znajdujących się w gospodzie. Soli wzięła prysznic i otworzyła ukryte w ścianie łóżko.

— Nie włączaj telewizji! — zawołała, gdy wrócił. Pewnie jest w niej podsłuch.

Var nie miał takiego zamiaru, lecz jej niepokój zaciekał go.

— Podsłuch?

— No, wiesz. Połączenie z podziemiem, dzięki któremu wiedzą tam, kiedy ktoś włącza telewizor. Może Odmieńcy też to robią, żeby śledzić ruchy koczowników. Nie chcemy, żeby ktoś wiedział, gdzie jesteśmy.

Var przypomniał sobie rozmowę Wodza z władcą podziemi i pomyślał, że rozumie. Telewizja nie musiała być pozbawiona znaczenia. Rozłożył sąsiednie łóżko i rzucił się na nie.

Po chwili jednak przekręcił się na drugi bok i spojrzał na telewizor.

— Dlaczego telewizja jest taka głupia? — zapytał.

— Tacy byli starożytni — odrzekła Soli. — Przed Wybuchem. Robili głupie rzeczy. Mamy je wszystkie na taśmach i po prostu przepuszczamy to przez nadajnik. One wła-

śnie pojawiają się w telewizji. Jim mówi, że to wszystko coś znaczy, ale mamy zepsute urządzenia dźwiękowe, więc nie możemy być pewni.

— My?

— Podziemie. Helikon. Jim mówi, że musimy zachować technikę. Nie umiemy zrobić telewizji, ale możemy utrzymywać ją w ruchu, przynajmniej dopóki nie zużyją się wszystkie części zapasowe. Odmieńcy wiedzą o elektryczności więcej od nas. Mają nawet komputery. Ale za to my więcej pracujemy.

To zainteresowało Vara.

— Co właściwie robicie?

— No, produkujemy. Wytwarzamy broń i urządzenia do gospod. Odmieńcy budują gospody i zaopatrują je w jedzenie oraz inne rzeczy. Koczownicy są konsumentami. Nic nie robią.

To było zbyt skomplikowane dla Vara, który przed obecną wojną nigdy nie słyszał o podziemiu i do dzisiaj miał jedynie blade pojęcie o tym, kim są i co robią Odmieńcy.

— Jeśli Góra robi tak dużo, to dlaczego Wódz chce ją podbić?

— Bob mówi, że jest obłąkany. Powiedział, że to oszust. Miał zlikwidować Imperium, a zamiast tego zaatakował Górę. Bob jest naprawdę wściekły.

— Wódz mówił, że Góra jest zła i że nie będzie mógł uczynić Imperium wielkim, zanim jej nie podbije. A teraz mówi, że spali ją całą, kiedy już mnie zabije.

— Może naprawdę jest obłąkany — szepnęła Soli.

Var sam się nad tym zastanawiał.

— Boję się — powiedziała Soli po chwili. — Bob mówi, że jeśli koczownicy stworzą Imperium, to nadejdzie następny Wybuch i już nikt się nie uratuje. Mówi, że koczownicy są niestabilnym elementem naszego społeczeństwa i nie mogą mieć techniki, bo zrobią Wybuch drugi raz. Ale teraz. . .

Var nic z tego nie rozumiał.

— Kto zbudował Górę? — zapytał.

— Jim mówi, że to produkt powybuchowej cywilizacji — odparła niepewnie. — Wszędzie było promieniowanie i ludzie umierali, więc wzięli swe wielkie maszyny, usypali kopiec nad miastem, zakopali je w ziemi, podłączyli elektryczność, uratowali swych najlepszych uczonych i urządzili wszystko tak, żeby nikt inny nie mógł się dostać

do środka. Potrzebowali jednak jedzenia i innych rzeczy, musieli więc zacząć wymianę. Niektórzy mądrzy ludzie na zewnątrz też zachowali trochę cywilizacji — wy nazywacie ich Odmieńcami. Ludzie z Helikonu zaczęli więc handlować z nimi. Cała reszta, czyli koczownicy, po prostu wałęsała się i walczyła ze sobą. Po pewnym czasie zbyt wielu ludzi w Helikonie zestarzało się i umarło, a technika się psuła, zaczęto więc przyjmować nowych. Należało jednak utrzymywać to w tajemnicy, a ponieważ Odmieńcy nie chcieli do nich przychodzić, przyjmowano tylko tych, którzy przyszli umrzeć.

— Nie wierzę, żeby Wódz chciał zrobić następny Wybuch — powiedział Var. Przypomniawszy sobie jednak jego groźbę zniszczenia całej Góry i przestał być tego pewien.

Soli była na tyle dyskretna, że nic nie odrzekła. Po chwili oboje zasnęli.

W odległości dwudziestu mil Bezimienny, znany niektórym jako Sos, nie spał, lecz chodził po namiocie chory z wściekłości spowodowanej śmiercią jego naturalnej córki — dziewczynki zwanej Soli. Spłodził ją cudzołożnie, lecz była krwią z jego krwi. Od czasu, gdy opuścił Górę, był bezpłodny z powodu operacji, którą przeprowadził chirurg z Helikonu, by uczynić go najsilniejszym człowiekiem na świecie. Tak naprawdę nie był mutantem. Pod skórą znajdowały się nie przerośnięte kości, lecz nierdzewna stal.

Hormony sprawiły, że jego ciało urosło, nie mógł już jednak spłodzić dziecka. W ten sposób Soli, oficjalnie córka kastrata Sola, była jego jedynym potomkiem. Choć nie widział jej do sześciu lat, była dla niego najważniejsza na świecie, a przez to każda dziewczynka w jej wieku stawiała mu się bliska. Marzył o chwili spotkania z nią, ze swym przyjacielem Solem, oraz ukochaną Sosą. . .

Teraz jednak te marzenia obróciły się w gruzy. Źródło jego ambicji zostało zniszczone. Wszystko na świecie wydało mu się pozbawione znaczenia.

Soli była może taka, jak ta urwiska z plemienia Pan, śmiała i pełna życia, lecz zręcznie radząca sobie za pomocą łez, gdy tylko coś stanęło jej na przeszkodzie. Nigdy się tego nie dowie, gdyż Var ją zabił.

Var z pewnością umrze, a Helikon zostanie zrównany z ziemią, gdyż to Bob doprowadził do zamordowania Soli. Nikt z winnych nie ocaleje, nawet Sos Nieuzbrojony, najbardziej winny ze wszystkich.

Chodził tak w kółko, miotany pełną rozpaczą wściekłością. Czekał tylko na świt, by rozpocząć swą zemstę. Tyl na pewno chętnie dopilnuje oblężenia Helikonu do czasu jego powrotu.

13

Po miesiącu uciekinierzy znaleźli się daleko poza Imperium lecz Var, który na własnej skórze poznał upór Bezimiennego, nie odważył się odpoczywać. Wiedział, że ludzie z miejscowych plemion wskażą Wodzowi drogę. W tej sytuacji tylko nieustanna ucieczka dawała jakąś szansę.

Z początku Soli chowała się, gdy kogoś spotykali, gdyż oficjalnie była martwa. Potem wpadła na pomysł, że może się przebrać za chłopca i nikt jej nie pozna. Wędrowali więc razem — brzydki mężczyzna i ładny chłopiec.

Wyruszyli na zachód, gdyż na wschodzie rozciągało się Imperium Wodza, a Soli słyszała, że na południu leży ocean. Rozległe, pustynne Złe Kraje zmusiły ich do zwrócenia się na północ. Starali się unikać kłopotów, lecz gdy nie było to możliwe, walczyli. Pewnego razu jakiś pyskаты wojownik z mieczem wyzwał Vara, nazywając go zmutowanym pederastą. Var nie znał tego drugiego słowa, domyślił się jednak, że miała to być obelga. Wstąpił więc do Kręgu, po czym złamał tamtemu nos i rozbił głowę pałkami. Po walce przeciwnik nie był ani trochę ładniejszy od Vara. Innym razem jakieś małe plemię próbowało nie wpuścić ich do gospody. Var stłukł jednego, Soli drugiego, a reszta uciekła. Wojownicy spoza Imperium nie umieli porządnie walczyć.

W drugim miesiącu wędrówki natknęli się na pustynię tak wielką, że znów musieli zawrócić. W obawie przed Wodzem szli przez pustkowia unikając utartych szlaków.

W tych niegościnnych okolicach trudno było jednak znaleźć jedzenie. Nie mieli czasu na zastawianie sideł i cierpliwe czekanie na zwierzynę. Soli przestała więc udawać chłopca i chodziła do gospod, by uzupełniać zapasy. Var krył się zawsze w pobliżu. Za którymś razem Soli wróciła z wiadomością, że Nieuzbrojony przechodził tędy dwa, lub trzy dni temu. Był już poza swym Imperium, lecz nikt nie mógł z nikim pomylić bia-

łowłosego olbrzyma, który nie wstępował nigdy do Kręgu i odzywał się tylko po to, by opisać Vara i upewnić się, czy tędy przechodził. Towarzyszący uciekinierowi chłopiec najwyraźniej nie interesował Bezimiennego.

A więc to była prawda. Wódz wyruszył w pościg za nim, porzucając wszystko inne. Var odczuwał strach i żal. Miał nadzieję, że ta mordercza furia minie i nie upłynie wiele czasu, gdy wojna z Górą zmusi Bezimiennego do powrotu. Wódz mógłby, rzecz jasna, wysłać za Varem kogoś innego, lecz Var załatwiłby się z takim człowiekiem w Kręgu bez wyrzutów sumienia. Nie mógł tylko zdobyć się na walkę z samym Wodzem, nie ze strachu, choć wiedział, że tamten by go zabił, lecz dlatego, że był on jego jedynym prawdziwym przyjacielem.

Teraz jednak już wiedział, że tak się nie stanie. Wódz nigdy nie zrezygnuje z pościgu.

Skęcili znowu na północ. Poruszali się szybko. Sypiali w lesie, na otwartej przestrzeni i w tundrze. Soli przynosiła zapasy z gospod, czasem jako dziewczynka, czasem jako chłopiec.

Wieści ich jednak wyprzedziły. Gdy spotykali obcych, ci rozpoznawali ich coraz częściej:

— Ty, z cętkowaną skórą, czy to nie ciebie ściga olbrzym?

Z reguły jednak przypadkowo spotkani ludzie nie wtrącali się, gdyż Var uchodził za prawdziwego mistrza pałek. Tutaj, wśród słabo wyszkolonych wojowników, była to prawda. Nieliczni, którzy postanowili wyzwać go do walki w Kręgu, wkrótce stawali się posiniaczonym świadectwem tego faktu.

Mało kto podejrzewał, że towarzyszący Varowi chłopiec jest jeszcze lepszym wojownikiem, który posiadał zarówno wyrafinowaną sztukę walki na pałki, jak i umiejętność walczenia bez broni. Wychodziło to na jaw dopiero wtedy, gdy oboje musieli stawiać czoła agresywnym bandom, które nie przestrzegały zasad Kręgu. Soli ustawiała się zawsze za plecami lub po bokach Vara i walcząc w ten sposób potrafili dokonać istnych pogromów.

Po dalszych dwóch miesiącach dotarli do końca terytorium Odmieńców. Dalej nie było już gospod. Skończyły się łatwe do przejścia trakty budowane przez ciągniki Odmieńców. Pustkowie stało się całkowite. Ponadto nastąpiła zima.

Nie zrażeni tym zapuścili się w pokrytą bielą krainę pełną nagich drzew. Pełno tu było rozpadlin oraz ukrytych pod śniegiem kamieni, o które łatwo było się potknąć. O zmierzchu znów zaczął padać śnieg, z początku łagodnie, potem coraz gęściej. Soli stała się ponura i milcząca. Nie była do tego przyzwyczajona. Nigdy przedtem nie miała do czynienia ze śniegiem. Widywała go tylko z daleka i przez szyby. Dotąd był on dla niej czymś niekoniecznie zimnym i nieprzyjemnym. Teraz ten lodowaty, biały puch, który niesiony wiatrem zalepiał jej oczy i utrudniał marsz, denerwował ją i przerażał.

Var wykopał w nim dół, odsłaniając nie zamarznątą darń i rozbił na niej namiot, a następnie przysypał go odgarniętym śniegiem, pozostawiając tylko tunel prowadzący do wejścia. Wprowadził Soli do środka, zdjął jej buty i rozmasował stopy, aż zaczęły się rozgrzewać. Nie płakała już teraz tak łatwo, jak na początku ich znajomości. Var wołał jednak, żeby było inaczej, gdyż teraz cierpienie gromadziło się w niej, nie chcąc odejść.

Tej nocy, gdy zjedli kolację, przytulił ją mocno do siebie pragnąc pocieszyć. W końcu odprężyła się i zasnęła.

Rankiem nie chciała się obudzić. Rozebrał ją nerwowo i znalazł ślad ukąszenia: na sonej kostce tuż nad cholewką buta. Coś, co przypominało jadowitą ćmę, użądliło Soli

we śnie. Ich obóz musiał znajdować się zatem w pobliżu Złego Kraju i były tu zwierzęta typowe dla tych terenów. Gdyby nie padał śnieg, Var mógłby rozpoznać tę okolicę. Zapewne kryły się tu zimujące ćmy i ciepło obudziło jedną z nich. Owad podpełznął do dziewczynki i z jakiegoś powodu ukąsił... Soli zapadła w śpiączkę.

Var o tej porze roku nie miał skąd wziąć ziół, które mogłyby pomóc Soli. Była mała. Jeśli dostała zbyt wiele trucizny będzie spać, dopóki nie umrze. Jeśli zaś dawka jadu była mała, dziewczynka wyzdrowieje, pod warunkiem, że będzie trzymana w ciepłe.

Śnieżyca osłabła, Var wiedział jednak, że nie będzie to trwać długo. W nocy zaś zrobi się tu naprawdę zimno. Tak czy inaczej, nie było to odpowiednie miejsce dla chorej. Musiał zanieść Soli do ogrzewanej gospody.

Zwinał namiot, zapakował wszystko pośpiesznie i ze szczelnie opatuloną we wszystko, co się dało, Soli na rękę, ruszył z powrotem. Brnął po kolana w śniegu. Przedzierał się przez sięgające bioder zaspę. Nie zatrzymywał się ani na chwilę, choć ramiona zdrętwiały mu pod wpływem ciężaru, a nogi miał jak z ołowiu.

Po kilku godzinach wpadł w ukrytą pod śniegiem jamę. Potknął się, odzyskał równowagę, złapał ześlizgującą się z jego ramion Soli i omal nie runął na ziemię, gdy nagły

ból przeszył mu stopę. Szedł dalej nie zwracając uwagi na cierpienie, aż do chwili, gdy ból opuchniętej kostki stał się nie do wytrzymania. Wtedy zszedł buty i dalej ruszył na bosaka, gdyż zimno pozwalało nie czuć bólu.

Po pewnym czasie musiał znów przystanąć, by pozbyć się wszelkiego zbytecznego ciężaru. Potem dźwignął Soli i ruszył dalej, dlatego tylko, że musiał. Zanim dzień się skończył, złożył jej bezwładne ciało w ciepłej gospodzie, ostatniej, którą minęli.

Soli oddychała płytko, nie miała jednak gorączki ani dreszczy, oznaczających ciężką chorobę, i Var zaczął mieć nadzieję, że jest to lekki przypadek.

Położył się obok niej. Ból w jego nodze był przerażająco dotkliwy. Skręcenie nie byłoby poważne, gdyby nie pogorszył sprawy przez długą wędrówkę. Teraz...

Usłyszał jakiś szelest. Ktoś zbliżał się do gospody po odśnieżonej przez Odmieńców drodze. Niewątpliwie zamierzał tu nocować.

Var uznał, że przybysz będzie tu za kilka minut. Nie zważając na ból dźwignął się na nogi i pośpiesznie owinął kostkę kawałkiem prześcieradła. Stracili cały dzień i Wódz na pewno był już bardzo blisko.

Zbliżające się kroki nie należały jednak do Nieuzbrojonego. Były zbyt lekkie i szybkie. Var jednak nie mógł pozwolić, by ktokolwiek wszedł do gospody, gdy Soli leżała chora.

Ubrał się w swój ciężki, zimowy płaszcz, zakrył szczelnie twarz kapturem, by ukryć odbarwienia w miejscach reagujących na promieniowanie. Podniósł pałki, siłą woli pokonał ból, pod wpływem którego omal nie zemdlął i wyszedł przez obrotowe drzwi, by spotkać się z nieznanym na zewnątrz.

Choć zbliżał się wieczór, było jeszcze jasno. Var szybko wypatrzył intruza.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, dobrze zbudowany i jasnoskóry. Miał wielki, długi plecak, wystający mu ponad głowę, i delikatne, niemal kobiece rysy twarzy. Poruszał się dziwnie lekko. Wydawał się jednak nieszkodliwym, samotnym wędrowcem. Var wiedział, że postępuje źle, zabraniając mu wstępu do ciepłej gospody o tak późnej porze, nie miał jednak wyboru. Chodziło o Soli. Jeśli Wódz spotka tego człowieka, dowie się od niego, że tu są i przybędzie, zanim dziewczynka wróci do zdrowia; będą zgubieni. Zastąpił nadchodzącemu drogę.

Mężczyzna nie odezwał się. Spojrzał tylko pytająco na Vara.

— Moja... moja siostra jest chora — rzekł Var. Jego słowa stały się niezrozumiałe, jak zawsze, gdy rozmawiał z obcymi. Kiedy już kogoś poznał, rozmowa stawała się łatwiejsza, po części dlatego, że był spokojny, a po części dzięki temu, że rozmówca rozumiał sposób, w jaki Var zniekształcał wyrazy i uczył się brać na to poprawkę. — Muszę... ją trzymać... samą...

Wędrowiec nadal milczał. Spróbował przejść obok Vara. Ten ponownie zastąpił mu drogę.

— Siostra... chora. Musi... być... sama — wypowiedział starannie.

Nadal milczący mężczyzna ponownie spróbował go ominąć.

Var uniósł jedną pałkę.

Nieznajomy sięgnął za siebie do plecaka i wydobył własną.

A więc sprawę rozstrzygnie Krąg.

Var chciał uniknąć walki, gdyż słuszność była po stronie przybysza. Do gospody miał prawo wejść każdy. Nieznajomy nie otrzymał rozsądnego wytłumaczenia i miał prawo być rozgniewany. Ponadto Var był w złej formie.

Z trudem udało mu się ukryć fakt, że miał chorą nogę. Doskwierało mu też dotkliwe zmęczenie po całodziennym wysiłku. Nie mógł jednak powiedzieć całej prawdy i ryzykować zdemaskowania. Nieznajomy będzie musiał nocować gdzie indziej.

Jeśli był on wojownikiem z tych zapadłych okolic, Var miał nadzieję pokonać go, mimo wszystko. Zwłaszcza w walce na pałki. W każdym razie musiał spróbować.

Mężczyzna ruszył jako pierwszy ścieżką prowadzącą do Kręgu. Var poczuł ulgę, gdyż podążając za nim mógł ukryć to, że kuleje. Nieznajomy oczyścił butem Krąg ze śniegu, wyciągnął drugą pałkę, zdjął wysoki plecak oraz kurtkę i stanął w postawie do walki. W jego ruchach był spokój i pewność siebie.

Var musiał pozostać w płaszczu, choć krępowało to jego ruchy, gdyż bał się odsłonić swą cętkowaną skórę. Wstąpił do Kręgu.

Po pierwszym starciu najgorsze obawy Vara stały się rzeczywistością. Miał do czynienia z mistrzem pałek. Ruchy nieznajomego były nadzwyczaj gładkie i szybkie, a ciosy celne. Var nigdy jeszcze nie widział tak doskonałego panowania nad bronią.

Var zaatakował z furją. Wiedział, że musi wygrać szybko, albo nie wygra wcale. Był wyższy od przeciwnika i zapewne silniejszy, a ponadto desperacja zwielaokrotniła jego

umiejętności, mimo iż był ranny i zmęczony. Walczył lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Wiedział jednak, że niebawem zabraknie mu sił. Wobec jego furii nawet sam Tyl musiałby się cofnąć i pomyśleć o obronie.

A jednak nieznajomy zbijał każdy cios Vara bez wysiłku. Uprzedzał jego zamiary i nie pozwalał wykorzystać siły. Z pewnością był to najlepszy pałkarz, jaki kiedykolwiek wstąpił do Kręgu!

Nagle mężczyzna przeszedł do ataku, przebił się przez osłonę Vara, jak gdyby w ogóle jej nie było i zadał mu cios w głowę. Ogłuszony Var upadł w poprzek Kręgu. Walka była skończona.

Leżąc z twarzą w śniegu, Var coś usłyszał. Grunt drżał, jakby uderzały w niego ciężkie stopy: skrzyp, skrzyp, skrzyp. Człowiek, którego słuch nie byłby aż tak ostry, nie zdołałby tego usłyszeć. Sam Var nie zwróciłby na to uwagi, gdyby jego ucho nie było przyciśnięte do ziemi.

To był odgłos odległych kroków Wodza.

Zwycięzca stanął nad nim, spoglądając na dół z ciekawością.

— Nieznajomy! — krzyknął na wpół oszalały Var. — Nigdy nie spotkałem takiego wojownika, jak ty. Błagam cię o łaskę... — jego słowa ponownie stały się niezrozumiałe. Musiał zwolnić. — Nie pozwól tej nocy nikomu wejść do gospody! Strzeż jej, daj jej czas...

Mężczyzna przykucnął, by mu się przyjrzeć. Czy zrozumiał cokolwiek? Było niesłychane, by pokonany prosił o coś zwycięzcę, cóż jednak innego Var mógł teraz zrobić?

— Ćma ze Złego Kraju... umrze, jeśli nie będzie miała spokoju...

Sam Var również umrze, jeśli się natychmiast nie podniesie. Kto wtedy zaopiekuje się Soli? Czy Wódz zatrzyma się, by jej pomóc? Nie, jeśli pragnienie zemsty jest wciąż silne! Nie. Pomóc Soli mógł jedynie ten nieznajomy, jeśli zechce. Tak nadzwyczajnym umiejętnościom walki w Kręgu musiały chyba towarzyszyć honor i wielkoduszość.

Mężczyzna wyciągnął rękę, by dotknąć zranionej nogi Vara. Prześcieradło rozluźniło się, odkrywając kawałek nabrzmiałej skóry. Przybysz pokiwał głową. I tak zwyciężyłby Vara, nie był jednak zadowolony, gdy odkrył, że walczył z okulawionym przeciwnikiem. Wstał i wystąpił z Kręgu, zostawiając Vara tam, gdzie upadł. Założył kurtkę,

potem plecak, do którego schował pałki, i oddalił się ścieżką w stronę, z której nadciągał Wódz.

Odstąpił gospodę Varowi.

Ten niewiele myśląc dzwignął się i pokuśtykał z powrotem do gospody. Obejrzał się kilka razy, by spojrzeć na odchodzącego. Wreszcie wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Nieznamy wyruszył na spotkanie Wodza. Var był teraz zdany na jego łaskę. Kim był ten milczący wojownik i w jaki sposób zdobył tak niewiarygodne umiejętności? Var wiedział, że nikt w Imperium nie mógłby się mierzyć z tym człowiekiem w walce na pałki.

Wódz jednak nie walczył na pałki. Co zajdzie pomiędzy nimi, gdy się spotkają? Czy będą walczyć? Rozmawiać ze sobą? Czy przyjdą razem do tej gospody? A może miną się bez słowa i Wódz przybędzie tu, by znaleźć uciekinierów?

Soli poruszyła się i Var zapomniał o wszystkim poza nią.

— Var... Var... — szepnęła słabo. Pośpieszył do niej. Wracała do zdrowia! Jeśli tylko będą mieli tę noc...

Mieli. Choć Var nasłuchiwał z niepokojem kroków Wodza, nikt nie zbliżał się do gospody.

Rankiem Soli czuła się dobrze, choć była bardzo słaba.

— Co się stało? — zapytała.

— Użądliła cię ćma ze Złego Kraju... — odparł Var. — Tak sędzę. Ożyła, gdy ogrzałaś ziemię swoim ciałem. Przyniosłem cię tutaj.

— Skąd masz ten siniak? — dotknęła jego czoła.

— Walczyłem z mężczyzną, który chciał się tu wdrzeć.

Żeby jej nie niepokoić, nie powiedział nic więcej.

Rankiem zabrali ze sobą więcej brezentu, aby móc go rozłożyć na ziemi podwójną warstwą i całkowicie uchronić się przed wilgocią i ćmami. Var wyjaśnił Soli, że stracili wiele czasu i muszą ruszać w drogę, nie przyznał jednak, że wie, iż Wódz jest bardzo blisko. Jednak dziewczynka wyczuła jego niepokój.

Tak więc wznowili swą desperacką podróż. Soli była słaba, lecz mogła iść. Oszołomiona po chorobie nie spostrzegła, że jej towarzysz okulał.

Gdy opuszczali gospodę, Var raz jeszcze spojrzał zaciekawiony na prowadzącą do niej ścieżkę. Kim był ten szlachetny, milczący mężczyzna, który umożliwił im ucieczkę? Czy kiedykolwiek się tego dowie?

14

Maszerowali na północ przez całą zimę i wreszcie wiosną znaleźli się daleko poza terenami Odmieńców. Napotkali tam zupełnie obcych ludzi. Niektórzy z nich nosili karabiny i łuki, lecz nie mieli prawdziwej broni. Nie walczyli w Kręgu i mieszkali w budowlach przypominających prymitywne gospody. Aby ogrzać te „domy” palili drewno, gdyż nie mieli elektryczności. Oświetlali je za pomocą dymiących lamp olejowych. Mówili trudno zrozumiałym językiem i nie byli przyjaźnie nastawieni. Każda tutejsza rodzina uprawiała własne pola i polowała na swoim terenie. Obcych nie atakowano, ale i nie pomagano im chętnie.

Wódz wciąż podążał za nimi. Czasem zostawał w tyle o cały miesiąc drogi, a czasem znajdował się w zasięgu wzroku, zmuszając ich do szybszej ucieczki. Milczący mężczyzna, z którym walczył Var, towarzyszył teraz Bezimiennemu. Szybko rozchodzące się wieści i plotki opisywały go tak dokładnie, że Var nie miał żadnej wątpliwości, że to on. Jednak nie powiedział o tym Soli. Gdyby się dowiedziała, że wojownik o takich umiejętnościach postanowił pomóc Wodzowi...

Czy ci dwaj walczyli ze sobą i Wódz uczynił nieznanego częścią Imperium? A może połączyli siły tylko dla wygody, by pomagać sobie nawzajem? Tego plotki nie mówiły.

Nadeszło lato. Okolica wciąż była dzika, a pościg nie ustawał. Soli stała się wyższa i silniejsza. Rosła szybko. Radziła sobie całkiem nieźle. Nauczyła się od Vara, jak chodzić cicho po lesie, chwycić małe zwierzęta, obdzierać je ze skóry i patroszyć. Jak rozpalać ogień i piec mięso. Nauczyła się wykopywać wilcze doły oraz spać wygodnie na drzewie. Jej krótko ścięte włosy odrosły czarne i piękne. Przypominała teraz swą naturalną matkę bardziej niż kiedykolwiek.

Natomiast Soli nauczyła go walki bez broni, a także sztuczek, które znał jej ojciec, Sol. Oboje wiedzieli, że prędzej czy później Wódz ich dogoni i Var, mimo swoich oporów, będzie musiał z nim walczyć. Bezimienny nie pozostawi mu wyboru.

— Lepiej jednak uciekać tak długo, jak będziemy mogli — powiedziała Soli. — Nieuzbrojony pokonał w Kręgu Sola, kiedy byłam mała, a Sol był najlepszym wojownikiem naszych czasów.

Var wątpił, czy mógłby być tak dobry, jak wojownik z pałkami, który wędrował teraz z Wodzem, zachował jednak tę myśl dla siebie.

— To Nieuzbrojony uderzył ojca w szyję tak mocno, że od tego czasu nie może już mówić — zauważyła, jakby dopiero teraz sobie o tym przypomniwała. — A ty mówiłeś, że byli przyjaciółmi.

— Sol nie mówi?

Vara przebiegły ciarki wywołane zatrważającym podejrzeniem.

— Nie. Nasz chirurg chciał go zoperować, ale on nie ścierpiałby dotyku noża. Nie poza Kręgiem. To było tak, jakby uważał, że musi zachować tę ranę. Tak powiedziała Sosa, ale zabroniła mi o tym mówić.

Var ponownie pomyślał o jasnoskórym nieznanym, mistrzu pałek. Był teraz pewien, że zna jego tożsamość.

— Co by zrobił twój ojciec, gdyby myślał, że nie żyjesz?

— Nie wiem — odparła. — Wolę o tym nie myśleć, więc nie myślę. Tęsknię za nim i jest mi naprawdę smutno. . . — ucięła jednak tę myśl. — Bob pewnie mu nie powiedział. Myślę, że udawał, iż wysłał mnie na zwiady, z których nie wróciłam. Bob mówi prawdę tylko wtedy, kiedy mu to przynosi korzyść.

— Ale gdyby Sol się dowiedział. . .

— Myślę, że zabiłby Boba i. . . — otworzyła szeroko usta. — Var, nigdy o tym nie pomyślałam! Uciekłby z podziemi i. . .

— Spotkałem go — odezwał się nagle Var. — Kiedy byłaś chora. On teraz jest z Wodzem.

— Sol jest towarzyszem Bezimiennego? Powinnaś była się domyślić! Ależ to cudownie, Var! Są znowu razem. Muszą naprawdę być przyjaciółmi.

Var opowiedział jej całą prawdę o tym, jak walczył z Solem i o jego niezwyklej wielkoduszności.

— Nie znałem go — dokończył. — Nie pozwoliłem mu cię zobaczyć.

Pocałowała go w policzek w niepokojąco kobiecym geście.

— Nie wiedziałaś kto to był. I walczyłaś dla mnie.

— Możesz do niego wrócić.

— Chciałabym tego bardzo — odparła — ale co z tobą, Var?

— Wódz przysiągł mnie zabić. Muszę uciekać dalej.

— Jeśli Sol jest teraz z Nieuzbrojonym, to musiał się z nim zgodzić. Na pewno obaj chcą cię zabić.

Var skinął głową, unieszczęśliwiony.

— Kocham mojego ojca ponad wszystko — powiedziała powoli. — Ale nie chcę, żeby cię zabił, Var. Jesteś moim przyjacielem. Dałeś mi ciepło na płaskowyżu i uratowałeś przed chorobą i śniegiem.

Var zdziwił się, że Soli przywiązuje taką wagę do tych drobnostek.

— Ty również mi pomogłaś — odpowiedział szorstko.

— Pozwól mi wędrować z sobą jeszcze trochę. Może znajdę sposób, by porozmawiać z ojcem i może on zdoła przekonać Bezimienego, żeby przestał cię ścigać.

Var poczuł ogromną wdzięczność z powodu jej decyzji, chociaż nie wiedział skąd wzięło się to uczucie. Być może chodziło o tę iskierkę nadziei na możliwość pojednania z Wodzem, a może po prostu nie miał siły wędrować samotnie. Najważniejsza jednak mogła być przyjaźń, jaką mu okazała. Ona łagodziła jego cierpienie spowodowane tym, że Wódz się od niego odwrócił. Mieć przyjaciela — to było najważniejsze ze wszystkiego.

W końcu dotarli do morza, które zagrodziło im dalszą drogę. Pościg był coraz bliżej. Nieprzychylnie nastawieni tubylcy powiedzieli im z okrutną radością, że znaleźli się w pułapce. Na zachodzie i południu był ocean, na północy wieczne śniegi, a na wschodzie dwaj groźni wojownicy.

— Został wam jeszcze tunel — powiedział kpiąco pewien kupiec.

— Tunel? — Var przypomniał sobie tunel metra w pobliżu Góry. Mógł się ukryć w podobnej rurze. — Jest w nim promieniowanie?

— Kto wie? Nikt nigdy stamtąd nie wrócił.

— Ale dokąd on prowadzi? — dopytywała się Soli.

— Może do Chin.

To było wszystko, co chciał im powiedzieć, i zapewne wszystko co wiedział.

— W Chinach również jest Helikon — stwierdziła później Soli. — Nazywa się inaczej, ale jest tym samym. Czasami wymienialiśmy z nimi wiadomości. Przez radio.

— Ale my prowadzimy wojnę z Górą!

— Bezimienny prowadzi, albo prowadził. Sol nie. My również nie. A poza tym to inny Helikon. Mogliby tam nam pomóc, przynajmniej na tyle, aby umożliwić mi rozmowę z Solem. Jeśli zdołamy ich znaleźć. Nie wiem tylko, w którym miejscu są te Chiny.

Var nie był przekonany, nie widział jednak lepszego wyjścia. Jeśli istniała szansa ucieczki przed Wodzem, musiał z niej skorzystać.

Wejście do tunelu było olbrzymie, wystarczająco wielkie, aby zmieścić się w nim największy ciągnik Odmieńców, a nawet kilka obok siebie. Strop był łukowaty, a ściany łagodnie pochylone. W pierwszej chwili Var nie był pewien, czy tunel został w ten sposób zbudowany, czy też zaczyna się walić. Po bliższym przyjrzeniu okazało się jednak, że ściany są mocne. Podłoże tunelu stanowiła ubita ziemia, ale nie było na niej metalowych szyn. Przed nimi otwierała się po prostu ciemna dziura.

— Zupełnie jak w podziemiu — zauważyła Soli, która nie czuła trwogi. — Za tylnym magazynem jest stary tunel metra. Są w nim szczury. Bawiłam się tam czasem, ale Sosa powiedziała, że może tam być promieniowanie.

— Rzeczywiście było — odrzekł Var.

— Skąd wiesz?

Odpowiedział jej krótko o swej wyprawie do Helikonu, przed początkiem wojny.

— Ale Wódz stwierdził, że Sosa im wszystko powie i zastawią tam pułapki, więc nie skorzystaliśmy z tej drogi.

— Nic nie powiedziała. Bob wiedział o tym przejściu, ale mówił, że liczniki Geigera dowiodły, że nie można się tamtędy przedostać, więc się nim nie przejmował. Myślę, że promieniowanie już opadło, gdy się zjawileś. Sosa nie powiedziała ani słowa.

A więc mogli zaatakować tamtędy! Dlaczego Sosa nie doniosła o starciu z Varem?

Nagle przypomniał sobie: Sos i Sosa. Kiedyś była jego żoną i musiała go nadal kochać, nie powiedziała więc nic. Wódz jednak myślał, że powiedziała, i w ten sposób rozpoczęła się bitwa na powierzchni. Jeszcze jedna ironia losu!

Soli zapaliła latarkę i weszła do tunelu. Var podążył za nią.

Czy ta wielka rura naprawdę przechodziła pod całym oceanem? Zastanowił się, co chroni ją przed zalaniem wodą. I dlaczego nikt z niej nie wracał? Gdyby tu było promieniowanie, Var by je wyczuł. Obawiał się jednak, że to nie ono. Na rubieżach obszarów należących do Rentgenów czaiły się też inne niebezpieczeństwa. Zmutowane groźne zwierzęta, od śmiercionośnych ciem, aż po olbrzymie drapieżne płazy. Zdarzały się też stwory nieszkodliwe, jak pseudowróbel. Co innego mogło się kryć tutaj?

W głębi tunelu pojawiły się kafle. Były czyste i ładniejsze niż nagi metal i beton. Var domyślił się, co się stało; tubylcy pozrywali najbliższe kafle i zabrali je na własne potrzeby, nie odważyli się jednak zapuszczać zbyt głęboko. Błoto na dnie ustąpiło miejsca wspaniałej szarej powierzchni, szorstkiej w dotyku, która świetnie nadawała się do biegania.

Jak długo jednak mogło się to ciągnąć? Po godzinie rażnego marszu Var zapytał Soli:

— Jak szeroki jest ocean?

— Jim pokazywał mi kiedyś mapę. Mówił, że w tym kierunku leży Pacyfik i że ma on około dziesięciu tysięcy mil szerokości.

— Dziesięć tysięcy mil! Miną lata, zanim go przejdziemy!

— Nieprawda — odpowiedziała. — Pomyśl lepiej, Var. Przecież umiesz rachować. Jeśli idziemy z prędkością czterech mil na godzinę, przez dwanaście godzin dziennie, to daje prawie pięćdziesiąt mil.

— Dwadzieścia dni na pokonanie tysiąca mil — powiedział po chwili mozolnych obliczeń. — Na dziesięć tysięcy... ponad sześć miesięcy, żeby przejść cały ocean. Mamy żywności najwyżej na tydzień!

Soli roześmiała się.

— Tu, na północy, nie jest tak szeroki. Ma może mniej niż sto mil. Nie jestem pewna. Myślę, że tunel musi co chwila wychodzić na powierzchnię, na małych wyspach, żeby zapewnić dopływ świeżego powietrza. Nie będziemy musieli przejść całej drogi za jednym zamachem!

Var miał nadzieję, że to prawda. Tunel nie był dziełem natury. Instynktownie wyczuwał zagrożenie. Jak jednak zdołają uciec, jeśli dopadnie ich tu jakieś niebezpieczeństwo?

Po następnej godzinie marszu, podczas którego Soli wymachiwała latarką, sprawiając, że dziwaczne cienie płaśły po ścianach, Var zrozumiał, co niepokoiło go najbardziej. Tamten tunel metra tętnił życiem pomimo promieniowania. Tutaj nie było żadnej z tych dwóch rzeczy. Var wiedział, że życie wciska się wszędzie, gdzie może, więc powinno znajdować się również w takim miejscu, jak to. Co sprawiało, że było inaczej? Musiał istnieć jakiś powód i nie był nim rój ryjówek, gdyż nie było widać odchodów.

Odпочęli przez chwilę, by się najeść i napić. Następnie ruszyli dalej.

Nagle ujrzeni zbliżającego się tunelem potwora. Nadciągał dudniąc i sycząc. Z jego tułowia tryskała woda. Skąpany był w parze. Światło ogromnego oka rozjaśniło drogę przed nimi.

Var zamarł na chwilę, przerażony. Potem wzięły górę instynkty. Cofnął się, odwrócił i rzucił do ucieczki.

— Nie! — krzyknęła Soli, lecz nie zwrócił na nią uwagi.

Gdy pognał wzdłuż tunelu, ona ruszyła za nim i zatrzymała go. Oboje padli na ziemię. Blask oka potwora migotał nad ich głowami.

— To maszyna! — krzyknęła. — Zbudowali ją ludzie, więc nie robi ludziom krzywdy!

Stwór zbliżał się coraz bardziej, szybciej niż byli w stanie uciekać. Brzęk jego połyskujących gaśienic był ogłuszający. Wypełniał sobą cały tunel.

— Wstawaj! — krzyknęła Soli. — Pokaż jej, że jesteś człowiekiem!

Var posłuchał. Nie był zdolny do samodzielnego myślenia. Ludzie rzadko wywoływali u niego strach, lecz nigdy dotąd nie doświadczył czegoś takiego.

Soli wzięła go za rękę i stanęła przy nim, patrząc na maszynę.

— Stop! — krzyknęła do niej, wymachując drugą ręką w oślepiającym blasku, lecz maszyna się nie zatrzymała.

— Układ rozpoznający musi być zniszczony! — krzyknęła. Jej głos ledwie przebijał się poprzez łoskot. — Nie poznała nas!

Var nie miał już żadnych wątpliwości, co utrzymywało czystość w przejściu. Woda tryskająca z maszyny zapewne zawierała te same trucizny, których Odmieńcy używali do oczyszczania ścieżek. Zabijały one i rozpuszczały wszystko, co żyło. Nawet ludzi. . .

Nie mogli uciec. Potwór pędził ku nim, opryskując swym jadem ściany i strop. Var ujrzał jego przednie szczotki, które zgarniały brud do paszczy, również go przy tym polewając. Nie mogli go ominąć ani prześcignąć. Musieli walczyć.

Machina była tuż, tuż.

Var dźwignął Soli i wyrzucił ją w powietrze. Gdy tylko jej ciężar opuścił jego ramiona, sam skoczył w górę.

Maszyna uderzyła.

Wstrząs był potworny, ale nie stracił przytomności. Rozłożył ramiona i gdy jedno z nich uderzyło w coś miękkiego, złapał to i przyciągnął do siebie. Drugą ręką namacał metalowy pręt i uczepił się go.

Przytrzymując barkiem Soli jechał na maszynie rozpostarty na gorącym reflektorze, ze stopami opartymi o górną krawędź leja.

Gdy tylko zajęł pewną pozycję, przyjrzał się Soli. Jej ciało było bezwładne. Przyciągnął ją do siebie tak, że jej twarz znalazła się w pobliżu jego głowy i przytknął ucho do jej ust. Usłyszał cichy szmer dowodzący, że oddychała. Przyjrzał się jej głowie i ciału tak dokładnie, jak tylko mógł, na przemian oślepiany światłem reflektora i pogrążony

w cieniu. Nie znalazł krwi. Była cała i żywa. Jeśli wstrząs nie był poważny, z czasem się ocknie. Musiał tylko trzymać ją bezpiecznie, dopóki maszyna się nie zatrzyma.

Przesunął się. Przykucnął na krawędzi leja. Z przodu wirowały szczotki, jasno oświetlone rozproszonym światłem. Z wylotów rur lała się woda, lecz powietrze wciąż było przesycone pyłem. Coś, czego nie dostrzegał wyraźnie, furkotało i mełło brud wewnątrz leja z odgłosem przypominającym zgrzytanie zębów. Trzymał stopy z daleka, pewien, że nieostrożny ruch zakończyłby się paskudną śmiercią. Ponownie przesunął Soli i ułożył ją sobie na udach, podtrzymując jej ramiona wolną ręką, zaś stopy jedną nogą. Nie chciał, żeby jakakolwiek część jej ciała zwisała przed tą mroczną paszczą.

Jego mięśnie zmęczyły się, a potem wystąpiły w nich skurcze, lecz Var nie zmienił pozycji. Wiedział, że nie może to potrwać długo i że przy tej prędkości maszyna wkrótce osiągnie koniec trasy. Nagromadzony w tunelu brud wskazywał, w którym miejscu to nastąpi. Z jakiegoś powodu maszyna czyściła tylko taki odcinek. Gdy stanie, zeskoczą z niej. Będą pierwszymi, którzy wyjdą z tego tunelu.

Po mniej niż pół godzinie pojawiło się światło — niewyraźny owal poza zasięgiem reflektora. Wehikuł zatrzymał się ze zgrzytem. Skulonych pasażerów otoczyły gęste

obłoki pary. Var spróbował zejść, stwierdził jednak, że jego nogi zdętwiały tak, jakby były sparaliżowane.

Soli wciąż była nieprzytomna. Nie mogła mu pomóc. Gdyby teraz opuścił to miejsce, zapewne wpadliby oboje do strasznego leja.

Maszyna zadrżała. Woda przestała lecieć, a młyn pod Varem znieruchomiał. Teraz mógł wygodnie oprzeć nogi na jego trybach, nie tracąc przy tym stóp, i czekać aż wróci krążenie.

Światło zgasło, pozostawiając tylko blask bijący od wejścia. Maszyna z nagłym szarpnięciem ruszyła w przeciwną stronę. Soli przetoczyła się na bok i Var musiał ją przytrzymać. W chwili, gdy uchwycił ją pewnie, maszyna poruszała się już zbyt szybko, aby ryzykować skok na odrętwiałe nogi z dodatkowym ciężarem.

Młyn na szczęście pozostał nieczynny. Najwyraźniej wyłączano go na podróż powrotną, podobnie jak polewaczkę i reflektor. Var opuścił jedną stopę i pozwolił, by Soli osunęła się w dół. Powracające czucie sprawiło, że nogi zaczęły go boleć. Jechali tunelem z wielką prędkością.

Dlaczego jednak Soli nie odzyskiwała przytomności? Odczuwał coraz większą obawę, że zbyt mocno uderzyła głową o reflektor i doznała uszkodzenia mózgu. Widywał już wojowników, którzy po ciosach maczugą w głowę stawali się idiotami. Gdyby to przytrafiło się Soli. . .

Maszyna czyszcząca pędziła przed siebie. Wracła tam, skąd przybyła. Var, nie mogąc zrobić nic innego, objął mocno Soli i zasnął.

Obudziło go jasne światło. Maszyna wyjechała na otwartą przestrzeń. Soli, wciąż nieprzytomna, spoczywała w jego ramionach.

Maszyna ponownie się zatrzymała. Byli tu ludzie. Najpierw zjawili się mężczyźni z jakąś niezwykłą bronią. Dopiero po chwili Var zorientował się, że to narzędzia. Potem nadeszły wysokie, uzbrojone kobiety. Niektóre z nich nosiły okrągłe dyski z napiętej skóry, które krępowały im jedną rękę, czyniąc ją bezużyteczną w walce.

— Spójrzcie na to! — zawołała jedna z nich ze zdumieniem. — Brodacz i dziecko.

Var nie odezwał się od razu. Wyczuł kłopoty. Te kobiety były wojownicze i pozbawione kobiecości. Nie przypominały tych, które widywał do tej pory. W ich ciekawości było coś nieprzyjaznego. Metalowe hełmy sprawiały, że wyglądały jak ptaki.

Soli nie poruszyła się.

— Zobacz, czy ma członek — odezwała się inna z entuzjazmem w głosie.

Ich zachowanie było osobliwe. Sprawiały wrażenie, jakby chciały dokonać czegoś ohydneho. Var wyciągnął pałki.

Natychmiast pojawiły się łuki i z trzech stron wymierzono w niego kilkanaście strzał. Nie miał przed nimi żadnej osłony. Sytuacja była beznadziejna. Opuścił broń.

Milczący mężczyźni wspinali się na maszynę, manipulując przy niej swymi narzędziami. Najwyraźniej sprawdzali ją po podróży, tak samo jak Odmieńcy swe ciągniki. Dzięki temu machina wciąż działała, choć tych, którzy ją zbudowali, dawno już nie było na świecie.

— Złaź! — krzyknęła tęga kobieta, która najwyraźniej tu rządziła. W jednej ręce trzymała włócznię, a w drugiej tarczę.

Var usłuchał rozkazu, unosząc ostrożnie Soli.

— Dziecko jest chore! — krzyknął ktoś. — Zabijcie je!

Var, przytrzymując Soli jedną ręką, drugą błyskawicznym ruchem złapał przywódczynię kobiet za warkocz. Gwałtownie przyciągnął ją do siebie i odgiął jej głowę do

Tyłu, aż zatrzeszczał kark. Krępująca ruchy tarcza na lewym ramieniu uniemożliwiła wojownicze skuteczny opór. Var wyszczerzył zęby i warknął gardłowo.

— Zastrzelcie go! Zastrzelcie! — wrzasnęła schwyтана kobieta.

Łuczniczki jednak nie zareagowały.

— To na pewno prawdziwy mężczyzna — stwierdziła jedna z nich. — Królowa byłaby zła.

— Przegryzę jej gardło, jeśli moja przyjaciółka zginie! — wysyczał Var. Jego oddech owiał naciągniętą szyję kobiety. Nie była to czcza pogróżka. W dzieciństwie zęby były jego naturalną bronią.

Po chwili wystąpiła inna wojowniczką.

— Puść naszą panią. Damy dziecku lekarstwa.

Var odepchnął od siebie schwyтанą kobietę. Ta wróciła do swoich, rozmasowując sobie kark.

— Zaprowadźcie go do królowej — rozkazała.

Jedna z kobiet chciała zabrać Soli, lecz Var sprzeciwił się temu.

— Ona zostanie ze mną. Jeśli chcecie kogoś zabić, zabijcie najpierw mnie. Każdy, kto ją skrzywdzi, zginie z mojej ręki.

Już dawno złożył taką przysięgę naturalnej matce Soli, lecz nie to było powodem, dla którego wypowiedział teraz te słowa. Soli stała się dla niego zbyt ważna, by mógł ją utracić.

Ruszyli wąską ścieżką prowadzącą ku wodzie. Var stwierdził, że znajdują się na małej wyspie o powierzchni zaledwie wystarczającej do tego, aby tunel mógł wyjść na powierzchnię. Maszyna czyszcząca stała w poprzek drogi wylotowej z tunelu, sycząc i stygnąc. Pracowali przy niej mechanicy. Najwyraźniej w tym plemieniu mężczyźni pełnili rolę Odmieńców, a kobiety koczowniczych wojowników.

Za maszyną rozciągał się niewielki, równy teren, a potem droga wznosiła się wpadając na olbrzymi most z metalu i kamienia, który prowadził ponad rozległym obszarem wody i znikał za horyzontem.

Przy brzegu stała łódź. Var nieraz już widywał łodzie, lecz żadna z nich nie była wykonana ze stali i Var nie rozumiał, dlaczego nie tonie. Wiedział, że metal jest cięższy

od wody. Z tego powodu zawahał się wchodząc na pokład. Rozumiał jednak, że nie ma wyboru. Najwyraźniej królowa nie przebywała na tej wyspie.

Łódź zakołysała się, gdy na nią weszli, lecz utrzymała się na wodzie. Var spostrzegł teraz, że jej dolny pokład znajduje się poniżej powierzchni morza. Jedna z kobiet pociągnęła za linkę. Silnik zaczął huczeć i trząść się, po czym łódź odbiła od pomostu.

Było zdumiewające, że ludzie nie będący Odmieńcami ani mieszkańcami podziemi posiadali silniki i potrafili nad nimi panować.

Łódź płynęła przez ocean. Var, nie przyzwyczajony do kołysania, szybko poczuł nudności, nie chciał się jednak im poddać wiedząc, że każda oznaka słabości może narazić jego i Soli na dodatkowe niebezpieczeństwo.

Jak długo jeszcze dziewczynka będzie nieprzytomna? Czuł się bez niej dziwnie nie-swojo.

Łódź płynęła równolegle do gigantycznego mostu. Dźwigary, podobne do tych, które otaczały Górę Helikon, wznosiły się z morza i krzyżowały wielokrotnie, tworząc migającą przed oczyma sieć, która podtrzymywała przebiegającą w górze drogę. Var zastanawiał się, dlaczego wojowniczkę nie poszły tamtędy, zamiast płynąć po wodzie.

Wreszcie skręcili w stronę mostu. W prześwicie pomiędzy przęsłami zawieszona było coś, co przypominało monstrualne gniazdo szerszeni, całe z drewna, sznurów i połączonych ze sobą kawałków metalu i plastiku oraz innych substancji, których Var nie umiał rozpoznać.

Łódź zatrzymała się pod tą dziwaczną konstrukcją. Z otworu, znajdującego się nad powierzchnią wody na wysokości równiej wzrostowi trzech dorosłych mężczyzn, wypadła drabinka sznurowa. Kobiety wdrapały się po niej zręcznie i zniknęły wewnątrz.

Var przerzucił sobie Soli przez ramię i chwycił drabinkę. Wydawała się za słaba, by utrzymać podwójny ciężar. Var postanowił, że jeśli się urwie, będzie płynąć. Nie miał ochoty wchodzić do tego gniazda. Nie ufał tym zakutym w zbroje kobietom. Wspiął się w górę szczebel za szczeblem. Ostrożnie zaciskał swe niezgrabne palce na każdym z nich. Sznur jednak nie pękł.

Drabinka przechodziła przez okrągły otwór i była przymocowana do metalowej poprzeczki znajdującej się nieco wyżej. Var chwycił się jej, postawił stopy na pomoście i ułożył Soli na deskach. Znajdowali się w ciasnym pomieszczeniu, którego ściany zakrzywiały się ku górze.

Była tu następna drabina, po której trzeba było się wspiąć. Każde kolejne piętro było większe, a zakrzywione ściany coraz bardziej odległe.

Na koniec stanęli w wielkiej sali, do której przylegały małe pomieszczenia, podobnie jak w głównym namiocie Wodza.

Na wyplecionym z wikliny tronie siedziała królowa. Była to opasła, brzydka kobieta w średnim wieku, obwieszona klejnotami i ubrana w połyskującą tęczowo suknię, która spływała od wysokiego, sztywnego kołnierza otaczającego szeroką szyję, aż do jej wielkich bosych stóp. Z przodu sukni znajdowało się rozcięcie odsłaniające olbrzymie, obwisłe piersi, pokryty fałdami tłuszczu, przypominający kocioł brzuch i grube uda.

Var, choć nie do końca rozumiał pojęcie wstydu, odwrócił wzrok. Ten widok budził w nim wstręt.

Włócznie strażniczek skierowały się w jego stronę.

— Cudzoziemski brodaczu, patrz na królową!

Musiał więc patrzeć. Królowa przypominała boginię płodności starożytnych, której wizerunek w książce kiedyś pokazywał mu Wódz. Bezimienny powiedział wtedy Varowi, że w niektórych kulturach taka figura była uważana za szczyt piękna.

— Rozbierzcie go — rozkazała królowa.

Var ponownie musiał podjąć decyzję. Mógł walczyć, lecz nie mając Soli u swego boku nie miał szans na zwycięstwo. Mógł też pozwolić, by te kobiety go rozebrały. Własna nagość nie budziła w nim niechęci, wiedział jednak, że inni ją czują i że takie żądanie stanowiło obelgę. Niemniej. . .

Poddał się.

— Obiecałyście zaopiekować się moją przyjaciółką — powiedział.

Królowa wykonała władczy gest, wprawiając w falowanie przerośnięte części swej anatomii. Nieuzbrojona kobieta stojąca pod ścianą podeszła, zabrała od Vara Soli, położyła ją na wiklinowej otomanie i zaczęła badać. Var przyglądał się jej niespokojnie. W tym czasie uzbrojone kobiety zdjęły z niego ubranie.

— A więc ma swój członek — powiedziała królowa, oglądając go niczym zwierzę.

Teraz Var zrozumiał to słowo. Uświadomił sobie, że mężczyźni z tego plemienia najwyraźniej nie mieli swej męskości.

Kobieta zajmująca się Soli uniosła głowę:

— Stłuczenie — powiedziała. — Nie wygląda na poważne. Siniak na szyi, prawdopodobnie uciśnięty nerw. Może jej przejść w każdej chwili.

Sięgnęła po miskę z wodą i oblała twarz Soli.

Dziewczynka jęknęła. Był to pierwszy dźwięk, jaki wydała od chwili skoku na maszynę czyszczącą. Ulga Vara była tak wielka, że nagle poczuł się słabo. Jeśli mogła jęczeć, mogła też wrócić do zdrowia.

— Wygląda na silnego — odezwała się królowa — ale jest cętkowany. Czy potrzebujemy łaciatych dzieci?

Nikt nie odpowiedział. Najwyraźniej odpowiedź nie była istotna.

Po chwili królowa podjęła decyzję.

— Spróbujemy... — wskazała palcem na Vara. — Królowa zaszczyci twój członek. Przynieś go tutaj.

Popędzany włóczyniami Var ruszył w stronę królowej. Domyślał się, o co jej chodzi. Czuł wstręt, lecz ostrza dotykające jego pleców zniechęcały do otwartych protestów. Zauważył, że Soli usiadła i zapragnął pobiec do niej, ale było to niemożliwe.

Stanął przed opasłą królową. Z bliska była jeszcze bardziej odrażająca. Tłuszcz dygotał, gdy oddychała. Unosił się wokół niej odór skisłego potu.

Wyciągnęła rękę i złapała go za to, co nazywała jego członkiem.

— Tak, twoja królowa użyje go w tej chwili i już żadna kobieta po niej. . .

Rozłożyła nogi i przyciągnęła go ku sobie.

Var nie mógł już dłużej udawać, że nie rozumie, o co jej chodzi. Przystąpił do czynu. Odwrócił się błyskawicznie do strażniczek i złapał za drzewca dwóch najbliższych włóczni. Za moment kobiety legły pokotem na podłodze, a Var z toporkiem zabranym jednej z nich stanął przy królowej. Wojowniczkę cofnęły się. One również rozumiały, o co mu chodzi. Mógł rozplatać czaszkę ich pani, zanim one zdążą go dosięgnąć.

— Przeprowadźcie ją! — krzyknął, wskazując na dziewczynkę. Miał nadzieję, że nie przyjdzie im do głowy, że mogą zatrzymać Soli jako zakładniczkę. Wojowniczkę były jednak zbyt zaskoczone.

Nadeszła Soli. Była apatyczna, lecz szła o własnych siłach, wciąż miała swoje pałki. Wbiegły łuczniczki. Założono strzały na cięciwy. Var ujął toporek w obie ręce i uniósł go nad głowę królowej. Zdąży ją zabić, nawet gdyby przeszył go tuzin strzał!

W dole coś błysnęło. Var w ostatniej chwili uskoczył przed ozdobionym klejnotami sztyletem, którym królowa zaatakowała jego łądzwie.

— Myśle, że utniemy go już teraz — oznajmiła.

Var skrył się za nią ujrzawszy, że łuczniczki zwalniają cięciwy. Jedna strzała musnęła jego udo. Strażniczki pochyliły włócznie.

Rozwścieczony Var wyprostował się i rozplatał głowę królowej jednym ciosem toporka. Rozległ się wrzask przerażenia. Var nie musiał patrzeć na swą ofiarę. Gdy wyszarpnął z jej czaszki zbroczone krwią ostrze, wiedział, że jest martwa.

Złapał Soli za ramię i popędził do najbliższego pomieszczenia znajdującego się za tronem. Nikt za nimi nie podążył. Kobiety stały wstrząśnięte losem swej królowej.

Za drzwiami ujrzał kolejną drabinę.

— Wspinaj się! — krzyknął. Soli posłuchała go w milczeniu. Var stanął z toporkiem w ręku, gotów odeprzeć atak.

Po chwili nadciągnęły wyjące z wściekłości amazonki. Wtedy uderzył toporkiem w podłogę przed sobą. Sznur i łyko ustąpiły łatwo i podłoga zaczęła się zapadać. W jed-

nej ze szczelin ujrzał grubą linę podtrzymującą podłogę na tym poziomie. Przerąbał ją trzymając się drabinki i atakujące wojowniczkę runęły na niższy poziom.

Soli czekała na niego na następnym piętrze.

— Gdzie jesteśmy, Var? — zapytała żalosnym głosem.

— W Gnieździe! — wydyszał. — Zabiłem królową os.

Weszli do kolejnego wielkiego pomieszczenia, gdzie mężczyźni pracowali przy wyplataniu koszyków. Byli nadzy. Ich mięśnie były zwiotczone. Var zauważył natychmiast, że są kastratami. Nic dziwnego, że te kobiety były nim tak zafascynowane. Rzadko oglądały całego mężczyznę!

Lecz choć ci mężczyźni byli zupełnie nieszkodliwi, nie dotyczyło to amazonek, które wyroiliły się z krzykiem przez sąsiednie drzwi.

Var i Soli ponownie rzucili się do ucieczki. Następny pokój był jednak wnęką bez drzwi, przylegającą do łagodnie zakrzywionej ściany zewnętrznej. Znaleźli się w pułapce.

— Ogień! — krzyknęła Soli.

Var przeklął się za to, że nie pomyślał o tym wcześniej. Odruchowo sięgnął ręką do plecaka w poszukiwaniu zapalek i nafty. Suche Gniazdo szybko zajmie się ogniem.

Oczywiście nie miał plecaka. Został on, wraz z resztą jego ubrania, w komnacie królowej.

Soli jednak rozpałała już ogień za pomocą zapasów z własnego plecaka. Gdy tylko pierwsza wojowniczką wpadła do tego pokoju, dziewczynka podpaliła naftę rozlaną na drewnianej podłodze.

Amazonka przebiegła przez ogień krzycząc głośno. Var uderzył ją toporkiem. Padła na podłogę gubiąc tarczę. Płomienie ogarnęły jej ciało.

— Jesteśmy w pułapce, Var! — krzyknęła Soli. Przez chwilę był zbyt szczęśliwy, że wróciła do siebie i mówi do rzeczy, by zwracać uwagę na jej słowa.

— Spalimy się! — krzyknęła mu prosto do ucha.

To poskutkowało. Podbiegł do ściany i zaczął walić w nią toporkiem. Włókna były twarde, a ostrze kilkakrotnie uderzyło o metal, lecz w końcu udało mu się zrobić dostatecznie dużą dziurę.

— Szybko! — krzyknęła Soli. Var spojrział na nią, nie przestając rąbać. Ku swojemu zdumieniu spostrzegł, że ogień nie pochłania wszystkiego. Paliła się tylko sama nafta. Soli stała za płonąca kałużą z pałkami w rękach i odpierała ataki wojowniczek próbujących przedostać się przez drzwi. Na szczęście ciasnota uniemożliwiła łuczniczkom użycie swej broni. Wkrótce jednak nafta się wypaliła i tłum rozwścieczonych kobiet wtargnie do środka. Niektóre już teraz próbowały stłumić ogień tarczami.

— Przez dziurę! — krzyknął Var. Soli posłuchała go skwapliwie, podczas gdy on osłaniał jej odwrót.

Odrzącił rzuconą w siebie włócznię i wysunął się przez dziurę, gdy tylko stopy dziewczynki zniknęły mu z oczu. Daleko w dole ujrzał wodę. Zapomniał, gdzie się znajdują! Nie mogli zeskoczyć z tak zawrotnej wysokości!

Gdzie była Soli? Nie widział jej ani na ścianie, ani w wodzie. Jeśli spadła i się utopiła...

— Tu jestem!

Spojrzął w górę. Uczepiła się kratownicy ponad dziurą. Po raz kolejny ulga była tak silna, że niemal przyprawiła go o omdlenie.

Oczywiście mogli uciec po linach, na których zawieszona była cała konstrukcja!

W otworze pojawiła się głowa w hełmie. Soli, przytrzymując się belki nogami, uderzyła pałką, aż hełm zadzwonił. Głowa zniknęła.

Zaczęli się wspinać. Var trzymał toporek w zębach. Ta droga była łatwiejsza niż wejście na szczyt Góry Muz. Liny i rozpory dawały wygodne oparcie dla stóp i rąk, a w miarę jak wspinali się wyżej, powierzchnia stawała się coraz bardziej pozioma.

Na dachu otworzyła się jakaś kłapa, a pod nią pojawiła się głowa wojowniczkki. Var zamachnął się toporkiem i kłapa natychmiast zamknęła się z powrotem. Panowali nad dachem.

Lina, na której wisało Gniazdo, okazała się znacznie grubsza niż się to wydawało z daleka. Miała ponad stopę średnicy. Składała się z ciasno splecionych drutów i nylonowych oraz konopnych sznurków.

Var pomyślał o przerąbaniu liny i strąceniu całego Gniazda do morza, ale zrezygnował z tego zamiaru. Jego mały, wyszczerbiony toporek nie podołałby temu zadaniu.

Zaczęli wspinać się po linie jak po słupie. Soli wciąż dźwigała swój ciężki plecak. Nie mieli czasu, by się zamienić. Na szczęście droga była krótka. Var zastanawiał się,

czy dziewczynka zdoła wytrzymać to wszystko, po długim okresie nieprzytomności. A jeśli amazonki wyjdą na dach i zaczną strzelać do nich z łuków...

Wyszły, lecz za późno. Var i Soli siedzieli już na potężnej stalowej rozporze, z której zwisało Gniazdo, i mieli dobrą osłonę. Byli bezpieczni. Pozostało tylko wejść na powierzchnię przebiegającej po moście drogi i oddalić się.

Nagą skórę Vara zaatakował zimny wiatr. Musiał znaleźć sobie nowe ubranie, a także broń. Ten toporek, choć okazał się użyteczny, nie podobał mu się.

Poprowadził Soli po pochyłej belce prowadzącej do dźwigarów. Zostawili za sobą gniewne krzyki amazoнок. Grzechot ich strzał odbijających się od kratownic uciął w końcu. Var był ciekaw, dlaczego wojowniczkі nie podażyły za nimi. Z pewnością wiedziały, jak się dostać na most.

Nagle zapiekła go skóra. Z początku myślał, że to wiatr, lecz po chwili rozpoznał dotyk Rentgenów.

— Do tyłu! — zawołał, przytrzymując Soli. — Promieniowanie!

Wycofali się w czyste miejsce, gdzie krzyżujące się ze sobą belki tworzyły coś w rodzaju kosza. Teraz już wiedzieli, dlaczego amazonki ich nie ściagały. Z pewnością prze-

konały się na własnej skórze, że przez most nie można przejść, i dlatego zbudowały swą siedzibę właśnie w tym miejscu.

Var wiedział, co go czeka: most był siedliskiem Rentgenów, co czyniło z niego Zły Kraj. Zapewne teren pomiędzy Gniazdem a wyspą, na której tunel wychodził na powierzchnię, również był skażony.

Soli, do tej pory tak dzielna, nagle oparła głowę o ramię Vara i zaczęła płakać. Nie czyniła tego od wielu miesięcy.

Wiatr stawał się coraz zimniejszy. Zapadał zmierzch.

15

To była nieprzyjemna noc. Soli miała w plecaku żywność i trochę ubrania, więc Var mógł z grubsza doprowadzić się do porządku, lecz lodowaty wiatr i beznadziejność ich położenia sprawiły, że sen stał się cierpieniem.

Przytulili się do siebie, jak niegdyś na płaskowyżu na szczycie Góry Muz, i zaczęli rozmawiać.

— Czy boli cię głowa? — zapytał Var, starając się, by jego pytanie zabrzmiało jak najspokojniej.

— Tak. Chyba się w nią uderzyłam. W jaki sposób wydostaliśmy się z tunelu?

Var opowiedział jej wszystko.

— Zdaje się, że zaczęłam się budzić, kiedy postawiłeś mnie na nogi — powiedziała. — Słyszałam głosy i coś mną potrzęsnęło, ale to wszystko było jakby bardzo daleko. Mógł to być sen. Potem ocknęłam się i zobaczyłam wodę, ale nie wiedziałam, co się dzieje, więc się nie poruszyłam. Byłam już całkiem przytomna, kiedy mnie niosłeś do Gniazda, ale wiedziałam, że muszę być ostrożna. Trzymałam oczy zamknięte, więc nie widziałam, co się działo.

Var zrozumiał teraz, dlaczego Soli mogła walczyć niemal natychmiast po „ocuceniu”. Była na tyle sprytna, by udawać nieprzytomną, zanim nie dowiedziała się więcej. Var niepokoił się o nią wtedy, wiedział jednak, że w każdym innym przypadku mogłoby być gorzej. Amazonki obchodziły się z nim łagodnie, ponieważ wiedziały, że nie jest groźny, dopóki trzyma na rękach nieprzytomną dziewczynkę.

— Ci mężczyźni — zauważyła nagle Soli — wyglądali prawie jak mój ojciec, Sol, tylko że on nie jest słabeuszem.

Var wiedział o tym.

— To kastraci.

— Nie... mieli... jak ty. Ale... — zamilkła.

— Odkąd znaleźliśmy się na zewnątrz widywałam czasem zwierzęta — odezwała się znowu. — Myślę, że wiem, jak to się dzieje. Rozmnażają się przez wkładanie tego tutaj... .

Badawczo wsunęła dłoń pomiędzy swoje uda. Byli ułożeni akurat tak, że jej pośladki opierały się mocno o jego krocze. Var przypomniał sobie jak się parzą zwierzęta i zrozumiał, o co jej chodzi. Ona nie wiedziała jeszcze, czym jest połączenie mężczyzny i kobiety. — Ale ci mężczyźni z Gniazda... jak oni... ?

Var milczał. Trudno byłoby mu rozmawiać o tym z dojrzałą kobietą, a co dopiero z dziesięcioletnią dziewczynką.

— Co teraz zrobimy, Var? — zapytała po chwili.

— Jak będzie jasno, możemy zejść do wody i spróbować ją przepłynąć. Może w ten sposób ominiemy promieniowanie.

— Nie umiem pływać.

Wychowywała się w Górze. Tam nie było rzek ani jezior, a podczas lata, zimy i wiosny, które spędzili na wspólnej wędrówce, nigdy nie mieli czasu popływać. Var nie wiedział, co teraz począć.

— Nauczysz mnie, Var? — zapytała nieśmiało.

Po raz kolejny sama znalazła wyjście.

— Nauczę — zgodził się.

W końcu zasnęli. Wiatr ucichł i poczuli się lepiej.

Amazonki, najwyraźniej pewne, że uciekinierzy nie ujdą z życiem, nie wystawiły straży na szczycie Gniazda. Var i Soli zeszli do wody bez trudności, gdyż dźwigary łączyły się, tworząc gładkie kolumny, które zanurzały się w morzu. Var pokazał dziewczynce, jakie ruchy ma wykonywać i kazał jej trzymać głowę nad powierzchnią wody. Szybko opanowała tę sztukę. Płynąc chlupała na wszystkie strony i trzymała się bardzo blisko Vara.

— Jest tak głęboko! — żaliła się.

Popłynęli wzdłuż mostu w kierunku zachodnim.

Natrafili znów na promieniowanie i skęcili na otwarty ocean. Przestraszyło to Soli, lecz oboje wiedzieli, że nie ma innego wyjścia. Po godzinie Var musiał płynąć ciągnąc plecak i wyczerpaną Soli, która trzymała się go mocno. Nie wiedział, czy krople na twarzy dziewczynki to woda, czy łzy. Z pewnością była zmęczona i nieszczęśliwa.

Var zastanowił się, czy warto byłoby ukraść łódź, odrzucił jednak ten pomysł. Chcieli się ukryć, a nie rozgłaszać swą obecność. Najbezpieczniejsi będą na moście, gdy tylko ominą promieniowanie.

Posuwali się naprzód powoli. Kilkakrotnie podpływali i Var, zostawiając uczepioną do słupa Soli, wchodził na górę. Jednak zawsze natykał się na promieniowanie. Musieli płynąć dalej.

Gdy spróbował po raz piąty, Rentgenów nie było. Pomógł Soli wejść na górę. Pokazało się słońce. Wygrzewali się w jego ciepłe leżąc na drodze, na szczycie mostu, i jedli nasiąknięty wodą chleb z plecaka.

Potem ruszyli w kierunku Chin. Wraz z plecakiem Vara utracili połowę zapasów, jednak sądził on, że uda im się złapać trochę ryb, a jeśli natrafiają na inne wyspy, miał nadzieję znaleźć na nich owoce, jagody, lub przynajmniej szczury.

Pod wieczór dotarli do miejsca, gdzie droga schodziła na ląd. Była to duża wyspa, o średnicy wielu mil. Znajdowały się na niej drzewa, ptaki i domy.

Zachowali jednak ostrożność, gdyż mogli tu być również ludzie. Var nie rozumiał dotąd istoty społeczeństwa Odmieńców i koczowników. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Jednak z jakiegoś powodu jedni i drudzy byli lepsi od mieszkańców Gniazda. Tam skąd uciekli człowiek nie musiał się obawiać, że go wykastrują, ani walczyć poza Kręgiem.

Jednak nie spotkali tu ludzi. Wyspa była opustoszała. Znaleźli zardzewiałe puszki z żywnością, ale nie ruszyli ich. Gdzieś rosy jagody, którymi uzupełnili swoje zapasy. Jeden z domów wydawał się w miarę czysty, więc zatrzymali się w nim, przegoniwszy najpierw szczury. Soli stwierdziła przy tym, że wolałaby ich nie jeść.

Rankiem usłyszeli głos silnika. Przez okno, w którym wciąż była brudna szyba, ujrzeli, że do brzegu przybiła łódź pełna amazonek. Widocznie ta wyspa była częścią ich terytorium.

Kobiety wyszły z łodzi i zaczęły krążyć po okolicy. Najwyraźniej nie przybywały tu często. Na szczęście nie zbliżyły się do domu, w którym skryli się Var i Soli. W dalszej

kolejności pojawiło się kilku kastratów. Zagoniono ich na polanę, na której rosły jagody, i kazano napełniać nimi wiklinowe kosze. W tym czasie zakute w zbroje kobiety ćwiczyły walkę różnymi rodzajami broni.

Po trzech godzinach kosze napełniono i wszyscy wrócili do łodzi. Var i Soli odechnęli z ulgą.

Zbyt wcześnie. Po chwili na brzeg wyszło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, którzy skierowali się w stronę domów. Szli powoli; apatyczny mężczyzna przodem, za nim kobieta, która co chwila poganiała go dzidą.

— Tutaj — powiedziała, zatrzymując się przy jednym z domów. Otworzyła szarpnięciem drzwi. Drewno i tynk runęły na dół, zasypując kurzem kobietę, która zaczęła kasłać. Potem wypowiedziała słowo, którego Var nigdy dotąd nie słyszał z ust przyzwolonej żony koczownika.

Spróbowała się dostać do następnego domu, lecz drzwi nie chciały ustąpić, mimo iż była muskularną kobietą i pod jej zbroją kryło się krzepkie ciało.

W dalszej kolejności amazonka podeszła do domu, w którym przebywali Var i Soli.

Zanim otworzyła drzwi uciekinierzy zdążyli schować się w tylnym pokoju. Var złapał plecak, a Soli zebrała porozrzucany dobytek.

— Świetnie — powiedziała wojowniczką stając w progu. — Ten dom jest nawet całkiem czysty.

Var wstrzymał oddech i wyjrzał z mrocznego pokoju. Soli zrobiła to samo. W domu było drugie wyjście, sprawdzili to, zanim się tu zatrzymali, lecz tamte drzwi skrzypiały i gdyby skorzystali z nich teraz, zostaliby odkryci. Musieliby wtedy zabić nieproszonych gości i pościg zacząłby się od nowa, ale tym razem w okolicy nie było promieniowania, które służyłoby jako osłona. Ponadto Var usłyszał, że do sąsiednich domów wchodzi inne pary, więc uznał, że lepiej będzie przeczekać.

— Rozbieraj się — powiedziała kobieta tonem równie władczym, jak jej dawna królowa.

Mężczyzna usłyszał jej z rezygnacją. Po raz kolejny Var ujrzał brak członka. Jaki był cel tego okrutnego zabiegu?

Wojniczka również się rozebrała, pozostawiając na sobie tylko hełm i nagolenniki. Miała wielkie piersi i brzuch. Stała nago i uśmiechnęła się.

Wszystko było jasne; przybyli tu, aby się kochać! Pozostałe pary w sąsiednich domach będą robić to samo.

Var obserwował bieg wydarzeń z fascynacją i niesmakiem. Łono kobiety było ogolone, przez co przypominała ona olbrzymie dziecko. Przypomnił sobie, że królowa była również wygolona w podobny sposób. Mężczyzna także nie miał włosów w tej okolicy. To jednak były drobiazgi. Vara interesowało przede wszystkim, w jaki sposób może w ogóle dojść do zbliżenia pomiędzy tą parą.

Zerknął na Soli, zastanawiając się, o czym dziewczynka myśli. Jej twarz skryta była w cieniu.

— Będzie nam potrzebna nowa królowa — szepnęła amazonka, prowadząc mężczyznę ku wytartemu materacowi, na którym uprzednio spał Var. Urodziłam cztery zdrowe dziewczynki. Jeszcze jedna, a stanę się najpłodniejszą kobietą w Gnieździe i będę mogła zostać królową, jeśli zabiję pozostałe kandydatki. Ty, mój śliczny, dałeś mi dwie z tych dziewczynek. Jeśli dasz mi jeszcze jedną, hojnie cię wynagrodzę.

— Tak — odparł mężczyzna bez entuzjazmu.

— Oczywiście, jeśli rozczarujesz mnie chłopcem, spotka cię kara.

Mężczyzna skinął głową.

Var, ku swemu zdumieniu, poczuł przyptyw podniecenia. Mimo woli wyciągnął szyję, aby dokładniej widzieć, co się dzieje. To było zboczone i okropne, ale ekscytujące.

Amazonka położyła się i uniosła kolana. Mężczyzna przykucnął pomiędzy nimi. Ona wyciągnęła ręce i . . .

Framuga, o którą Var oparł się całym ciężarem, oderwała się nagle od ściany i wojownik z piekielnym rumorem wpadł do pokoju.

Dalsze wydarzenia potoczyły się szybko. Varowi i Soli pozostał jedynie atak, a amazonka i jej towarzysz padli zanim zdążyli zdać sobie sprawę, co się stało. Z sąsiednich budynków dobiegły gniewne i pytające krzyki. Var zabrał amazonce łuk i strzały, a Soli wzięła jej włócznię. Złapali też własne bagaże i uciekli tylnym wyjściem.

Mimo iż jego niezdrówą ciekawość naraziła ich oboje na poważne kłopoty, Var żałował, że nie dowiedział się, w jaki sposób parzą się amazonki. Teraz wątpił, czy kiedykolwiek pozna odpowiedź na to pytanie.

Uzbrojone kobiety biegły od strony łodzi. Inne, nagie ale z bronią, wypadły z domów. Pięć amazoнок przypadkowo skierowało się w stronę Vara i Soli, podczas gdy ich

mężczyźni kręcili się niepewnie przy brzegu. Trzy wojowniczkі otoczyły dom, który właśnie opuścili uciekinierzy, a dwie ruszyły, by odciąć im drogę na most. Var przystanął zastanawiając się co robić. Nie mogli ani uciec, ani tu zostać.

— Do łodzi! — usłyszał przeszywający szept Soli. — Tędy!

Var uznał to za czyste szaleństwo, lecz Soli pobiegła już prostopadle do trasy zbliżającej się piątki. Nie mogąc zaprotestować, gdyż natychmiast zdradziłoby to ich położenie, Var pobiegł za nią.

Soli skręciła w stronę łodzi. Amazonki, nie spodziewające się tego manewru, zebrały się w wiosce i zaczęły naradzać podniesionymi głosami oraz cucić nieprzytomną parę. Soli zatrzymała się, zanim mężczyźni mogli ją zauważyć.

— To słabeusze — wydyszała do Vara. — Ci mężczyźni nie walczą. Jeśli nadbiegniemy z wrzaskiem, uciekną.

Popędziła naprzód, wrzeszcząc i wymachując ramionami. Var znowu musiał podążyć za nią. Mężczyźni rzeczywiście rozpierzchli się na ich widok, choć było ich czterech i wszyscy dorośli.

— Teraz do łodzi! — zawołała Soli, przełaząc przez burtę.

Gdy Var usiadł przy niej, amazonki spostrzegłszy, co się dzieje, pognały z powrotem.

— Włącz silnik! — wrzasnęła Soli.

Spojrzał na nią pytająco.

— Pociągnij za linkę! — krzyknęła. Złapała uchwyt wystający z silnika i szarpnęła. Rozległ się zdławiony łoskot. Var przypomniał sobie, że widział jak amazonka uruchamiała silnik, gdy wieziono ich do Gniazda.

Złapał za rączkę i pociągnął znacznie mocniej niż Soli. Silnik zawarczał.

— Ja będę sterować! — zawołała dziewczynka, przekrzykując hałas. Złapała za koło umieszczone na środku pokładu i zaczęła obracać znajdującymi się na nim uchwytami. Ku zdumieniu Vara łódź zareagowała. Soli wiedziała, co robi!

Kierowana jej ręką motorówka odbiła od brzegu i skierowała się na głębszą wodę. Gdy nadbiegły wymachujące włóczniami amazonki, zdążyli się już oddalić na kilkanaście kroków od brzegu. Kobiety uklęknęły i podniosły łuki.

Soli szarpnęła za kolejny uchwyt i silnik zwielokrotnił swój huk. Łódź skoczyła do przodu.

Nadleciały strzały. Nie były wymierzone przypadkowo. Łuczniczki nie chciały uszkodzić silnika i mierzyły tylko w Soli. O mały włos trafiłyby w cel. Tylko fakt, że łódź nagle przyśpieszyła sprawił, że strzały chybiły.

Następne założono już na cięciwy. Var wiedział, że tym razem będą one celne, choć łódź oddaliła się już o pięćdziesiąt kroków i poruszała się szybko. Złapał jedną z okrągłych, skórzanych tarcz należących do amazonek i zasłonił nią plecy Soli, gdyż sterująca motorówką dziewczynka stała plecami do nadlatujących pocisków.

W tarczy ugrzęzły trzy strzały, które w przeciwnym razie z pewnością zabiłyby Soli. Dwie trafiły Vara. Jedna wbiła się w prawe ramię, przeszywając je na wylot, a druga trafiła go w brzuch.

Nie bacząc na rany, gdyż niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, Var przełożył tarczę do lewej ręki i uklęknął za Soli, osłaniając ją zarówno tarczą, jak i własnym ciałem.

Jeszcze dwie strzały ugrzęzły w tarczy. Trzecia wbiła się w nieosłonięte udo Vara, zaś czwarta przeleciała tuż obok jego głowy i uderzyła w drewno obok Soli.

— Var, czy nie mógłbyś... — powiedziała odwracając się.

Ujrzała, co się stało i krzyknęła rozdzierająco.

Var zemdlā.

16

Odzyskiwał i tracił przytomność wiele razy. Czuł tylko ból i obecność Soli, niekiedy jeszcze kołysanie fal. Czas nie istniał. Strzały zostały wyjęte z jego ciała, lecz nie przyniosło to ulgi. Płonał gorączką. Odczuwał suchość w gardle oraz ucisk we wnętrznościach.

Soli opiekowała się nim. Od czasu do czasu unosiła mu głowę i dawała pić. Var dostawał od tego bolesnych mdłości, lecz przynosiło to ulgę jego wargom, językowi i gardłu. Zanieczyszczał się wielokrotnie i Soli myła go. Wstydził się, gdy docierało to

do jego świadomości, ale nie mógł zrobić nic więcej. Wciąż krwawił ze wszystkich ran. Soli myślała o nim i bandażowała, lecz gdy tylko się poruszył, krew wypływała na nowo.

Myślał w gorączce o Wodzu, o jego chorobie wywołanej promieniowaniem siedem lat temu w Złym Kraju. Teraz Var wiedział już jak bardzo Wódz cierpiał i dlatego zaprzyjaźnił się z dzikim chłopcem, który się nim wtedy opiekował. Ta myśl przyniosła mu jednak kolejne cierpienie. Wciąż nie mógł zrozumieć powodów, dla których Nieuzbrojony zmienił zdanie i stał się jego śmiertelnym wrogiem.

Często myślał o Soli. Była jeszcze dzieckiem, lecz po mistrzowsku władała pałkami i towarzyszyła mu wiernie. Nigdy nie mówiła nic na temat barw jego skóry, garbu, niezgrabnych dłoni i stóp. Mogła wrócić do swego ojca, którego kochała, lecz nie uczyniła tego. Mogła nawet udać się do Wodza, który zaproponował jej, by została jego przybraną córką. Została jednak z Varem, gdyż uważała, że potrzebuje on pomocy.

Teraz rzeczywiście bardzo jej potrzebował.

Mijały dni i noce, a on trwał pogrążony w półśnie. Niekiedy czuł zapach benzyny, którą Soli przelewała z nagromadzonych kanistrów do silnika. Nocami było zimno. Soli

tuliła się do niego mocno i owijała ich oboje szorstkimi kocami, i ogrzewała go swym drobnym ciałem, gdy Var szczękał zębami.

Czasami, gdy czuł się trochę lepiej, Soli rozmawiała z nim o Górze Helikon i o koczownikach.

— Wiesz, myślałam, że wy, koczownicy, jesteście dzikusami — mówiła. — Potem spotkałam ciebie i uznałam, że jesteście po prostu ciemni. Myślałam, że byłoby dobrze zapoznać was z techniką.

— Tak. . . — spróbował odpowiedzieć, ale mu nie wyszło.

— Ale teraz, kiedy zobaczyłam, jak wygląda świat poza terytoriami Odmieńców, gdzie zwykli ludzie mają trochę techniki, nie jestem już taka pewna. Zastanawiam się, czy koczownicy nie zagubiliby zasad honoru, jeśli. . .

Tak! Tak! On również się nad tym zastanawiał, choć nie potrafił wyrazić tego tak zwięźle. Amazonki, ich silniki i ich barbarzyństwo. . .

Łódź wciąż płynęła wzdłuż mostu. Pewnego razu Var wyczuł promieniowanie. Krzyknął wtedy ze wszystkich sił i Soli skrzyła, by je ominąć.

W końcu łódź przybiła do brzegu. Var ujrzał nad sobą ludzi. Nie byli to koczownicy, ani amazonki. Soli zniknęła, potem wróciła zapłakana, pocałowała go i odeszła.

Pojawił się mężczyzna, który dźgnął go w ramię jakimś kolcem. Gdy Var obudził się ponownie, odczuwał w brzuchu ból innego rodzaju — ból zdrowienia. Wiedział, że wreszcie wraca do siebie. Soli jednak nie było.

Później przyszły kobiety, które nakarmiły go i umyły. Zasnął znowu. Tak mijaly dni.

— Myślę, że jesteś już zdrowy — stwierdził pewnego dnia nieznajomy mężczyzna. Był gruby i tak stary, że nie miał już włosów. Na pewno nie był to wojownik walczący w Kręgu.

Var był zdrowy, choć bardzo słaby. Ręka, noga i brzuch zagoiły się. Mógł już jeść nie wymiotując i wydalać bez krwawienia. Nie ufał jednak temu mężczyźnie i tęsknił za Soli, która nie odwiedziła go od tej chwili, gdy pocałowała go ze łzami.

— Ta dziewczynka. . . co cię z nią łączy? — zapytał mężczyzna.

— Jesteśmy przyjaciółmi.

— Mówisz niewyraźnie. Wygląda na to, że doznałeś kiedyś ciężkich poparzeń popromiennych. Masz też wady rozwojowe. Skąd pochodzisz?

— Z terytorium Odmieńców — odpowiedział.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Czy stroisz sobie ze mnie żarty?

— Niektórzy nazywają je Ameryką. Odmieńcy dzielą ją z koczownikami.

— Aha.

Mężczyzna przyniósł mu dziwne, eleganckie ubranie.

— Cóż, musisz się dowiedzieć, że to jest Nowa Kreta, na Aleutach. Jesteśmy cywilizowani, ale mamy własne zasady. Dziewczynka to rozumie, myśli jednak, że ty możesz nie zrozumieć.

— Soli... gdzie ona jest?

— Jest w świątyni. Ma być ofiarowana naszemu bogu. Możesz ją teraz odwiedzić, jeśli chcesz.

— Rozumiem.

Sposób bycia tego człowieka nie podobał się Varowi. Nie był to może cynizm władcy Helikomi, ale też nie życzliwość.

Założył ubranie. Czuł się niezręcznie w długich, luźnych spodniach i białej koszuli o długich rękawach, a zwłaszcza w sztywnych, skórzanych butach, które uciskały jego zniekształcone stopy. Mężczyzna jednak upierał się, aby Var założył to wszystko, zanim wyjdzie na zewnątrz.

Byli w mieście. Nie w martwym mieście ze Złego Kraju, lecz w żyjącej metropolii pełnej oświetlonych budynków i poruszających się pojazdów. Na czystych ulicach tłoczyli się ludzie. Var poczuł się mniej skrępowany, gdy ujrzał, że większość mężczyzn nosi takie same ubrania, jak on.

Świątynia była ogromnym budynkiem wspartym na kolumnach i otoczonym wysokim murem. Przy bramie frontowej stali strażnicy uzbrojeni w karabiny. Var poczuł niepokój.

Wewnątrz świątyni ujrzał odzianych w długie szaty kapłanów oraz ozdobne meble. Po drodze zatrzymywano ich kilka razy. Wreszcie przewodnik Vara zaprowadził go do izby, przez której środek przebiegał szereg pionowych żelaznych prętów, tworzących kratę dzielącą pomieszczenie na dwie połowy.

Soli weszła do drugiej części pokoju. Ujrzawszy Vara podbiegła do prętów i przecisnęła między nimi rękę, by uścisnąć mu dłoń.

— Jesteś zdrowy! — krzyknęła załamującym się głosem.

— Tak.

Wyglądała dobrze, lecz w jej zachowaniu było coś osobliwego.

— Dlaczego jesteś tutaj, za tymi kratami? — spytał.

— Jestem w świątyni — milczała przez chwilę, spoglądając na niego. — Zgodziłam się coś zrobić, więc muszę tu zostać. Nie będę już mogła widywać się z tobą, Var.

Patrząc na nią domyślił się, że w czasie, gdy leżał chory zdarzyło się coś strasznego i Soli nie spodziewa się już więcej go ujrzeć.

Nie chciała mu nawet powiedzieć dlaczego.

Czyżby zraziła się do niego, tak jak Wódz. . .

— Żegnaj, Var.

Nie chciał powiedzieć do niej tego słowa. Uścisnął jej dłoń i odwrócił się, by odejść. Wiedział zbyt mało. Podczas drogi powrotnej zastanawiał się nad tym.

— Będziesz musiał zgłosić się do urzędu zatrudnienia i złożyć podanie o pracę — odezwał się nagle mężczyzna. — Z początku nawet prosta praca fizyczna będzie dla ciebie trudna.

— A co, jeśli zechcę opuścić wyspę?

— Cóż, oczywiście możesz to zrobić, jeśli kupisz sobie łódź i zapasy na drogę. To jest wolna wyspa. Potrzebne są jednak do tego pieniądze.

— Pieniądze?

— Jeśli nie wiesz, co to jest, to znaczy, że ich nie masz.

Var zostawił ten temat. Uznał, że z czasem dowie się, co to są pieniądze i czy ich potrzebuje. Wrócili do szpitala i weszli do pokoju Vara.

— Wyjdziesz stąd już jutro — oznajmił mężczyzna.

Var rozejrzał się wokół. Nie dostrzegł nic z rzeczy, które należały do niego i Soli, oprócz zabrudzonej bransolety, którą miał na ręce. Podejrzewał, że wie dlaczego tutejsi ludzie mu jej nie zabrali; nie wiedzieli, że jest ze złota.

Łóżko przypominało te, które widywał w dzieciństwie w Złym Kraju. Na obydwu końcach sterczały z niego wysokie metalowe pręty przywodzące na myśl kraty. W Złym Kraju takie pręty można było wykręcić. . .

— I jeszcze jedno — dorzucił mężczyzna. — Nie zwracaj głowy kapłanom w świątyni. Nie pozwolą ci już zobaczyć się z twoją przyjaciółką.

Var ujął w rękę jeden z prętów i spróbował go przekręcić. Trzymał się mocno.

— Dlaczego nie?

— Dlatego, że jest teraz świątynią dziewicą, poświęconą naszemu bogu, Minosowi. Te dziewczynki są trzymane w odosobnieniu przez cały okres pobytu w świątyni.

Var złapał za następny pręt. Ten się obracał.

— Dlaczego?

— Takie są przepisy. Gdy zbliżają się do dojrzałości, istnieje duże niebezpieczeństwo, że mogłyby utracić wartość dla boga.

Var wyrwał pręt. Uniósł go w górę i ruszył na mężczyznę, starając się opanować wywołane słabością drżenie ręki.

— Co się z nią stanie?

Mężczyzna spojrział na Vara i jego nową pałkę, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia.

— Doprawdy nie ma potrzeby...

— Powiedz mi, albo zginiesz.

Var nie oszukiwał. Czuł się słabo, lecz ten człowiek z pewnością nie był zaprawiony w walce. Jeden czy dwa ciosy wystarczą.

— No dobrze. Ma być złożona w ofierze Minosowi.

Var zachwiał się. Poczł się nagle dwukrotnie słabszy. Jego najgorsze obawy potwierdziły się.

— Dlaczego...

— Byłeś umierający. Opieka medyczna kosztuje drogo. Dziewczynka zgodziła się wstąpić do świątyni jeśli sprawimy, że wrócisz do zdrowia. Zrobiła to dobrowolnie, gdyż jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. Ponieważ będzie piękna, a bóg to lubi, zgodziliśmy się na tę umowę. Dziś pokazaliśmy jej, że dotrzyaliśmy słowa. Ona go również dotrzyma.

— Czy ona... umrze?

— Tak.

Var upuścił pręt i usiadł na łóżku, zamroczony i przerażony.

— Jak. . .

— Zostanie przykuta łańcuchem do skały przy wejściu do labiryntu. Minos nadzieje i swoim zwyczajem ją pożre. Potem los uśmiechnie się do Nowej Krety na kolejny miesiąc, gdyż nasz bóg będzie zadowolony.

Var musiał się dowiedzieć jeszcze jednego.

— Kiedy. . .

— Och, nie wcześniej niż za kilka lat. Twoja przyjaciółka jest jeszcze dzieckiem — spojrzał na Vara z niezrozumiałym błyskiem w oczach. — W przeciwnym razie, jak sądzę, nie okazałaby się użyteczna. . .

Var nie zrozumiał tej uwagi. Nie obchodziło go to. Ulga była równie obojętną, jak groźba. Miał co najmniej dwa lata! Przez ten czas będzie mógł zrobić tysiąc rzeczy, aby ją uratować.

— Pamiętaj, koczowniku, że ona zawarła umowę. Choć jest młoda, wywarła na mnie wrażenie osoby uczciwej. Nie złamie przysięgi, którą uratowała ci życie, bez względu na to, co uczynisz.

Var zrozumiał z przerażeniem, że to prawda. Soli zawsze dotrzymywała słowa! Mężczyzna wstał.

— Wiem, że trudno ci zaakceptować nasz styl życia. Ja również miałabym trudności w przystosowaniu się do systemu panującego w Ameryce. Na pewno nie przeżyłbym walki w Kręgu.

Wyglądało na to, że ten mężczyzna musiał wiedzieć coś o życiu koczowników. Być może opowiedziała mu o nim Soli.

— Stwierdzisz jednak, że jesteśmy uczciwi, a nawet wielkoduszni — ciągnął dalej tamten — jeśli tylko dasz nam szansę. Jutro wypiszą cię ze szpitala, a ja cię skieruję do urzędu zatrudnienia. Tam sprawdzą twoje zdolności i zapewnią ci indywidualne przeszkolenie zgodnie z twoimi możliwościami. Od tej chwili wszystko będzie zależało od ciebie. Jeśli będziesz dobrze pracował, będziesz syty.

Mężczyzna wyszedł.

Var położył się na łóżku. Tutejsza cywilizacja pod pewnymi względami przypominała Imperium, mimo to nie miał zamiaru pozwolić Soli umrzeć.

Musiał jednak działać ostrożnie. Postanowił, że dopóki nie wymyśli naprawdę dobrego planu, będzie zachowywać pozory.

Został śmieciarzem. Jako analfabeta o niesprawnych rękach nie był zdolny do wykonywania innego zawodu. Na Nowej Krecie była skomplikowana technika i posługiwano się pismem, a wszystko to przekraczało jego umiejętności. Dzięki codziennemu przenoszeniu pojemników z odpadkami utrzymywał się w dobrej formie. Ludzie omijali go z powodu brudu i smrodu tak, jak tego pragnął. Miał pokój z bieżącą wodą i światłem elektrycznym, które zapalało się za pociągnięciem sznurka. Zarabiał dostatecznie dużo metalowych krążków, które nosiły tu nazwę „pieniędzy”, aby kupować ubranie i jedzenie.

Minął rok, zanim odkrył, jak wiele warta jest tutaj jego złota bransoleta — symbol męskości. Początkowo myślał, że mógłby za nią dostać tylko kilka srebrnych krążków, prawda jednak była taka, że gdyby ją sprzedał, pokryłaby ona całe koszty jego pobytu w szpitalu. Złoto, pospolite na terytorium Odmieńców, tu było wysoko cenione. Soli

powinna była to wiedzieć, a jednak sprzedała się do świątyni, zamiast wykorzystać tę sytuację.

Jej poświęcenie było niezrozumiałe. Mężczyzna miał bransoletę tylko po to, by dać ją kobiecie, którą sobie wybierze. Czemu Soli miałyby zależeć, by Var nie utracił swej bransolety? Nie miał przecież kobiety, której mógłby ją dać. . .

W dzień Var zachowywał się poprawnie i nie miał kłopotów. W nocy zaś zrzucił z siebie tutejsze ubranie, ubierał się w łachmany i wędrował bez butów po pustkowiach Nowej Krety. Wyspa była wielka. Miała przynajmniej dwadzieścia mil średnicy. Gdy nikt go nie widział, ćwiczył walkę pałkami. Zrobił je z wysuszonego, twardego drewna i nauczył się posługiwać nimi równie biegle jak metalowymi. Poznał dokładnie całą okolicę, a nawet zapuścił się w ciemny tunel prowadzący z wyspy na zachód. Nie czyściły go żadne mechaniczne zmiatarki i od dawna służył jako wysypisko śmieci, które zatkały go całkowicie.

Zbadał również otoczenie świątyni. Był to ogrodzony murem teren o średnicy półtora mil, niezbyt dokładnie strzeżony. Var bez kłopotu zakradał się do środka. Każdego dnia dziewczynki gimnastykowały się. Była wśród nich Soli. Var zauważył, że wyglą-

da dobrze. Co miesiąc, podczas pełni księżyca, jedną ze starszych dziewcząt zabierano do pobliskiego wąwozu i przykuwano do skały. Następnego wieczoru już jej nie było. Var nigdy nie widział samego boga Minosa, gdyż o dziwo nie atakował on przy świetle księżyca, lecz rankiem. Dziewczyny przykuwano przed świtem i czekały one aż zrobi się jasno. Var nie mógł siedzieć tak długo, gdyż przebywając na terenie świątyni za dnia ryzykował zbyt wiele, a na dodatek miał pracę, do której musiał się stawić.

W drugim roku potajemnie zbudował łódź. Nie była ona tak dobra jak ta, którą tu przyплыnęli. Kilka razy Var zadawał sobie pytanie co się stało z tamtą i dlaczego jej wartości nie uwzględniono w rachunku szpitalnym? Najpierw jednak musiał uratować Soli przed Minosem. Zastanawiał się, czy gdy kapłani przykują ją w wąwozie, a potem ktoś ją uratuje, to jej zobowiązanie zostanie wypełnione? Ona złoży siebie w ofierze, ale zostanie niezależnie od swej woli ocalona. Jeśli Var zdoła powstrzymać Minosa przed zjedzeniem jej, a potem zabierze ją stamtąd, to świątynia w ogóle nie zauważy, że coś się stało...

W końcu nadszedł oczekiwany poranek. Var obserwował uważnie. Znał comiesięczną datę ceremonii i wiedział kiedy przyjdzie kolej na Soli. Większość dziewcząt była teraz młodsza od niej, a świątynia nie przetrzymywała ich dłużej niż to konieczne.

Zakapturzeni kapłani zabrali Soli, która w ciągu tych dwóch lat zaledwie zdążyła osiągnąć dojrzałość i przykuli ją w wężu. Była naga. Jej czarne, lśniące włosy opadały na ramiona, małe piersi sterczały wyprostowane, a nieźle już ukształtowane uda drżały, gdy poruszała się niespokojnie.

Var poczuł gwałtowny dreszcz. Soli bardzo przypominała swą matkę, Solę. Gdy tylko jej biodra i piersi rozwiną się całkowicie. . .

Ale to się nigdy nie stanie, jeśli on jej nie uratuje!

Czekał między drzewami, aż kapłani odejdą. Potem nie ruszył się jeszcze przez pół godziny, aby się upewnić, że nie wrócą i że w okolicy nie ma żadnych strażników. Ta część wężu nie była widoczna ze świątyni. Prawdopodobnie urządzono to celowo, z litości dla pozostałych dziewczynek. Var wiedział już, w jaki sposób większość z nich trafiała do świątyni. Zgłaszały się dobrowolnie, by ocalić swe rodziny przed głodem. Na wyspie było wielu biednych ludzi. Płaca, która wystarczała Varowi, była zbyt niska, aby

utrzymać rodzinę, co powodowało nieustanną, powszechną nędzę. System Odmieńców i koczowników był lepszy. W Ameryce nikt nie głodował.

Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, Var dał sobie spokój z filozoficznymi rozważaniami, wyszedł z ukrycia i ruszył w głąb wąwozu. Soli usłyszała go i podniosła wzrok z chwytającym za serce okrzykiem przerażenia, sądząc, że już nadchodzi bóg. Potem westchnęła z ulgą.

— Var!

Zbliżył się i położył dłoń na jej kajdanach.

— Nigdy o tobie nie zapomniałem — powiedział. — Czy myślałaś, że pozwolę cię pożreć?

Kajdany były mocne, a on nie miał żadnego narzędzia, którym mógłby je otworzyć.

— Dziękuję. . . — zaczęła i łzy napłynęły jej do oczu. — Dziękuję ci, Var, ale nie mogę odejść z tobą. Złożyłam przysięgę.

— Wypełniłaś ją już!

— Jeszcze nie. Spełnię ją dopiero po. . . ofierze — odparła.

Var szarpnął za drugą obejmę. Wydawała się przymocowana nieco luźniej.

— Nie mogę ci na to pozwolić — powiedziała przez łyzy.

Var nie zwrócił na nią uwagi. Nadal walczył z metalem.

Nagle coś odrzuciło go to Tylu.

Soli kopnęła go mocno w pierś. Teraz zrozumiał, że mówiła poważnie. Zamierzała stawić mu opór, aby dotrzymać przysięgi.

Oznaczało to, że nie zdoła jej uwolnić, jeśli wcześniej jej nie ogłuszy. Czy jednak będą mogli dalej być przyjaciółmi, jeśli w ten sposób pogwałci jej wolę?

Zresztą i tak nie mógł zdobyć się na to, by ją uderzyć. Każdego innego, tylko nie Soli. . .

Podniósł się i spojrzał jej w twarz.

— W takim razie pójdę zabić Minosa — oświadczył.

— Nie! — krzyknęła przerażona. — Nikt nie zdoła go pokonać!

— Złożyłem przysięgę, że zabiję człowieka, który skrzywdzi dziecko Soli — odrzekł Var. — To było na długo przed twoją przysięgą. Czy chcesz, żebym zczekał, aż ten stwór nadejdzie?

— Ale Minos jest bogiem, nie człowiekiem! Nie zdołasz go zabić!

— Pożera dziewczęta, a nie jest zwierzęciem? — zdumiała go własna ironia. — Czymkolwiek jest, muszę się z nim zmierzyć, chyba, że pójdziesz teraz ze mną.

— Nie mogę.

Var zrozumiał, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Pomaszerował w głąb wąwozu, nie zważając na jej wołanie.

Po kilkudziesięciu krokach dotarł do niewielkiego placu, z którego odchodziło pięć korytarzy. Uniósłszy w górę pałki zapuścił się ostrożnie w jeden z nich.

Prowadził on do jaskini wypełnionej kośćmi. Var nie przyglądał się im dokładnie. Wiedział skąd pochodzą. Jeśli jego misja się nie powiedzie, kości Soli zostaną dodane do leżących tutaj. Ruszył dalej.

W następnej komorze leżało kilka wyschniętych czaszek. Trzecia była pusta. Nie było tu świeżych śladów obecności Minosa.

Varowi dopiero teraz przyszło do głowy, że bóg-potwór może wyjść na zewnątrz innym korytarzem i zaatakować Soli, podczas gdy on będzie przeszukiwał puste jaskinie. Pospiesznie wycofał się w kierunku wejścia. Minął po drodze komorę z czaszkami, ale następna była pusta.

Zrozumiał, że zabłądził. Minał właściwy korytarz i nie wiedział teraz, gdzie się znajduje. Jego zmysł orientacji, który zwykle był dobrym przewodnikiem, teraz zawiódł go całkowicie.

Mógł odnaleźć wyjście wążąc własny trop, lub układać kości oznaczając trasę, którą przeszedł. To wszystko jednak wymagało czasu, a Soli już w tej chwili mogło grozić niebezpieczeństwo. Zareagował więc bardziej bezpośrednio.

— Minosie! — wrzasnął. — Chodź ze mną walczyć!

— Czy muszę? — zabrzmiał łagodny głos za jego plecami.

Var odwrócił się błyskawicznie. W jednym z przejść stał człowiek.

Nie, nie człowiek. Ciało przypominało olbrzymiego wojownika, lecz głowa była wełnista i sterczały z niej rogi. Podobnego efektu nie mogłaby wywołać zwyczajna broda i włosy. Przednia część twarzy była wysunięta do przodu i tworzyła duży pysk. Rogi wyrastały tuż nad uszami. Wyglądało to tak, jakby na ciało człowieka przeszczepiono głowę byka. Zamiast stóp miał kopyta, nie zniekształcone palce, jak Var, lecz normalne, okrągłe, krowie kopyta. Zęby jednak nie przypominały zębów roślinożercy, były ostre, jak u psa.

To był Minos.

Var widywał już różne dziwolągi i spodziewał się czegoś w tym rodzaju. Wykonał ruch jedną z pałek. Narastało w nim gniewne podniecenie.

— Co sprowadza cię tu za dnia, Varze Pałki? — zapytał spokojnie bóg. — Dotąd zawsze przychodziłeś w nocy i nigdy do mojego siedliska.

— Przyszedłem walczyć — powtórzył Var. Nikt mu nie powiedział, że bóg umie mówić, ani też, że wie tak dużo. W jaki sposób Minos poznał jego imię?

— Oczywiście. Ale dlaczego w tej chwili? Mam przed sobą dzień pełen zajęć. Wczoraj miałem pod dostatkiem czasu, by dostarczyć ci rozrywki.

— Na zewnątrz jest Soli. Moja przyjaciółka. Poprzysiągłem, że zabiję każdego, kto ją skrzywdzi. Nie mam jednak zamiaru czekać, aż to się stanie.

Minos skinął głową, potrząsając wełnistymi lokami.

— Masz w sobie wierność i odwagę, ale czy naprawdę wierzysz, że zdołasz mnie zabić?

— Nie. Muszę jednak spróbować i zrobić wszystko, aby mi się to udało.

— Chodź. Możemy załatwić tę sprawę bez nieprzyjemności.

Minos odwrócił się do niego szerokimi plecami i ruszył wzdłuż korytarza. Jego rogowe kopyta uderzały z klekotem o kamienie.

Var nieufnie podążył za nim.

Weszli do większej komory, na środku której leżał głaz.

— Podnoszę go dla wprawy — oznajmił Minos. — O, tak.

Schylił się, by chwycić za kamień. Najwyraźniej nie przejmował się tym, że za jego plecami stoi uzbrojony wróg. Wzdłuż jego ramion, boków i pleców napięły się potężne mięśnie. Var nie widział podobnej siły od czasu, gdy ćwiczył z Wodzem.

Kamień uniósł się w górę. Minos dźwignął go na wysokość piersi, potrzymał przez chwilę, po czym opuścił na ziemię.

— Trzeba uważać, kiedy puszcza się takiego kolosa — wysapał. — Większość przepuklin powstaje po uwolnieniu się od ciężaru, nie podczas dźwigania.

Wyprostował się.

— Teraz twoja kolej. Jeśli zdołasz go unieść, będzie to znaczyło, że możesz się ze mną mierzyć.

Var zawiesił pałki u pasa i zbliżył się do głazu. Bóg zaufał mu, był więc zobowiązany odwdzięczyć się tym samym.

Pociągnął z całych sił, lecz bez skutku. Nie zdołał go poruszyć. Głaz nie chciał się nawet przesunąć.

Wreszcie się poddał.

— Masz rację. Nie jestem tak silny, jak ty. Możliwe jednak, że pokonałbym cię w walce.

— Zapewne... — przytaknął uprzejmie Minos. — Jeśli nalegasz, będziemy ze sobą walczyć. Najpierw jednak porozmawiajmy. Rzadko mam okazję pogadać z uczciwym człowiekiem.

Var nie miał nic przeciwko temu. Jak długo bóg był z nim, Soli nic nie groziło. Zastanowił się, co by się stało, gdyby zaatakował Minosa w chwili gdy ten podnosił kamień.

Weszli do następnej komory i usiedli na krzesłach wykonanych ze związanych ze sobą kości.

— Zjedz coś — zaproponował Minos. — Mam orzechy, jagody, chleb i oczywiście mięso. . . Domyślasz się, skąd ono pochodzi?

Var wiedział, lecz nie było to dla niego tak szokujące, jak dla innych. W czasach swego dzikiego dzieciństwa jadał bardzo różne rzeczy.

— Zjem to samo, co ty.

Minos sięgnął do szczeliny w skale i wy dobył pokryte mięsem żebro.

— Upiekłem je wczoraj, więc na pewno jest świeże — oznajmił wręczając je Varowi, po czym wziął drugie dla siebie.

Var zaczął obgryzać kość. Ludzkie mięso wydało mu się znacznie smaczniejsze od szczurzego. Zastanowił się, którą z dziewcząt jadł? . . . Zapewne tę ostatnią, co płakała bez końca, gdy ją przykuwano. Nie była ona zbyt ładna, oraz jak tego dowodził ten kasek, trochę za tłusta. Var popił letnią wodą, którą podał mu Minos.

— Skąd pochodzisz? — zapytał bóg.

Var opowiedział mu o plemionach walczących w Kręgu.

— Słyszałem — odrzekł Minos — lecz muszę przyznać, że uważałem to za mit, zmyślenie. Bez obrazy. Widzę, że jest to naprawdę cudowny kraj. Dlaczego oboje go opuściliście?

Var opowiedział również o tym. Rozmowa z tym olbrzymim wrogiem przychodziła mu nadzwyczaj łatwo i to nie tylko z powodu czasu, który zyskiwał dla Soli.

— Mówisz, że jej ojciec jest kastratem? Kiedy do tego doszło?

— Nie wiem. Nikt o tym nie mówił. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby się to stać w czasie, gdy był Wodzem Imperium, a Soli mówi, że to nie było w podziemiu.

— A więc musiało się to wydarzyć dużo wcześniej. Może w dzieciństwie. Słyszałem, że niektóre plemiona robią podobne rzeczy, ale w tym przypadku. . .

Var wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Czy jest możliwe, pamiętaj, iż pytam z niewiedzy, że to Bezimienny jest jej ojcem?

Var siedział na krześle, przeżuając powoli dziewczęce mięso. Różne myśli zaczęły mu się układać w głowie, jak pszczoły zlatujące się do ula. Wódz myślał, że on zabił jego naturalną córkę!

— Co za ironia losu — Minos pokiwał łbem. — Jeśli on naprawdę tak sądzi, to rozwiązanie jest proste. Musiałbyś mu ją po prostu pokazać przy następnym spotkaniu.

— Z tym że...

— Niestety, to prawda.

— Czy musisz ją pożreć?

Trudno było uwierzyć, by tak uprzejma i mądra istota mogła się przy tym upierać. Minos westchnął ciężko.

— Jestem bogiem, a bogowie z zasady nie przestrzegają ludzkich reguł. Wolałbym jednak, żeby było inaczej.

— Ale z pewnością masz dosyć mięsa na następny miesiąc?

— Nie mam. Mięso się psuje, a ja nie jestem trupojadem. Chyba powinienem zażądać, żeby zainstalowali mi tu lodówkę. Ale nie w tym rzecz. Mięso nie jest najważniejszym powodem, dla którego przyjmuję ofiary.

Var żuł dalej, nic nie rozumiejąc.

— Ono jest tylko produktem ubocznym — ciągnął Minos. — Zjadam je, ponieważ jest pod ręką, a nie lubię marnotrawstwa. Staram się radzić sobie jak najlepiej w sytuacji, w jakiej postawili mnie kapłani.

— Oni każą ci to robić?

— Wszystkie świątynie i wszystkie religie każą swym bogom popełniać podobne czyny. Zawsze tak było, nawet przed Wybuchem. Kapłani Nowej Krety udają, że służą Minosowi, lecz to Minos służy im. Po części jest to metoda kontrolowania przyrostu naturalnego, gdyż liczba urodzeń zależy od procentu dojrzałych dziewcząt w populacji. Mam nadzieję, że rozumiesz te wszystkie słowa. Głównie jest to jednak sposób na zachowanie władzy, którą w przeciwnym razie szybko by stracili. Prości ludzie żyją w strachu przede mną. Ja czaję się przy łóżku każdego nieposłusznego dziecka. Sprowadzani zły los na wszystkich, którzy nie płacą podatków. To ja zapładniam niewierne żony. Jestem jednak tylko jeden i jestem śmiertelny. Świątynia stworzyła mnie drogą mutacji i operacji. . .

— Tak samo jak Wodza! — zawołał Var.

— Na to wygląda. Chciałbym się kiedyś spotkać z tym człowiekiem. W trakcie tej przeróbki na boga wyposażyli mnie w to... — Minos rozchylił szatę, a Var otworzył usta z wrażenia. — Przeciwieństwo kastracji, jak widzisz. Moje żądze w podobnej proporcji różnią się od żądz normalnego mężczyzny, nachodzą mnie jednak tylko podczas pełni.

— Więc Soli... i inne...

— Zauważ, że cały czas pozostaję wewnątrz mego siedliska. Gdybym zbliżył się do wejścia i poczuł jej zapach, natychmiast straciłbym panowanie nad sobą. W ten sposób mnie skonstruowano. Tkwi to w mojej krwi, mózgu i gruczołach. Moja namiętność jest tak gwałtowna, że kobieta tego nie przeżywa.

Var wyobraził sobie członek, który przed chwilą widział, i władającą nim siłę. Zadrżał, uświadamiając sobie, że to czeka Soli. Zostałaby po prostu rozerwana, jak po wbiciu na pal.

— Dlaczego więc nie przyprowadzają... starych kobiet?

— Które i tak by wkrótce umarły? Choćby dlatego, że nie są dziewicami. Minos musi mieć dziewice. To część planu. Moje gruczoły nie reagują w innej sytuacji.

To wydało się Varowi osobliwe, nie bardziej jednak niż inne rzeczy, które widział podczas swej wędrówki.

— Co się dzieje, jeśli zajdzie pomyłka. . . jeśli ofiara nie jest dziewczicą?

Minos uśmiechnął się upiornie, odsłaniając szpiczaste zęby.

— Cóż, w takim wypadku udaję się pod świątynię i, delikatnie mówiąc, podnoszę rwetes. Mówią potem, że miesiąc jest pechowy.

Var zaatakował resztę swego posiłku. Przypomniało mu się coś jeszcze.

— Czy słyszałeś o amazonkach? Kobietach-pszczołach?

— Tak. To fascynująca kultura. Je właśnie miałem na myśli, gdy mówiłem o rytualnym okaleczeniu.

— Ale ich mężczyźni. . . jak oni je. . . ?

— Żaden problem. Kobiety to robią. Prosta manipulacja gruczołem krokowym i pęcherzykami nasiennymi, by sprowokować wytrysk we właściwym momencie. Ten sposób nie jest zbyt przyjemny dla mężczyzny, zwłaszcza jeśli ma on hemoroidy, lub kobieta złamany paznokieć, jest jednak wystarczająco skuteczny.

Var skinał głową. Nie chciał przyznać, że nic mu to nie wyjaśniło. Nigdy nie słyszał o gruczole krokowym, a dzieci z pewnością nie poczynało się za pomocą paznokci, całych czy złamanych.

Posiłek dobiegł końca.

— Muszę z tobą walczyć — oznajmił Var.

— Z pewnością wiesz, że cię zabiję. Sądziłem, że znajdziesz, że tak powiem, bardziej romantyczne rozwiązanie. Nie chciałbym mieć krwi was obojga na swych rogach. Wędrowaliście tak długo i tak bardzo cierpieliście przez głupi przypadek, którego tak łatwo można było uniknąć.

Var spojrzął na niego. Nadal nie rozumiał.

— Ona nie odejdzie ze mną, dopóki nie spełni się ofiara — zaczął.

Minos wstał.

— Są rzeczy, których bóg nie mówi człowiekowi. Idź już, albo niechybnie będziemy walczyć, gdyż żądza we mnie narasta.

Var wyciągnął pałki.

Minos wytrącił mu je z ręki jednym błyskawicznym ruchem.

— Jazda! Nie będę dyskutować z durniem!

Var, widząc, że sprawa jest beznadziejna, podniósł pałki i oddalił się. Tym razem łatwo znalazł właściwy korytarz.

17

Soli wciąż stała przy skale. Var podbiegł do niej.

— Musisz iść ze mną. Nadchodzi Minos!

Nie sprawiała wrażenia zdziwionej tym, że widzi go żywego.

— Wiem. Już prawie południe.

Twarz dziewczynki była blada, a jej wargi spękane.

— On nie chce cię zabić! Ale, jeśli cię tu znajdzie, będzie musiał to zrobić.

— Tak.

Znowu się rozpląkała, jednak z wyrazu jej twarzy poznał, że nie zmieniła zdania.

— Nie zdołam go powstrzymać. Będę próbował, ale on zabije nas oboje.

— Więc odejdz! — krzyknęła gwałtownie. — Zrobiłam to, żeby uratować twoje życie. Dlaczego chcesz to zmarnować?

— Dlaczego? — odpowiedział krzykiem. — Wolę zginąć niż pozwolić ci umrzeć!
Nie dałaś mi nic!

Przeszyła go wzrokiem. Nagle stała się spokojna.

— Sosa mówiła mi, że wszyscy mężczyźni to durnie.

Var nie widział związku. Zanim jednak zdążył się odezwać, z labiryntu dobiegł przeciągły ryk.

— Minos! — szepnęła przerażona. — Och, Var, proszę cię, proszę, proszę, uciekaj!
Dla mnie jest już z późno.

W wylocie jaskini pojawiła się sylwetka olbrzyma. Z nozdrzy boga buchała para.

Var rzucił się na Soli, by osłonić ją przed atakiem Minosa. Wiedział, że to nic nie da, nie zamierzał jednak jej opuścić. Przytulił Soli do siebie, choć opierała się kopiać i rwąc jego ubranie zębami. W końcu przycisnął jej ciało do skały tak mocno, że jej rozstawione nogi kopały bezradnie powietrze za jego plecami. Zawisała na kajdanach.

— Nie opuszczę cię — wydyszał w jej skłębione włosy. Wtedy jej opór załamał się.

— Och, Var, przepraszam cię! — załkała. — Kocham cię, ty idioto.

Nie było czasu na zdumienie. Pocałował ją. Słyszał już tupot kopyt Minosa i świst jego oddechu.

Objęli się rozpaczliwie, doświadczając tego, co narastało przez trzy lata, skupiając wszystko w tym ostatnim momencie. Dzielili ze sobą swą miłość gwałtownie i boleśnie.

Minos nadszedł, zatrzymał się, postął przy nich przez chwilę, po czym wydał z siebie odgłos pół wściekłości, pół śmiechu i ruszył w stronę świątyni.

Dopiero wtedy Var zrozumiał, co się stało i co bóg starał się mu oględnie podsunąć. Rzeczywiście okazał się durniem. Prawie.

* * *

Przy wtórze wrzasków dobiegających ze świątyni Var szarpał, podważał i walił kamieniami w kajdany. Metal i skała były jednak zbyt mocne.

Znalazł zardzewiały gwóźdź leżący na ziemi tuż przy wejściu do wąwozu, wetknął go pod jedną z obrączek i znów uderzył kamieniem. Wreszcie zatrzask puścił. Niestety,

gwóźdź złamał się przy tym i Var nie mógł go wykorzystać do uwolnienia drugiej ręki Soli.

Harmider w świątyni ucichł. Po chwili wrócił Minos dźwigając pod pachami dwa ciała. Var i Soli czekali na niego z obawą.

Bóg przystanął.

— To jest najwyższa kapłanka — oznajmił z satysfakcją potrząsając trupem rozdartym prawie na dwie połowy. — Jeśli ktokolwiek naprawdę zasługiwał na moje pieszczoty, to właśnie ona. Sprawiedliwość to miła rzecz.

Spojrzał na Soli, która spuściła wzrok.

— Potrzymaj to — powiedział, wręczając Varowi martwą dziewczynkę. Ten przyjął trupa bez słowa. Ofiara była niewiele młodsza od Soli. Nie ostygła jeszcze. Kapała z niej krew. W ułożeniu jej ciała było coś nienaturalnego. Wyglądała, jakby zmiażdżono jej wnętrzności, pozostawiając tylko zewnętrzną powłokę. Var wiedział, jak niewiele brakowało, by były to zwłoki Soli.

Minos wyciągnął wolną rękę i złapał za oporne ogniwo. Mięśnie jego potężnego ramienia napięły się i metal wyskoczył z kamiennej ściany, a okruchy skały rozprysnęły się na wszystkie strony. Soli była wolna.

Bóg wydobył spod swej szaty mały pakunek i wręczył Soli, wciskając go w jej oporną dłoń.

— To podarunek — powiedział. — Nie było w tym nigdy nic osobistego, ale cieszę się, że stałaś się niezdatna.

Soli nie odpowiedziała, zatrzymała jednak prezent. Minos zabrał z powrotem zwłoki z rąk Vara i pomaszerował w głąb labiryntu, nucąc wesołą melodię. Miał powody, aby się cieszyć. W tym miesiącu nie zabraknie mu jedzenia.

— Chodźmy stąd lepiej, zanim w świątyni się opamiętają — powiedział Var. — Szybko.

Wziął Soli za rękę i poprowadził za sobą.

Gdy tylko znaleźli się w lesie, zdjął z siebie postrzępioną koszulę i podał ją Soli. Ona szybko założyła ją na siebie, a potem otworzyła paczuszkę, którą dał jej Minos.

Znajdowały się w niej dwa klucze oraz papier pokryty pismem. Soli przebiegła po nim wzrokiem.

— Po co nam klucze? — zapytał Var. — Nie mamy domu.

— To klucze od motorówki — odparła składając list.

W łodzi znaleźli mapy morza oraz olbrzymie kanistry z benzyną, świeżą wodę i jedzenie w puszkach. Nie mogli odgadnąć, w jaki sposób Minos to zrobił. Było oczywiste, że łódź była gotowa do użytku na długo przedtem, zanim oboje pojawili się w jego labiryncie. Być może Minos sam planował ucieczkę, albo może nie był niewolnikiem świątyni w takim stopniu, jak twierdził.

Z map dowiedzieli się, że znajdują się znacznie dalej na południe niż się im zdawało. Tunel prowadzący do Chin zaczynał się gdzie indziej. Niemniej na tej mocnej łodzi powinno się im udać pokonać ocean i dotrzeć aż do półwyspu Kamczatka. Stamtąd mogli albo udać się lądem na północ, zachód, a potem na południe, omijając Morze Ochockie, lub płynąć dalej między wyspami, prosto na południowy zachód w stronę Japonii.

Varowi zakręciło się w głowie od nieznanych nazw, które odczytywała Soli. Ta przedziwna mapa przypominała książki Wodza. Pochodziła sprzed Wybuchu i w związku z tym zawierała wiele dziwactw. Niektóre z tych wysp mogły już nie istnieć.

Z jakichś przyczyn żadne z nich nie zaproponowało, by zawrócić do Ameryki. Chiny nadal były ich celem, choć nie musieli tam płynąć. Mogli wrócić do domu. Soli połączyłaby się ze swymi oboma ojcami, zaś Var znowu zostałby wojownikiem. Ich związek byłby skończony. Dlatego, choć nie miało to sensu, wciąż posuwali się na zachód.

Gdy zrywał się sztorm, zawijali do brzegów bezludnych wysepek.

Nie mówili ze sobą o tym, co zrobili, by uratować się przed Minosem. Z biegiem czasu zaczęło się im wydawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Dwa lata spędzone na Nowej Krecie powoli stawały się mglistym, nierealnym wspomnieniem. Soli ponownie stała się dzieckiem, a Var brzydkim wojownikiem.

Była jednak pewna różnica. Bez względu na to, jak starali się to ukryć, Soli była już dojrzała, a Var był mężczyzną. Nie mogli już obejmować się tak jak niegdyś, gdyż oznaczało to rozbudzenie namiętności, do których żadne z nich nie chciało się przyznać. Nie umieli już rozmawiać ze sobą tak otwarcie, jak przedtem.

Nie byli gotowi do miłości. Potrzeba chwili zmusiła ich do jej okazania, lecz ten moment minął niczym burzliwy przypływ, pozostawiając ich oboje w samotności. Byli dwojgiem ludzi zjednoczonych wspólnym celem i niewypowiedzianym uczuciem.

W ten sposób odczuwał to Var, choć nie potrafił wyrazić tego słowami. Niejedyn raz widział, jak Soli przygląda się jego bransolecie. Być może przypominała sobie, jak ocaliła ją dla niego, omal nie przyplacając tego życiem. Nie powiedział jej, że było to głupie, gdyż z pewnością uraziłby jej uczucia. Niemniej była to prawda. Gdyby sprzedała bransoletę, nie musieliby męczyć się na Nowej Krecie przez dwa lata.

To przypomniało mu o innej sprawie, którą poruszył Minos. Czy wódz mógł być naturalnym ojcem Soli? Teraz wydawało mu się to mniej wiarygodne, niż wtedy w jaskini. Nie mógł się zdobyć na to, by wspomnieć o tym otwarciu. Jak zareagowałaby Soli, gdyby zaprzeczył ojcostwu Sola?

Kochała go bardzo, a Wodza niemal nie znała. A jeśli była to prawda, to co zrobi Wódz, gdy dowie się, że Var go okłamał, mówiąc mu, że jego córka została zabita? A co zrobi, kiedy usłyszy, co zaszło pomiędzy nimi na Nowej Krecie. . .

Szerokie przestrzenie morza ciągnęły się bez końca. Rzadko rozsiane wyspy były kamieniste i nieurodzajne. Ich położenie nie zgadzało się z mapą. Sterowali na zmianę, posługując się urządzeniem, które zawsze wskazywało północ. Pomagały im również słońce i gwiazdy, a gdy napotykali miejsce, które mogli rozpoznać na mapie, poprawiali poprzedni kurs.

W kilka dni po tym, gdy pomyśleli już, że ocean nigdy się nie skończy, ujrzeli wybrzeża Azji.

Ludzie mówili tam zupełnie niezrozumiałym językiem.

— To nie jest chiński — uznała Soli po namyśle. — Do Chin jest jeszcze daleko. Mapa podaje, że to... popatrz, przed nami jeszcze...

— Dwa tysiące mil, albo więcej — przeliczył Var. — Całe miesiące podróży.

Mieli dość oceanu, lecz droga lądowa wydawała się jeszcze gorsza. Szukali więc miejsca, gdzie mogli kupić benzynę, za którą płacili przedmiotami pochodzącymi z łodzi, po czym mknęli na południowy zachód wzdłuż tego, co mapa nazywała Sachalinem i Wyspami Kurylskimi, aż wreszcie ponownie przybili do kontynentu w Mandżurii. Te niedorzeczne przedwybuchowe nazwy były fascynujące.

Od tej chwili droga lądowa była prostsza, ale mniej bezpieczna. Musieli zdecydować czy płynąć łodzią, czy się jej pozbyć. Ponieważ mieli już dosyć morza, więc postanowili ją sprzedać. Udali się do miejsca, gdzie znajdowały się podobne łodzie. Po krótkiej wymianie zdań przyprowadzono starego człowieka, który mówił trochę ich językiem.

— Ameryka? — pytał zdumiony. — Zniszczona. . . Wybuch. . .

Niebawem zaprowadzili grupę tubylców do łodzi i dokonano sprzedaży. Otrzymali wystarczającą ilość pieniędzy, by nabyć miejscowe stroje i ekwipunek, a także książki do nauki języka, w tym jedną starożytną podającą amerykańskie znaczenia słów.

Ponownie ruszyli w drogę. Pomagali sobie nawzajem w nauce chińskich znaków. Soli mówiła, że nie przypominają one pisma, które znała, lecz gdy się do nich przyzwyczaić, można je zrozumieć. Choć istniało tu wiele dialektów, co nieustannie zbijało ich z tropu, pisany język był wszędzie taki sam. Dzięki tym znakom zawsze mogli się porozumieć, jeśli tylko spotkali kogoś, kto umiał czytać.

Krajobraz przypominał im ten znany z ojczywego kontynentu: górzysty, dziki i usiany plamami Złych Krajów. Tubylcy zamieszkujący wybrzeże byli cywilizowani, na wzór mieszkańców Nowej Krety. Nie składali tylko ofiar z ludzi. Ci, którzy mieszkali

w głębi łądu, byli tak prymitywni, jak amerykańscy koczownicy, lecz nie mieli techniki Odmieńców i zaopatrywanych przez nich gospod. Większość zostawiała wędrowców w spokoju, lecz niektórzy byli wojowniczy, a nie znano tu Kręgu, który ograniczałby ich agresję. Gdyby Var i Soli nie byli biegli w sztuce walki, nie pożyliby długo.

Podążali w głąb łądu wzdłuż rzeki Amur, ponieważ była to najlepsza droga prowadząca pomiędzy potężnymi łańcuchami górskimi. Gdy rzeka skręciła na północny-zachód, ruszyli dalej wzdłuż jej wielkiego dopływu. Mijały miesiące. Wreszcie dotarli na pogranicze właściwych Chin. Wpływy chińskie, podobnie jak wpływy Odmieńców w Ameryce, rozciągały się na cały ten obszar, a być może nawet cały kontynent. Pisany język jednoczył rozmaite ludy. Var, który znał więzy krępujące pozornie wolne społeczeństwo koczowników był pewien, że podobne prawa obowiązują tutaj. Podobne w zasadzie, choć nie w szczegółach. Chiński Helikon musiał istnieć naprawdę.

W miarę jak zbliżali się do domniemanego celu, ich przyjaźń mąciło narastające napięcie. Soli nabrała kobiecych kształtów i Var aż za dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Czasami dotykał swej bransolety, myśląc czy nie dać jej Soli, lecz zawsze przypominał

sobie o tym, co się wydarzyło, gdy po raz pierwszy zdobył miano mężczyzny. Dziewczęta nie ceniły brzydkich mężczyzn, a Var wiedział, że wygląda okropnie.

Zaś Soli była piękna. Być może jej matka Solą w kwiecie swej dziewczęcej urody była do niej podobna. Mówiono, że była tak cudna, iż najpotężniejsi wojownicy walczyli o jej względy. Soli z reguły skrywała swe uroki pod prostym, luźnym ubraniem, lecz gdy się kąpała, co nawet teraz czyniła nie czując wstydu, jej nagie ciało było wspaniałe.

Nigdy o tym nie wspominała, lecz trudno było przypuszczać, by podobała jej się jego cętkowana skóra, pomarszczona twarz i zniekształcone kończyny. Dzieci nie przejmowały się zbyt takimi rzeczami, lecz Soli już nigdy nie będzie dzieckiem.

Var widywał niekiedy umiejące czytać i pisać chińskie damy. Przypominały one kunsztownie wykonane lalki, delikatne i zachwycające, o powściągliwych ruchach i nieśmiałym sposobie bycia. W porównaniu z nimi wieśniaczki wyglądały jak zwierzęta; tęgie, nieładne, przygarbione i o pospolitych twarzach.

Var wiedział, że życie zbiega wkrótce ukształtuje Soli na wzór wieśniaczki. Nie potrafił pogodzić się z tą myślą. Prześladowała go ona coraz mocniej. Gdy tylko spostrzegł jakąś starą babę, wyobrażał ją sobie z twarzą Soli.

Poziom cywilizacji podnosił się, w miarę jak zapuszczali się w głąb właściwych Chin. Ludzie mieli tu żółtawą skórę, a ich oczy wyglądały inaczej. Zachowywali się z wyszukaną uprzejmością. Kobiety wysoko urodzone potrafiły się pięknie wysławiać. Jak dowiedział się Var, w dzieciństwie oddawano je do instytucji przypominających nieco szkoły prowadzone przez Odmieńców, w których przebywały do czasu dojrzałości. Potem, jako wielkie damy, wychodziły za mąż i nigdy nie musiały pracować. Domem zajmowała się służba.

Var uznał, że będzie to najlepsze życie dla Soli, nie wiedział jednak, jak ją przekonać do tego pomysłu. Obawiał się, że go nie zrozumie, więc nie próbował niczego tłumaczyć.

Pewnej nocy, gdy spała w lesie obok niego, podniósł się ukradkiem. Soli jednak obudziła się.

— Var?

— Muszę. . . no wiesz — odparł, czując ukłucie winy wywołane tym kłamstwem. Aby ją uspokoić oddał mocz pod drzewem, a potem przykucnął. Po chwili jej oddech stał się równy i Var odszedł cicho.

W połowie drogi ponownie poczuł wyrzuty sumienia. Ogarnęła go niepewność i omal nie zawrócił, ale przemógł się i zmusił, by iść dalej.

Przebiegł pięć mil i wrócił do jednej ze szkół, którą minęli tego dnia. Walił w bramę tak długo, aż wreszcie obudził starego stróża — krótkowzrocznego, kościstego mężczyznę o siwej brodzie, który nie był zadowolony, że zakłóca mu się spokój o tej porze. Var zdołał mu jednak wytłumaczyć, że musi porozmawiać z osobą, która zarządza szkołą. Staruszek gderając wycofał się do wnętrza szkoły, podczas gdy Var oczekiwał niespokojnie pod bramą.

W dziesięć minut później zaprowadzono go przed oblicze przełożonej, która niewątpliwie przed chwilą jeszcze spała. Była to starsza, gruba kobieta o czarnych włosach i pomarszczonej twarzy.

Ona również nie wiedziała, o co mu chodzi. W końcu narysowała na kartce papieru znak, który Var odczytał. On i Soli znali już po kilkaset znaków, dzięki którym mogli się porozumieć z Chińczykami i czytać proste napisy.

Przez dwie godziny Var wymieniał z przełożoną szkoły pisane przekazy i na koniec tego milczącego dialogu uzyskał dla Soli przyjęcie do szkoły. Miał płacić za jej naukę, pracując jako parobek.

Wskazał miejsce, w którym znajdowała się dziewczynka. Wysłano po nią grupę uzbrojonych ludzi. Var zgłosił się do piwnicy, gdzie siwobrody mężczyzna wskazał mu drewniane łóżko stojące przy wielkim piecu. Var został jego pomocnikiem.

Przyszłość Soli była zabezpieczona.

* * *

Minął miesiąc, zanim ponownie ją ujrział, gdyż jako parobek nie miał prawa widywać się z uczennicami. Przez ten czas znosił drewno i torf do pieca, wbijał sztachety do nowego płotu, przynosił zapasy do kuchni i wykonywał setki innych czynności. Przy okazji poznał najczęściej używane miejscowe słowa, dzięki czemu mógł słuchać plotek.

Dowiedział się, że tamtej nocy sprowadzono do szkoły istną diabolicę. Dziką, wiejską urwiskę, która biła pałkami, jak doświadczony wojownik. Strażnicy szkoły grozili jej karabinami, lecz gdy nie chciała się poddać, nie odważyli się strzelać, gdyż dziew-

czynka miała być pojmana i szkolona na damę. W końcu poskromili ją za pomocą sieci, lecz kilku mężczyzn odniosło przy tym poważne obrażenia.

Soli! Soli! Var cierpiał z powodu jej nieszczęścia. Wstydził się, że ściągnął na nią coś takiego. Skąd mogła wiedzieć, że to po to, by zapewnić jej lekkie życie?

Stary dozorca nie mógł zrozumieć, dlaczego chcieli szkolić dziką wieśniaczkę, w dodatku cudzoziemkę, która miała jasną skórę i okrągłe oczy. Przyznał jednak, że gdy ją umyto była całkiem ładna.

Var rozumiał, że tamten nie podejrzewał, iż coś go łączy z Soli. Tym razem odbarwienia jego skóry przyniosły mu korzyść. Pragnął obserwować, by się upewnić, że warunki umowy są przestrzegane, nie chciał się jednak z nią stykać, gdyż mogłoby to jej zaszkodzić. Ona miała być damą, a on nigdy nie stanie się człowiekiem z towarzystwa.

Pewnego dnia, gdy przycinał krzewy pod murem, wyprowadzono ją na spacer po terenie szkoły. Ujrzał, jak szła w towarzystwie przełożonej i trzech innych dziewcząt. Wszystkie ubrane były w skromne suknie. Przypomniało mu to spacer po świątyni na Nowej Krecie, gdzie oczekiwała, aż ją złożą w ofierze. Wtedy, tak jak i teraz, on był

przyczyną jej uwięzienia. Cała sytuacja wydała mu się nagle tak przerażająca, że zapragnął złapać ją, uciec do lasu i zapomnieć o tym, co uczynił.

Jednak obrócił głowę w drugą stronę w obawie, aby go nie dostrzegła.

Grupa maszerowała po ścieżce biegnącej wśród kwiatów. Przełożona podawała szeptem rytm, a dziewczęta stawiały drobniutkie kroczki. Var słyszał cichy odgłos ich stóp i dostrzegał kącikiem oka ich ruchy. Uczyły się chodzić jak damy, z wdziękiem i intrygująco.

Var kontynuował pracę, zwrócony plecami do ścieżki. Dziewczęta przeszły tak blisko, że mógł poczuć ich zapach. Nie zatrzymały się. Po chwili zaprowadzono je do budynku. Var odczuł zarazem ulgę i smutek. Byłoby szaleństwem, gdyby spróbował porozmawiać z Soli, lecz pragnienie to było tak silne, że niemal nie do zniesienia.

Widział jednak, że szkoła przestrzega warunków umowy, więc on nie chciał złamać jej jako pierwszy.

Nocą, gdy dręczony bezsennością leżał na swoim łóżku, do piwnicy przyszedł zakapturzony gość. Staruszek podszedł do przybysza, by zapytać kim jest, ale otrzymawszy coś od niego, oddalił się pospiesznie. Postać stanęła nad łóżkiem Vara.

Ten, wyrwany z drzemki, spojrzał w górę.

To była Soli. Jej oczy lśniły gniewnie pod kapturem.

— To twoja robota — wysyczała.

Var spoglądał tylko na nią, porażony jej urodą. Nauka wywarła już wpływ na jej gesty, a kosmetyki dodały jej piękna.

— Widziałam cię w ogrodzie — szepnęła, patrząc wciąż na niego z wyrazem twarzy, którego nie rozumiał.

Nagle spod płaszcza wysunęła rękę, w której trzymała pantofel. Z całej siły uderzyła go obcasem w brzuch. Var omal nie zawył z bólu.

— Myślałam, że nie żyjesz! — krzyknęła. Teraz zrozumiał, co czuła.

Soli nie powiedziała nic więcej, odwróciła się i odeszła.

Myślała, że nie żyje. Nigdy nie przyszło mu to do głowy, lecz gdy się nad tym zastanowił, było to oczywiste. Napadnięto ją w nocy, pojmano i zawleczono do szkoły. Nie widziała go nigdzie, czyż więc nie było naturalne, iż uznała, że zabito go w tej samej potyczce? Pograżyła się więc w rozpacz i rezygnacji. . . i nagle odkryła, że było to kłamstwo.

Po co mu to było? Nigdy nie pragnął, żeby sprawa wyszła na jaw w podobny sposób. Stary wrócił, chichocząc. Z pewnością domyślił się już związku między złością, a swym pomocnikiem. Nie miało to jednak znaczenia, gdyż umowa była legalna.

Var leżał przez długi czas, nie mogąc zasnąć. Nie wiedział czy się cieszyć, czy smuć z reakcji Soli. Jej widok był dla niego wstrząsem. Tak piękna i tak rozgniewana! Czy znienawidziła go za to, że ją oszukał, czy też zrozumie jakie korzyści dzięki niemu osiągnie? Z pewnością zdawała sobie sprawę, że nie mogli bez końca wędrować po całym świecie. Piękna dziewczyna i brzydki mężczyzna. Jemu, rzecz jasna, takie życie nie wyrządziłoby żadnej szkody, gdyż nie stać go było na nic więcej. W gruncie rzeczy z łatwością mógłby z powrotem zdziczeć i wałęsać się po Złych Krajach. Ale Soli. . . Soli mogła zostać wielką damą. Było jego obowiązkiem zapewnić jej tę możliwość.

Ale nadal czuł się winny. Wciąż tęsknił za przyjaźnią, która łączyła ich nim dotarli na Nową Kretę. Te chwile nie mogły wrócić, gdyż Soli już nigdy nie będzie dzieckiem. Var nadal jednak tęsknił i cierpiał.

W dwa tygodnie później, gdy zbierał w lesie chrust i ładował go na wózek, Soli przyszła do niego ponownie. Tym razem miała na sobie chłopięce ubranie. Ukryła włosy, a na twarzy wymalowała czarne i rude plamy. Wyglądała jak wałęsający się łobuziak. Var wiedział, że dobrze opanowała tę rolę.

— Uciekam stąd — oznajmiła. — Chodź ze mną, tak jak dawniej.

Var złapał ją i pociągnął z powrotem do szkoły. Mogła go obezwładnić na wiele sposobów, lecz nie próbowała się opierać.

— Wiem, że płacisz za mnie — krzyknęła. — Nienawidzę cię!

Wiedział, że nie myśli tak naprawdę, jednak te słowa zabołały.

— Dlaczego chcesz, żebym tu była? — zapytała żałośnie brzmiącym głosem. — Dlaczego nie możemy wędrować razem? To wszystko, czego pragnę.

Var ciągnął ją dalej. Jej gibkie ciało w jego ramionach było jędrne i okrągłe.

Wyciągnęła w górę głowę i pocałowała go w usta, jak dojrzała kobieta. Tak jak robiła to jej matka, Solą.

— Chce tylko być z tobą, Var.

Pokusa uderzyła w niego gwałtownie. Pamiętał ją jako dziecko, lecz jako kobieta również miała na niego duży wpływ. . . Mimo to szedł naprzód, nie odpowiadając jej.

— Czy chcesz, żebym zaczęła płakać?

Nie zrobiła tego jednak, choć to by go załamało. Gdy wciąż jej nie odpowiadał, szepnęła:

— Żałuję, że uderzyłam cię pantoflem.

Potem, gdy ujrzeli już budynki szkoły, dodała:

— To powinien być morgensztern!

Var pomyślał, że gdyby miała morgensztern, to naprawdę mogłaby go nim zdzielić, a tego by już nie przeżył.

Oddał Soli przełożonej. Gdy wracał do lasu, usłyszał, jak zaczęła krzyczeć z bólu i wściekłości. Bito ją za jej wykroczenie. Choć używano do tego skórzanego paska, który nie zostawiał żadnych szpecących śladów, Var wiedział, że to boli. Wiedział też jaka będzie kara. Przełożona już na samym początku wyjaśniła mu, czym grozi złamanie dyscypliny.

Ból jednak nie mógłby zmusić do krzyku Soli, która była przecież twardym wojownikiem. Chciała tylko, by usłyszał ją Var, a także pragnęła zadowolić przełożoną, która jednak nieprędko dała się nabrać.

Var miał co dziesiąty dzień wolny. Choć był chętny do pracy, sprawiedliwa przełożona upierała się przy tym. W pobliżu szkoły znajdowało się miasto. Podczas swojego drugiego wolnego dnia Var udał się tam, by się rozejrzeć. Nie czuł się jednak dobrze. Wielu tubylców okazywało mu lekceważenie, nie pragnąc jego towarzystwa. Trudno było odgadnąć kiedy się uśmiechać, a kiedy bić, gdy nie było Kręgu, który wyznaczałby granice między uprzejmością a walką. Var uznał, że najlepszy byłby dla niego Zły Kraj.

Nie rozumiał żadnej społeczności — ani tutejszej, ani amerykańskich koczowników. Uznał więc, że najlepiej mu będzie, kiedy zostanie sam. Gdy tylko Soli ukończy szkołę, on z powrotem zamieni się w szczęśliwego dzikusa.

Gdy jednak pomyślał o Soli, zrozumiał, że oszukuje sam siebie. Czy była dzieckiem, czy kobietą, on nigdy nie będzie szczęśliwy bez niej.

18

— Dowiedziałem się, do kogo należą ci żołnierze, którzy czekają tu już od miesiąca — oznajmił stary.

W ciągu roku Var nauczył się z nim rozmawiać, choć nigdy nie miał okazji, by poznać jego imię. Stary zawsze znał mnóstwo plotek, lecz Vara rzadko kiedy to interesowało. Zauważył żołnierzy i wiedział, że stanowią oni straż jakiejś królewskiej osoby. Większość uczennic była wysoko urodzona. Należało do dobrego tonu opuścić szkołę po jej ukończeniu w towarzystwie świty uzbrojonych, nawet jeśli trzeba ją było specjalnie w tym celu wynająć. Często wojownicy zbierali się wcześniej i gdy zbliżał się

koniec okresu nauki, okolice szkoły przypominały obóz wojskowy. Var ćwiczył z niektórymi z nich, pokazując jak zręcznie włada pałkami. Większość tych żołnierzy była uzbrojona w karabiny.

— Ci w złotych kaftanach — ciągnął stary — nie rozmawiają z nikim i obozują z dala od innych.

To było intrygujące. Nikt nie wiedział, jakiemu władcy służą ci żołnierze, ani którą z dziewcząt mają uhonorować. Było ich jednak ponad dwudziestu i mieli piękne mundury. To było doborowe wojsko. Var obserwował z ukrycia, jak ćwiczą musztrę oraz strzelanie.

Widząc, że wreszcie udało mu się zainteresować Vara, stary oznajmił:

— Służą cesarzowi Ts'in. Z pewnością wybrał sobie następną żonę.

Var był pod wrażeniem. Ts'in panował nad największym z rywalizujących ze sobą królestw na południu, które w ciągu ostatnich kilkunastu lat znacznie powiększyło swój obszar drogą intryg politycznych oraz rozsądnego użycia siły militarnej. Podobnie jak Wódz panował nad Imperium w Ameryce, Ts'in stworzył je w Chinach, choć nie było ono tak wielkie, jak to należące do Bezimiennego i nie obejmowało terenu, na którym

znajdowała się szkoła. Ts'in miał za to co najmniej trzydzieści żon i nieustannie poszukiwał atrakcyjnych dziewcząt. Najwyraźniej jedna z miejscowych uczennic wpadła mu w oko i zamierzał dopilnować, by nic się jej nie stało do chwili jego przybycia.

Nic z tego jednak nie obchodziło Vara. Miał zamiar poczekać, aż Soli ukończy szkołę i znajdzie dla siebie miejsce w jakimś zamożnym domu, po czym będzie mógł odejść do Złego Kraju. Żałował, że potem już nigdy jej nie zobaczy. Była to jednak decyzja, którą podjął w chwili, gdy sprowadził Soli do szkoły. Miał nadzieję, że z czasem odnajdzie szczęście.

Następnego dnia wezwała go przełożona.

— Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość — oznajmiła, przyglądając mu się uważnie. — Znaleźliśmy miejsce dla twojej podopiecznej.

Ta wiadomość zdruzgotała go. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy nie chciał, by dla Soli znaleziono jakiegokolwiek miejsce. Mimo wszystko nie potrafił się jej wyrzec.

— Tego właśnie żądałeś — przypomniała mu przełożona łagodnym tonem.

— Tak.

Ogarnęło go odrętwienie.

— Tak, jak zwykle w takich wypadkach, jej chesne zostanie zwrócone. Wyplacimy ci te pieniadze jako zaplate za przepracowany rok. Jak sie przekonasz, jest to znaczna suma.

Varowi trudno bylo to zrozumiec.

— Nie chcecie pieniadzy za jej nauke?

— Oczywiscie, ze chcemy! Nie jesteśmy instytucją dobroczynną. Kto inny zobowiazal sie pokryc naleznosc, wiec nie jest juz konieczne, bys ty to robil, choc byliśmy zadowoleni z twojej pracy. Wyplacimy ci pieniadze, jak juz powiedzialam, z chwila zakonczenia nauki.

— Kto... dlaczego?...

— Pan, który ma ją poslubic, rzecz jasna — znowu popatrzyła na niego bacznie. — Jesteśmy zadowoleni z tego kontraktu. Jest bardzo pomyslny.

— Ts'in! — krzyknal Var. Wreszcie zrozumial.

— Woli zachować dyskrecję, aż do chwili ceremonii — odparła przełożona. — Dla tego nie wspominałam ci o tym wcześniej. Masz jednak prawo wiedzieć. Ts'in zapragnął cudzoziemskiej żony, gdyż ma chwilowo dość krajowych.

Jej subtelnie dobrane zwroty nie docierały do Vara.

— Ale Ts'in! . . .

— Czy nie mówisz, że tego właśnie pragniesz? Najlepsze możliwe miejsce dla twojej podopiecznej, żeby nigdy już jej niczego nie brakowało i żeby nie musiała biegać z dzikusem?

Znowu to uważne spojrzenie.

Tak, tego właśnie pragnął. Przynajmniej tak mu się wtedy zdawało. Przełożona wypełniła zobowiązanie z nawiązką. Nie mógł mieć do niej żalu.

— Nie jest konieczne, byś się z nią rozstawał — w jej głosie zabrzmiał ton życzliwego współczucia. — Cesarz Ts'in zawsze poszukuje silnych wojowników i rzadko zajmuje się jedną żoną dłużej niż przez rok. Jego wcześniejsze małżonki mają dużo swobody pod warunkiem, że są dyskretne. . .

Var był kiedyś naiwny i nie rozumiał podobnych spraw, z czasem jednak zdobył doświadczenie. W tym kraju pozory często były ważniejsze od rzeczywistości, podobnie jak w Ameryce. Przełożona sugerowała mu, żeby na razie przystał na służbę do Ts'in i zaczął zabiegać o względy Soli mniej więcej po roku, kiedy ona urodzi już cesarzowi dziecko i jakaś nowa żona odciągnie od niej jego uwagę. Podobne związki były częste i cesarz, choć o tym wiedział, nie sprzeciwiał się, o ile sprawa nie stała się tematem plotek. Soli mogła mieć królewskie życie, a Var mógł mieć Soli, o ile będzie cierpliwy i dyskretny.

Przełożona wskazała mu dogodne rozwiązanie. Podziękował jej i wyszedł, nie był jednak zadowolony. Myśl o Soli tarzającej się w objęciach grubego chińskiego cesarza napełniła go wstrętem. Nigdy dotąd nie przemyślał całej sprawy aż do tego punktu. Teraz dopiero zrozumiał, że Soli będzie musiała płacić za luksusy swym ciałem. Ogarnęła go wściekła zazdrość o zalotnika, którego nigdy dotąd nie widział.

Przypomniał sobie jak Soli mówiła, że nie podoba się jej w szkole i że pragnie wędrować z nim. Teraz stwierdził, że on też tego chce, ale czy Soli, mogąc bogato wyjść za mąż, nie zmieni zdania?

Koniecznle musiał ją o to zapytać.

Jednak nie mógł po prostu wejść do szkolnej sypialni, by zadać jej to pytanie. Obowiązywały tu surowe zasady. Soli czekałaby chłosta, gdyby przyłapano ją na rozmowie z nim. Pod koniec nauki dziewczęta musiały same przestrzegać dyscypliny. Jej złamanie okrywało winowajczynię hańbą w oczach pozostałych uczennic. Var musiał zatem postępować ostrożnie.

Wkrótce odkrył, że ludzie cesarza nie czekali beczynnie. Wszystkie drogi prowadzące do sypialni Soli były dyskretnie strzeżone.

Var szybko odnalazł najsłabiej chronione miejsce. Był to ogród pod znajdującym się na pierwszym piętrze oknem sypialni. Var zamierzał ogłuszyć samotnego strażnika ciosem pałki, lecz mężczyzna miał się na baczności. Uchylił się przed pierwszym uderzeniem i zdążył wystrzelić. Chybił, ale narobił hałasu. Var powalił strażnika, lecz nie miał szans wdrapać się na ścianę przed nadciągnięciem posiłków.

Za moment otoczyło go pod ścianą dziesięciu uzbrojonych w karabiny żołnierzy. Przez krzaki przedarł się z trzaskiem jakiś pojazd. Var skrzywił się mimo woli, gdyż

włożył wiele wysiłku pielęgnując te rośliny. Z wehikułu trysnęło światło, którego strumień padł na niego.

Oślepiony Var stał nieruchomo. Wiedział, że jest w pułapce. Nie spodziewał się, że zareagują tak sprawnie. Nie mógł uciec.

— Kto to? — zapytał głos z ciężarówki.

— Tutejszy parobek — odparł inny żołnierz. — Widziałem go już wiele razy.

— Co on tu robi?

— Obcina żywopłot.

— W nocy?

— Co tu robisz? — to pytanie było skierowane do Vara.

— Muszę porozmawiać z... dziewczyną — odparł. Zrozumiał nagle, że wyrządza sobie szkodę mówiąc prawdę.

— Z którą?

— Soli.

Po drugiej stronie oślepiającego światła doszło do pośpiesznej wymiany zdań. Var przypomniał sobie, że w szkole nadano Soli inne imię, by jej obce pochodzenie było

mniej widoczne. Nie znali imienia, które wymienił, a więc mógł jeszcze uniknąć wyznania prawdy, że chodzi o narzeczoną Ts'ina.

— Zaprowadźcie go na kwaterę — warknął oficer.

Żołnierze wykonali rozkaz.

— Czego chcesz od tej dziewczyny? — zapytał oficer, gdy już znaleźli się na osobności, w budynku tymczasowo zajmowanym przez żołnierzy.

— Zabrać ją ze sobą, jeśli zechce.

Mówienie prawdy dodawało mu otuchy, mimo wrażenia, jakie wywierała ona na tych ludziach. Pragnął Soli, choćby miało to kosztować ją utratę luksusów. Teraz to rozumiał.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że zabijemy każdego, kto spróbuje uczynić taką rzecz?

— Tak.

Oficer zamilkł, uznając, że Var jest głupi lub naiwny.

— Ty ogłuszyłeś strażnika?

— Tak.

— Dlaczego chcesz zabrać właśnie tę dziewczynę?

— Kocham ją.

— Skąd ci przyszło do głowy, że zechce odejść z tobą, parszywym garbusem, skoro jako żona Ts'ina będzie mogła mieć wszystko?

— Ja ją tu przyprowadziłem.

— Znałeś ją przedtem?

— Przez cztery lata wędrowaliśmy razem.

— Sprowadź przełożoną — rozkazał oficer jednemu ze swych ludzi.

— Rozgrzej nóż — polecił drugiemu.

— Jeśli przełożona nie potwierdzi twoich słów — zwrócił się do Vara — zginiesz, jako odstrasżający przykład dla tych, którzy sprzeciwiają się woli Ts'ina. Jeśli powie-
działeś prawdę, utracisz tylko zainteresowanie tą i każdą inną dziewczyną.

Var obserwował nóż obracający się powoli w płomieniu wielkiej świecy i zastana-
wiał się, ilu żołnierzy zdąży zabić, zanim to ostrze go dotknie.

Nadeszła przełożona.

— To prawda — powiedziała. — Przyprowadził ją tu, opłacił jej pobyt swoją pracą i zatrzymał ją, gdy próbowała uciec. Ma prawo zabrać ją stąd, jeśli ona zgodzi się mu towarzyszyć.

— Miał prawo — odparł ponurym tonem oficer. — Zanim cesarz Ts'in nie wybrał jej do swego haremu. Nie istnieje żadne wyższe prawo.

Przełożona spojrzała na niego bez trwogi.

— Nie znajdujemy się w posiadłościach Ts'ina.

— Możecie z łatwością zostać do nich przyłączeni, moja pani.

Tylko wzruszyła ramionami.

— W tej chwili napaść na nas zjednoczyłaby nieprzyjaciół Ts'ina na północy, podczas gdy jego główne siły są zajęte na południu. Czy jedna żona jest tego warta?

Oficer zastanowił się przez chwilę, zaskoczony jej znajomością polityki.

— Cesarz nie pragnie, by rozlew krwi splamił dzień jego zaślubin. Zapłacimy temu mężczyźnie ucziwą sumę tytułem odszkodowania i usuniemy go z tej okolicy, nie robiąc mu krzywdy. Gdyby wrócił tu przed ceremonią, zostanie zatrzymany aż do chwili,

gdy ten dzień minie, a potem spotka go śmierć od tysiąca kuł — oficer wyciągnął sakiewkę pełną monet. — To powinno wystarczyć.

Przełożona spojrzała z powagą na Vara.

— To jest rozsądna propozycja. Zgódź się na nią, koczowniku i weź jeszcze to — wręczyła mu paczuszkę.

Var przypomniał sobie Minosa, gdy wręczył Soli klucze od motorówki i zrozumiał, że przełożona pomaga mu w jakiś subtelny sposób. Miał do wyboru — albo podjąć walkę, co oznaczało pewną śmierć bez względu na to, ilu żołnierzy zabierze ze sobą, albo zaufać przełożonej i zgodzić się na warunki oficera.

Wziął pieniądze i paczkę, po czym udał się w towarzystwie strażników do ich ciężarówki. Nie zamierzał się poddać, lecz w tej chwili takie postępowanie wydawało się najrozsądniejsze.

W sześć godzin później wysadzono go, samego, w odległości stu mil na północ.

* * *

W paczce znajdowała się mapa i ludzki palec.

Mapa przedstawiała najbliższą okolicę, a jeden punkt zaznaczony był na czerwono. Natomiast palec. . .

Var dobrze znał się na palcach. Miał bowiem zwyczaj porównywać cudze palce ze swoimi. Potrafił rozpoznać niektórych ludzi po dłoniach równie łatwo, jak po twarzach. To nie był palec Chińczyka, lecz Amerykanina. Pokryty bliznami, z cienką stalową siatką pod skórą.

To był mały palec lewej dłoni Wodza.

Było oczywiste, że przełożona wiedziała, i to już od pewnego czasu, gdzie znajduje się Wódz żywy lub martwy. Musiała więc również wiedzieć, że między Varem i Soli a Bezimiennym istnieje jakiś związek. Teraz postanowiła podzielić się swą wiedzą z Varem. Dlaczego?

Potrząsała głową. Nic nie rozumiał. Przełożona była kobietą dziwną. Motywy jej postępowania były niepojęte. To samo można było powiedzieć o większości tutejszych ludzi.

Var wiedział tylko, że zostały mu mniej niż dwa tygodnie by odzyskać Soli, zanim Ts'in zabierze ją do swego pałacu. Jeśli chciał dać jej szansę wyboru między brzydkim koczownikiem, a bogatym i potężnym cesarzem, musiał działać szybko.

Mógł zdążyć do szkoły na czas. Żołnierze nie docenili jego możliwości. Wiedział jednak, że oficer nie żartował, mówiąc o tym, jaki los go tam oczekiwał. Nagle ogarnęła go też niepewność co do decyzji Soli. Naprawdę była na niego wściekła i naprawdę mogła żyć w luksusie...

Mógł dotrzeć do miejsca zaznaczonego na mapie po tygodniu forsownego marszu. Z pewnością palec Wodza pochodził stamtąd. Nadszedł już czas, by zakończyć spór ze swym dawnym przyjacielem lub dowiedzieć się z całą pewnością, że spór ten został już na zawsze zakończony.

* * *

To była arena. Gladiatorzy toczyli tam walki na śmierć i życie z dzikimi zwierzętami ku uciechu płacących za wstęp widzów. Główną atrakcją była para cudzoziemskich

dzikusów, pojmanyh pół roku temu przez żołnierzy jednego z pomniejszych królestw podczas potyczki na granicy. Oczywiście byli to Wódz i Sol.

Słuchając plotek i dopytując się Var poznał ich historię. Obaj mężczyźni zapuścili się w ślad za Varem do tunelu aleuckiego, lecz ponieważ byli sprytniejsi niż on, uniknęli automatycznej zmiatarki. Odparli atak amazonek, lecz na moście powstrzymało ich promieniowanie. Wyruszyli więc okreśną drogą, wiedząc, że Var nie zatrzyma się, zanim nie pokona oceanu i nie dotrze do kontynentu. Cofnęli się tunelem do punktu wyjścia, ruszyli łądem na północ, dotarli do prawdziwego tunelu transpacyficznego, a potem podążyli wzdłuż wybrzeży Azji. Przebyli wielki obszar, pokonując wiele przeciwności i nieprzyjaciół. Zajął im to przeszło dwa lata. Wreszcie wdali się w utarczkę z oddziałem strzegącym granicy jakiegoś księstwa i wzięto ich do niewoli, pod groźbą wielu karabinów.

Po wyleczeniu ran zostali sprzedani na arenę. Na znak, że są niewolnikami, obcięto im lewe małe palce. Teraz zaś odkupywali swą wolność, co przy ich zarobkach miało zająć im dziesięć lat.

— Wykupię dług — powiedział Var, wręczając worek monet nadzorcy areny.

Mężczyzna przeliczył pieniądze i skinął głową.

— Jeny Ts'ina. Bardzo dobrze. Za którego?

Var opisał Wodza.

— Bardzo dobrze.

Var spodziewał się, że będzie się musiał targować, gdyż jego woreczek nie mógł być chyba wart aż tyle. Mężczyzna jednak wręczył mu kwit wypisany chińskimi znakami. Var przyjął go i niewiele myśląc ruszył po Wodza.

Nagle zastanowił się nad tym i przystanął, by odczytać znaki. Kwit był zwykłym biletem, pozwalał tylko na wejście i nic więcej. Oszukano go.

Rozgniewany ruszył z powrotem, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że tamten z pewnością ukrył już pieniądze, a być może i uciekł. Nikt inny nie zechce uwierzyć w jego skargę.

Var uznał więc, że wskazano mu, jak ma dalej postępować. Skoro na jego uczciwość odpowiadano oszustwem, postanowił traktować innych tak, jak oni traktowali jego.

Wyrzucił papier i ponownie ruszył w stronę baraku gladiatorów. Był on otoczony wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, w którego rogach wznosiły się drewniane

wieże. Wewnątrz każdej z tych budowli stał strażnik z karabinem zwrócony twarzą do wewnątrz.

Tuż obok znajdowały się klatki ze zwierzętami. Były tam tygrysy, niedźwiedzie, olbrzymie węże i trochę mutantów ze Złych Krajów. Gdy nie były wykorzystywane do walki, wystawiano je na pokaz. Niektóre z nich miały na sobie gojące się rany, co wskazywało, że używano ich wielokrotnie. Zapewne gladiatorzy otrzymywali premię, jeśli pokonali zwierzę nie zabijając go.

Var zbadał cały teren. To był wolny dzień. Nowe walki miały odbyć się dopiero jutro. Teraz kręciło się tu tylko kilku gapiów, takich jak on. W pobliżu stało kilka ciężarówek, których używano do transportu zwierząt i sprzętu, gdyż co kilka miesięcy cyrk zmieniał miejsce pobytu, szukając nowej publiczności.

Obejrzawszy wszystko, Var ukrył się w kępie krzaków i zasnął. Dziś w nocy miał mieć dużo roboty.

* * *

O zmierzchu zaczął działać. Wyważył okno w zamkniętej ciężarówce, otworzył drzwi i odblokował stacyjkę w sposób, którego nauczył się na Nowej Krecie. Następnie podszedł do najbliższej wieży strażniczej, wdrapał się na nią bezszelestnie i ogłuszył strażnika pałką. To samo powtórzył na drugiej wieży. Doświadczenie z żołnierzami Ts'ina nauczyło go nie dawać czasu na obronę człowiekowi uzbrojonemu w broń palną. Fragment płotu, znajdujący się pomiędzy tymi dwoma wieżami, był niewidoczny z dwóch pozostałych. Spośród narzędzi znalezionych w ciężarówce Var wybrał te, które mogły mu się przydać, po czym szczypcami wyciął dziurę w ogrodzeniu. Wszedł do środka, niosąc ze sobą pistolet i latarkę, które zabrał strażnikowi.

Gladiatorzy znajdowali się w zamkniętym, cuchnącym odchodami baraku. Var użył śrubokręta i łomu, by otworzyć go robiąc jak najmniej hałasu. Pracował po stronie niewidocznej z wież, na których znajdowali się nie obezwładnieni strażnicy. Wiedział, że więźniowie go usłyszą, ale z pewnością nie zdradzą. Mogli jednak spróbować go zaatakować i uciekać na własną rękę. Musiał być na to przygotowany.

Otworzył drzwi, omiół wewnątrz promieniem latarki i cofnął się.

— Mam pistolet — powiedział cicho w lokalnym dialekcie. — Wychodzić pojedyn-
czo i bez hałasu, jeśli pragniecie wolności — dodał po amerykańsku.

— Var Pałki! — odezwał się natychmiast Wódz. Jego potężne ciało pokazało się
w drzwiach. — Czy przyniosłeś ten pistolet przeciwko mnie?

Ten znajomy głos sprawił, że Vara przeszedł dreszcz, lecz odpowiedział stanowczo:

— Nie. To nie jest Krąg. Poprzysiągłeś, że mnie zabijesz, ponieważ myślałeś, że
zabiłem twoją córkę. Nie zrobiłem tego. Zaprowadzę cię do niej.

Nastała długa cisza.

— Nie moją córkę. Jego — odpowiedział wreszcie Wódz. Pojawiła się obok niego
posepna postać Solą. — Podejrzewaliśmy, że tak jest, gdy usłyszeliśmy opis chłopca,
który z tobą wędrował. Nie byliśmy jednak tego pewni, a ty wciąż uciekałeś, musieliśmy
więc podążać za tobą.

Var podniósł wzrok i ujrzał, że Wódz jest tuż przed nim, tak blisko, że z łatwością
mógłby zadać mu cios.

— Powinienem być cię przepytać — rzekł Bezimienny. — Już dzień po twoim zniknięciu wiedziałem, że postąpiłem źle. Zrobiłeś tylko to, co ci rozkazałem. To Góra Helikon zdradziła nas obu. Zdradziła też Sola, gdyż nie wiedział on, że jego córka została wysłana, aż do chwili, gdy dowiedział się, że nie żyje.

Var przypomniał sobie, iż Soli powiedziała mu, że jej rodzice o niczym nie wiedzieli. Wyraziła zgodę dlatego, iż Bob zagroził, że ich zabije. Była to zemsta władcy podziemi za atak koczowników.

— Dlatego przyszedł, żeby ją pomścić?

— Żeby ją pochować. Pomścił ją już, gdy zabił Boba i podpalił Helikon. Sosa zniknęła podczas tej jatki. Jedyne, co mu pozostało, to pochować Soli, lecz nie mógł znaleźć jej ciała. Ruszył więc na poszukiwanie, a gdy się spotkaliśmy i doszliśmy do prawdy, wy uciekaliście dalej.

Tracili czas.

— Chodźcie ze mną — powiedział Var. Ona jest w szkole... Będą kłopoty.

Wyglądało to tak, jakby nigdy nie było między nimi sporu. Wyszli razem: Wódz, Sol i czterech innych potężnie zbudowanych gladiatorów. Var poprowadził ich przez

dziurę w płocie, a potem obok klatek ze zwierzętami, gotowy wypuścić je stamtąd, gdyby tylko podniesiono alarm. Jednakże nie napotkali żadnych przeszkód. Var zapalił silnik ciężarówki za pomocą wyrwanych kabli i ruszyli w drogę.

* * *

Cesarz Ts'in przybył właśnie w towarzystwie swego orszaku, gdy ciężarówka z Varem, Wodzem, Solem i pozostałymi gladiatorami zaparkowała potajemnie opodal szkoły. W najbliższej okolicy kręciło się mnóstwo żołnierzy. Otwarty atak byłby szaleństwem. Ponadto wciąż jeszcze nie byli pewni, co sądzi na ten temat sama Soli.

— Nie prosiła, by ją wysłać do szkoły? — dopytywał się Wódz. — Była zadowolona wędrując z tobą?

— Tak powiedziała — przyznał Var. — Rok temu. Ale wtedy dopiero dorastała. . .

— Teraz już jest dorosła. Dlaczego miałoby to coś zmienić? Czy chciałbyś, żeby znowu była z tobą?

Poraziła go straszliwa niepewność.

— Nie wiem.

— Ten Ts'in. Słyszałem o nim. Czy to jest korzystne małżeństwo?

— Tak.

— Ale nie chcesz, żeby je zawarła?

Var zamilkł na chwilę, jeszcze bardziej zbity z tropu.

— Chcę z nią porozmawiać. Jeśli ona pragnie wyjść za Ts'ina. . .

— Poddamy ją próbie — mruknął Wódz.

Spędzili noc w ciężarówce ukrytej w lesie. Chińscy gladiatorzy udali się z ochotą na poszukiwanie żywności i benzyny. Cieszył ich figiel, jaki mieli spłatać. Gdy odeszli, Wódz dokładnie wypytywał Vara o każdy szczegół jego związku z Soli. Sol przysłuchiwał się temu pogrążony w niesamowitym milczeniu. Var uświadomił sobie, że nie wie, co dzieje się w umysłach obu mężczyzn. Gdy w grę wchodziła Soli, nie można było im ufać. Jego pożądanie mogło nie wzbudzić ich sympatii.

Var odkrył też, że w chwili, gdy uwolnił tych mężczyzn, utracił swą niezależność. Wszystkie decyzje podejmował Wódz. Jego inteligencja dawała się odczuć niemal dotykalnie. Varowi zdawało się, że rozpoznaje w nim niektóre z cech, które czyniły Soli tym,

czym była. Wódz jednak zaprzeczył, jakoby był jej ojcem. To ponownie wprowadziło chaos w myśli Vara.

Pozostał w ciężarówce, podczas gdy pozostali poszli by wziąć udział w ceremonii zakończenia nauki. Serce mu waliło. Pragnął działać, lecz był bezradny, zależny od woli innych i niepewny siebie.

19

Soli spała niespokojnie. Teraz, gdy w jej życiu miała zajść tak wielka zmiana, wszystkie minione wydarzenia przesuwały się jej przed oczami. Nie pamiętała dokładnie pierwszego okresu, gdy przebywała wśród koczowników. Tylko śnieg i straszne zimno, przed którym osłaniał ją jej ojciec, mimo że oboje mieli umrzeć. Później w jakiś sposób ożyli na nowo i Sosa stała się dla niej drugą matką. Soli podobało się to, gdyż Sosa była nadzwyczajną kobietą — kochającą i nieubłaganą w walce. Podziemie fascynowało Soli, dopóki Bob nie zapoznał jej z brutalnością polityki i nie wysłał na zewnątrz, by broniła go przed dzikusami.

Przypuszczała, że wszyscy koczownicy są straszni i zniekształceni, gdyż Var miał pokrytą plamami skórę, zabawne ręce i garb na plecach. Jednakże Sosa uczyła ją, że u mężczyzny wygląd znaczy niewiele. Ważniejsze są wytrzymałość i umiejętność walki, a nade wszystko charakter.

— Jeśli mężczyzna jest silny, uczciwy i dobry, jak twój ojciec, zaufaj mu i zaprzyjaźnij się z nim — brzmiała jej rada.

Mężczyźni z Helikomu nie potrafili spełnić tych prostych warunków. Jim Bibliotekarz był uczciwy i dobry, a nawet inteligentny, lecz nie był silny. Jeden cios w brzuch wysłałby go do szpitala. Bob Przywódca był silny, lecz ani uczciwy, ani dobry. W gruncie rzeczy jedynie jej ojciec, Sol, spełniał warunki Sosy. Od niego nauczyła się walki na pałki.

Brzydki Var był silny, choć nie władał pałkami tak dobrze, jak ona. Był też uczciwy, gdyż nie zrzucił na nią kamieni, mimo że pierwszy znalazł się na szczycie Góry Muz. Był również dobry. Ochronił ją przed zabójczym zimnem tak samo, jak niegdyś jej ojciec. Zimno było jedynym wrogiem, któremu nie potrafiła stawić czoła. Bała się go i nienawidziła.

Zrozumiała więc, że Var jest dobrym człowiekiem, choć był nieprzyjacielem i dzi-kusem. Później nigdy się na nim nie zawiodła. Prawda, że nie był zbyt inteligentny, lecz to samo można było powiedzieć o Solu. Mężczyźni tacy jak Bob i Bezimienny budzili grozę, gdyż ich umysły były bardziej śmiercionośne niż ich ciała. Wolała towarzysza, którego mogła zrozumieć.

Nie była pewna, kiedy sympatia przerodziła się w miłość. Trwało to powoli, pogłębiało się razem z ich znajomością i dojrzało wraz z jej kobiecością. Sądziła jednak, że stało się to wtedy, gdy użądlił ją jadowity owad, a Var zaniósł ją z powrotem do gospody i opiekował się nią. Była przez większość czasu przytomna, nie mogła się jednak poruszyć ani odezwać. Obserwowała go, gdy myślał, że jest sam i wiedziała, iż walczył za nią, na długo zanim jej to wyznał.

Postanowiła wtedy, że przyjmie jego bransoletę, gdy tylko będzie dość dorosła, by móc to uczynić i wypełnić wszystkie płynące z tego zobowiązania. Gdy się dowiedziała, że Sol również podąża za nimi, została z Varem, mimo iż pragnęła wrócić do ojca. Czuła, że utraci Vara, jeśli pozwoli, by ruszył dalej sam. Potem on uratował ją przed tunelową zamiatarką, przed obłąkanymi amazonkami i jeszcze raz, przed promieniowa-

niem, którego sama nie potrafiłaby wykryć. Aż wreszcie w łodzi zasłonił ją własnym ciałem przed strzałami.

Pięć razy uratował jej życie z narażeniem własnego, nie żądając w zamian nic, nawet jej towarzystwa. Był prawdziwym mężczyzną, o jakim mówiła Sosa. Gdyby go jeszcze nie kochała, z pewnością pokochałaby go wtedy. Gdy jednak dotarli na Nową Kretę, Var był umierający. Dostrzegła wtedy sposób na spłacenie swego długu wobec niego. Przez chwilę odczuwała pokusę, by sprzedać jego złotą bransoletę, zdając sobie sprawę, że miała ona tak dużą wartość. Gdyby jednak to uczyniła, stałaby się ona dla niej nieosiągalna, wraz ze wszystkim, co się z nią wiązało. Poza tym wyspiarze mogliby ją po prostu zabrać, nie dając za nią nic, tak jak zabrali łódź. Choć oboje mogli przez to zginąć, nie potrafiła się zdobyć na rezygnację ze swego marzenia.

Pozostała więc świątynia — jedyna umowa, do dotrzymania której mogła zmusić wyspiarzy. Płakała, nie tyle ze względu na siebie, co z żalu za Varem. Dotarły do niej wieści, że został śmieciarzem. Cierpiała na myśl o tym, jak bardzo go to poniża. Wzruszała się, wierząc, że on tęskni za nią równie mocno, jak ona za nim. Wyobrażała sobie

romantycznie, że Var obserwuje ją od czasu do czasu, i może nawet dla niej wyzwąć do walki boga Minosa.

I wtedy, gdy pogodziła się już z myślą o śmierci, Var przyszedł naprawdę. Powiedziała mu „nie”, choć w głębi duszy krzyczała „tak!” i odepchnęła od siebie, pragnąc jego uścisków. Patrząc na niego, gdy odchodził do labiryntu, przeklinała siebie za swe szaleństwo.

„Jeśli zobaczę go jeszcze żywego” — przysięgała sobie, gdy stała tam skuta i bezradna — „wezmę jego bransoletę i powiem mu, że go kocham”.

Ta przysięga miała swe źródło w rezygnacji i rozpacz. Tym niemniej tak właśnie się stało.

Od tej chwili z jakiegoś powodu przestała go rozumieć. Była już kobietą, gotową zaakceptować go jako mężczyznę. Złożyła na to dowód. On jednak wciąż traktował ją jak dziecko. Dlaczego? Przecież kochali się już ze sobą. Dlaczego wycofał się, gdy próbowała się do niego zbliżyć? Dlaczego ignorował jej miłość?

Ruszyła z nim w dalszą drogę, nie mogąc zrobić nic, by zmienić tę sytuację. W końcu odkryła, że to ona stała się inna, a on nie, i że on nie zdaje sobie z tego sprawy,

w każdym razie nie w pełni. Był naiwny. Zaczął podróż z dzieckiem i uważał, że nadal wędruje z dzieckiem. Najwyraźniej nie pojął tego, co wydarzyło się na Nowej Krecie i w jego oczach ona zawsze będzie małą dziewczynką.

Gdy już zaczynała się przyzwyczajać do tej sytuacji, zaskoczyła ją uzbrojona banda, która sprowadziła ją tutaj. Z początku myślała, że Var nie żyje, lecz potem dowiedziała się, iż to on sprowadził tych ludzi. Jej wściekłość trwała tygodniami.

Wreszcie przyszło jej do głowy, że z tego głupiego czyścica wyjdzie w jego oczach jako kobieta. Chciał, by się tu znalazła, żeby móc wreszcie uznać zmianę, która już się odbyła, i wręczyć jej bransoletę z całą powagą.

To zmieniło jej stosunek do szkoły. Odkryła, że można tu zdobyć cenne wykształcenie. Nauczycielki były surowe lecz uczciwe i wiedziały wiele mądrych rzeczy. Soli udoskonaliła swą umiejętność czytania znaków i opanowała wiele innych dziedzin wiedzy, z których istnienia nie zdawała sobie przedtem sprawy. Stała się też mistrzynią kobiecych sztuczek, zdolnych omotać i zauroczyć niemal każdego mężczyznę. Była to sztuka walki równie skomplikowana jak ta, w której używano broni, a korzystając z niej można było osiągnąć równie wiele.

Na Vara czekało zatem kilka niespodzianek.

Teraz, wbrew jej woli, zaręczono ją z cesarzem Ts'in. Nie było wątpliwości, że to korzystny związek. Samo imię cesarza wywodziło się od dynastii, która założyła to królestwo na tysiąclecia przed Wybuchem. Tak przynajmniej głosiły oficjalne legendy. Soli dowiedziała się jednak, kim Ts'in był naprawdę: napuszonym, aroganckim książątkiem w średnim wieku, który miał to niezwykle szczęście, że jego lojalny doradca był genialnym strategiem. Dzięki temu Ts'in mógł zaspokajać swój pociąg do coraz młodszych dziewczęcych ciał, podczas gdy jego po mistrzowsku zarządzane imperium stale się rozszerzało. Wiele kobiet czuło się zaszczyconych, gdy spoczęło na nich oko Ts'ina, dzięki czemu mogły się przyłączyć do jego luksusowego haremu. Soli do nich nie należała. Już dawno wybrała sobie swojego mężczyznę, a niełatwo zmieniała zdanie.

Pozostało jednak pytanie, jak pokrzyżować plany cesarza i jednocześnie zdobyć Vara. Była pewna, że potrafi zrobić każdą z tych rzeczy, ale nie obie jednocześnie.

Var w końcu przyszedł po nią, na krótko przed końcem nauki, lecz, jak to mężczyzna, wszystko popsuł. Próbował wspiąć się do niej po murze i żołnierze Ts'ina złapali go, przesłuchali i deportowali. Gdyby byli pewni jego zamiarów, mogliby go wyka-

strować. Prosiła przełożoną, by wstawiła się za nim i ta surowa, lecz dobra i odważna kobieta zrobiła to. Varowi dano pieniądze i wypuszczono bez szkody w innej okolicy. Był na razie bezpieczny, o ile znów nie zrobi czegoś głupiego.

Tym niemniej Soli spała niespokojnie. Sytuacja nie była rozwiązana jak należy i wiele rzeczy mogło pójść źle. Nie zdecydowała jeszcze, jak poradzić sobie z Ts'inem. Gdyby mu odmówiła, mógłby ją uprowadzić, zgwałcić i zamordować. Cesarz słyszał z podobnych wyczynów, zwłaszcza wtedy, gdy urażono jego dumę. Szkoła również by ucierpiała, być może poważnie. Bezpośrednia odmowa nie była zatem właściwym rozwiązaniem.

A gdyby zapewniła Ts'inowi bajeczną noc poślubną, a potem uraczyła go łzawą opowieścią o niespełnionej miłości? Można by osiągnąć cuda, łechcąc jego próżność i manię wielkości.

Tak, ten pomysł z początku wydawał się najlepszy. Gdyby ów plan zawiódł, zawsze mogła uciec, odczekawszy rozsądny okres, by wina nie spadła na szkołę. Potem odszuka Vara i zmusi go do kapitulacji.

Z tym że... nie miała pewności co do Vara. Oczywiście mogła obudzić w nim męzczyznę, co do tego nie było wątpliwości. Nie miała jednak zaufania do jego zdrowego rozsądku. Nie mogła być pewna, że nie popełni żadnego szaleństwa. Mógł przeżyć atak spóźnionej zazdrości, który skłoni go do kolejnego niezdarnego posunięcia przeciw Ts'inowi, lub nawet powrotu do szkoły przed dniem zakończenia nauki. Var nie był zbyt rozgarnięty i potrafił być nedorzecznie uparty. Próba stawienia oporu Minosowi była niewątpliwie szaleństwem.

Lecz, rzecz jasna, za to właśnie go kochała.

Być może popełniła błąd, namawiając go na poszukiwanie chińskiego Helikonu. On gdzieś istniał, lecz najwyraźniej nie znajdował się nigdzie blisko. Prawdopodobnie miejscowi mieszkańcy podziemi byli ukryci równie dobrze, jak ci w Ameryce. Poszukiwania byłyby więc bardzo trudne. Nie to jednak było jej celem. Chciała dać Varowi odpowiednie zadanie, w którym mogłaby brać udział zanim dorośnie.

Zastanowiła się, co się stało z jej ojcem i Bezimiennym? Czy w końcu zrezygnowali z pościgu? Wątpiła w to. Gdy tylko odzyska Vara, będzie musiała zorganizować pojednanie. Ucieczka od Solą sprawiła jej ból, wiedziała jednak, że nie mogła wrócić

z nim do Helikonu. Najważniejsze było nie stracić z oczu Vara. Sol był mężczyzną jej dzieciństwa. Var miał się stać mężczyzną jej życia.

Myśl o Helikonie przypomiała jej jednak Sosę — jedyną matkę, jaką pamiętała. Pod pewnymi względami jej utrata była jeszcze gorsza niż rozstanie z Solem. Co robiła teraz ta mała, dumna kobieta? Czy pogodziła się z nieobecnością zarówno męża, jak i córki? Soli wątpiła w to i ta myśl sprawiła jej ból. W końcu jej wspomnienia, obawy i przypuszczenia uciszyły się i Soli zasnęła.

* * *

Ts'in był tęższy niż jej mówiono. Wręcz tłusty! W rysach jego twarzy były ślady świadczące, iż w młodości był przystojnym mężczyzną, lecz ta młodość już dawno minęła. Nawet jego wspaniałe szaty nie mogły sprawić, by wyglądał pociągająco.

Soli widziała go przez chwilę, gdy patrzyła przez frontowe okno w dniu zakończenia nauki. Dokonywał przeglądu swych oddziałów. Nie chciał mu się nawet podnieść z pluszowego siedzenia w otwartym samochodzie. Soli zwątpiła nagle w swą zdolność

zagrania na jego uczuciach. Sprawiał wrażenie zbyt tępego prymitywa, by mogła na niego wpłynąć byle dziewczyna.

Zjadła szybko śniadanie i dokonała toalety. Najpierw ciepły prysznic, a potem nudne, skrupulatne zakładanie strojów, warstwa po warstwie. Wreszcie czesanie włosów, by stały się lśniące, piłowanie paznokci i makijaż. Gdy cały ten proces przemieniający dziewczynę w damę dobiegł końca, dokładnie przyjrzała się sobie w lustrze.

Ujrzała wielobarwne stworzenie ozdobione spódnicami, falbanami, paciorkami i błyskotkami. Wymyślne pantofle sprawiały, że jej stopy wydawały się maleńkie. Twarz pod rozłożystym kapeluszem miała tajemniczy wyraz. Żadna kobieta w Ameryce nie nosiła podobnego ubrania, nie można było jednak powiedzieć, by Soli wyglądała nieatrakcyjnie.

Ceremonia zakończenia szkoły odbyła się ściśle według planu. Trzydzieści pięć dziewcząt otrzymało dyplomy i ruszyło gęsiego drobnymi kroczkami na dziedziniec, gdzie oczekiwali na nie krewni. Soli szła ostatnia. Było to honorowe miejsce podkreślające fakt, że dziewczęta występujące przed nią nie przyciągnęły większej uwagi. Stało się tak częściowo z tego powodu, że była jedyną przedstawicielką swej rasy, ale przede

wszystkim dlatego, że pomimo zaledwie trzynastu lat była piękna. Wiedziała o tym, ponieważ ta wiedza mogła przynieść jej korzyść. Potrafiła też odpowiednio to zaprezentować. Nie otrzymałaby dyplomu, gdyby było inaczej.

Ts'in czekał na nią, otoczony swymi oficerami. Wyglądał olśniewająco w wojskowym mundurze ozdobionym medalami i szarfami. Gdyby miał mniejszy brzuch, mogłoby zabraknąć miejsca dla wszystkich tych dekoracji. Nie nosił jednak złotej bransolety, a to było najważniejsze.

Uśmiechnęła się do niego, zwracając na chwilę twarz ku słońcu tak, by jej oczy i zęby błysnęły w jego świetle. Następnie podeszła do Ts'ina, poruszając ciałem w taki sposób, że jej piersi i biodra wydały się bardziej wydatne, a talia szczuplejsza. Wzięła go za ręce.

Dawała zebrany przedstawić, za które zapłacił cesarz. Musiała błyszczeć, by udowodnić, że dobrze ją wyszkolono. Pozory były wszystkim.

Ts'in odwrócił się i Soli wykonała ten ruch razem z nim, jakby byli jedną osobą. Oboje ruszyli do samochodu.

Ludzie tłoczyli się za kordonem strażników, pragnąc rzucić choć jedno zazdrosne spojrzenie na cesarza i jego śliczną narzeczoną. Większość stanowili miejscowi, którzy nie byli poddanymi Ts'ina. Na pewno jednak zdawali sobie sprawę, że jutro czy w przyszłym roku mogą z łatwością stać się nimi. To wzmagало ciekawość. Niektórzy przybyli na tę uroczystość z bardzo daleka. Rzucała się w oczy nieobecność żołnierzy władcy tego księstwa, który nie chciał najmniejszego zatargu z Ts'inem.

W pobliżu wytwornego samochodu stał posępny mężczyzna w długim płaszczu. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Przyjrzała mu się bliżej. . .

— Sol! — szepnęła.

Widok ojca, tak niespodziewany po upływie pięciu lat i pokonaniu tysięcy mil, wywarł na niej druzgocące wrażenie. Ostatni raz widziała go w Helikonie, lecz nigdy nie mogłaby zapomnieć jego drogiej twarzy.

Ts'in usłyszał jej okrzyk i podążył wzrokiem w kierunku, w którym patrzyła.

— Kim jest ten człowiek? — zapytał.

Żołnierze odwrócili się natychmiast w stronę Solą i chwycili go. Jego ręce stały się widoczne i. . . Sol ujrzała, że brak mu palca u lewej ręki.

Najpierw poczuła szok, a potem wściekłość. Sprzedali jej ojca jako gladiatora! Choć nie było po temu powodów, obciążyła całą winą Ts'ina.

Zadała mu cios, używając techniki, której nauczyła ją Sosa. Ts'in wciągnął powietrze i zachwiał się na nogach, kompletnie zaskoczony. Żołnierze odbezpieczyli karabiny. Sol wyrwał się gwałtownie rozrzucając trzymających to żołnierzy na boki. W jego rękę pojawił się miecz. Skoczył naprzód i stanął przy Soli, przystawiając ostrze do gardła zsiniałego Ts'ina.

Zdumieni gapie przerwali kordon. Soli ujrzała obniżające się karabiny i pojęła, że Sol zginie bez względu na to, co uczyni. Było zbyt wielu żołnierzy i zbyt wiele karabinów. W zamieszaniu ktoś strzeli, choćby nawet miało to kosztować życie cesarza.

Wtedy z tłumu wynurzyły się groteskowe postacie, które zaczęły ciskać żołnierzami na wszystkie strony. Byli to gladiatorzy, którzy mogli wreszcie pomścić swe krzywdy. Głodne tygrysy nie wywołałyby większego spustoszenia! Po chwili żołnierze stojący najbliżej samochodu zostali obezwładnieni. Kilku z nich zdążyło wystrzelić, lecz niecelnie.

Sol odepchnął brutalnie Ts'ina, objął Soli, podniósł ją w górę i wsadził do samochodu. Jakiś olbrzym jednym ruchem ręki wyrzucił złapanego za kołnierz szofera i wskoczył na jego miejsce. Silnik ryknął. Jeszcze dwóch olbrzymich mężczyzn wsiadło do pojazdu, który zatrzęsł się pod ich ciężarem. Podnieśli w górę lśniące, zakrzywione miecze i wymachiwali nimi, by odstraszyć innych intruzów. Gdy samochód ugrzązł w otaczającym ich tłumie, ta dwójka wyskoczyła na zewnątrz i zaczęła odpychać gapiów z drogi. Działali tak szybko, że zdezorientowani ludzie Ts'ina nie mogli im w niczym przeszkodzić.

Soli siedziała bez ruchu, przyglądając się temu wszystkiemu. Nagle rozpoznała kierowcę. To był Bezimienny, człowiek, który poprzysiągł zabić Vara!

Rozległy się strzały i krzyki. Żołnierze otrząsnęli się wreszcie z zaskoczenia. Tłum był jednak tak gęsty, że kule trafiały tylko niewinnych ludzi. W końcu samochód wydostał się z ciżby i ruszył szybko drogą. Soli sądziła, że ten wehikuł był tylko od parady, okazało się jednak, że jest to w pełni sprawna maszyna.

— Mam nadzieję, że Varowi się uda — powiedział Bezimienny, oglądając się za siebie.

— Varowi? — zapytała, wstrzymując oddech. — Znaleźliście Vara?

— To on nas znalazł, uwolnił i sprowadził tutaj. Byliśmy... — pokazał jej kikut swego palca.

— Czy nie... walczyliście za sobą? Ty i Var?

Najwyraźniej nie walczyli.

— Czy pragniesz z nim wędrować? — zapytał tamten zamiast odpowiedzi.

Zadała sobie pytanie, dlaczego Bezimiennego miałyby obchodzić, co czuje do Vara, odpowiedziała jednak:

— Tak.

Samochód gnał prosto na północ.

20

Var, poderwany do działania przez odgłos strzałów, uruchomił ciężarówkę i zaczął przedzierać się przez tłum. Jeśli Soli została ranna, przejedzie cesarza!

Nagle ujrzał, że samochód z Wodzem za kierownicą wyrwał się na zewnątrz. Siedziała w nim Soli, Sol i dwóch gladiatorów. Udało się!

Żołnierze jednak zbierali się już i obniżali karabiny. Var dodał gazu, skręcił i pomknął pomiędzy nimi a uciekającym samochodem, uniemożliwiając im celowanie. Jacyś ludzie skoczyli ku ciężarówce. Var przyhamował rozpoznając dwóch muskularnych gladiatorów. Umożliwił im wdrapanie się na skrzynię, po czym ruszył pełnym gazem.

Za nimi nie było jednak następnych samochodów, które utrudniałyby żołnierzom celowanie. Zagwizdały kule. Opony pękły z hukiem, lecz Var jechał uparcie naprzód, wiedząc, że jeśli zatrzyma się, wszyscy trzej będą zgubieni.

Nagle poczuł luz w kierownicy. Silnik zwolnił i zaczął przerywać. Var nacisnął sprzęgło, zwiększył obroty i odzyskał panowanie nad maszyną. Ciężarówka kołysała się i warczała z wysiłkiem, jednak mimo podziurawionych opon jechała dalej.

Lecz nie dość szybko. Choć żołnierze zostali z tyłu, a pagórek na drodze osłaniał ciężarówkę przed ich ogniem, to inne samochody dościgną ich za kilka minut.

— Będziemy musieli uciekać! — krzyknął Var, gdy silnik wreszcie przegrzał się i zgasł.

Wyskoczyli z pojazdu i biegli do lasu, gdy pojawił się pierwszy ścigający ich samochód. Znow rozległy się strzały. Żołnierze ostrzeliwali ciężarówkę, nie wiedząc, że jest pusta.

Var i dwaj gladiatorzy nie przestawali uciekać. Zdawali sobie sprawę, że ludzie cesarza wkrótce znajdą ich trop. Sam potrafiłby z łatwością zmylić pogoń, gdyż las był jego drugim domem, a ponadto mógł ukryć się w Złym Kraju, lecz tamci dwaj, bez

względu na ich zręczność w walce, tutaj byli zbyt ciężcy i niezgrabni. Jeśli szybko się nie rozstaną, koniec mógł być tylko jeden.

Var mógłby umknąć gladiatorom bez większych trudności. Czy jednak byłoby to uczciwe? Pomogli mu uwolnić Soli z narażeniem własnego życia, a jeden z nich został ranny podczas tej akcji. Z drugiej strony on wcześniej uwolnił ich. Kto zatem miał zobowiązanie wobec kogo? Var znów miał problem, którego nie mógł rozstrzygnąć bez pomocy Soli.

— Odwdzięczyliśmy ci się już — wydyszał jeden z gladiatorów. — Możemy teraz ukryć się wśród naszych współplemieńców, czego ty nie możesz zrobić. W przeciwnym razie wszyscy zginiemy, gdyż Ts'in nie zna litości.

— Tak — zgodził się Var. — Nie jesteście już mi nic winni. To uczciwe rozwiązanie. Gladiator skinął głową ze smutkiem.

— Żałujemy tego, ale tak musi być. . .

Tamci myśleli, że Var zginie, jeśli go opuszczą! Cała trójka przez przypadek omal nie ściągnęła sobie na głowę zagłady!

— To uczciwe. Idźcie swoją drogą — powtórzył Var. Pozdrowił ich uniesioną dłonią i zniknął w głuszy.

Gdy był już bezpieczny, mógł pomyśleć o pozostałych. Soli, jej ojciec oraz Wódz pojechali na północ. Czy zdołają prześcignąć ludzi cesarza i uciec przed nimi, a jeśli tak, to czy on potrafi ich odnaleźć?

Czy zresztą pozwolą mu na to? Sol połączył się wreszcie z córką, po tym, jak Var rozdzielił ich na tyle długich lat. Mogli wrócić do domu, do Ameryki. Nie był im potrzebny pokraczny mutant. Kto wie, czy w ogóle zechcą się z nim spotkać? Cóż mógł dla nich zrobić? Co najwyżej spróbować ponownie odebrać im Soli.

Gdyby ona miała na to ochotę. Var wątpił jednak, by tak było. Obraziła się na niego, gdy umieścił ją w szkole i od tej pory, gdy czasami spotykał się z nią w cztery oczy, okazywała mu chłód. Miała też szansę na znakomite małżeństwo, a Var jej wszystko zepsuł. Teraz była ze swym ojcem, mężczyzną więcej wartym od niego. Z pewnością zostanie z Solem, albo wróci do cesarza Ts'ina.

Postąpiłby rozsądnie, gdyby ukrył się w Złym Kraju i pozwolił jej odjechać swoją drogą.

Zawrócił z powrotem na szosę, przeczuwając, że nikt nie będzie próbował szukać go w tym miejscu i ruszył truchtem na północ, w kierunku, w którym odjechał samochód. Na szczęście nigdy nie postępował rozsądnie.

Od czasu do czasu mijał go jakiś pojazd i Var krył się w rowie. Potem wracał na drogę i kontynuował swój samotny bieg. Prędzej czy później doścignie samochód, Ts'ina, lub, jeśli go porzucili, odkryje ich ślad, a wtedy. . .

Na południe gnała kolejna ciężarówka. Var skoczył do rowu. Wiatr przywiał od niej zapach kurzu połączony z wonią oparów benzyny, gnoju. . . i perfum Soli.

Wpadł na drogę z krzykiem. Albo złapali ją już ludzie Ts'ina, albo. . .

Ciężarówka zatrzymała się. Soli wyszła z niej i dygnęła przed nim dystyngowanym ruchem. Wyglądała nieprawdopodobnie wytwornie. Var oniemiał.

— Właż, ty parszywy idioto! — wrzasnęła ile tchu w płucach. — Wiedziałam, że się zgubisz.

Tak więc po raz pierwszy cała czwórka była razem: Var, Soli, Sol i Wódz. Dwaj pozostali gladiatorzy również odeszli.

— Teraz musimy zaplanować ucieczkę — powiedział Wódz nadal siedzący za kierownicą. — Drogi będą zablokowane. Raż udało się nam ich oszukać, gdy zawróciliśmy w innym samochodzie, ale drugi raz to się nie uda. Wkrótce będziemy musieli się ukryć, a będą nas ścigać do upadłego. Ts'in nie jest człowiekiem, który łatwo rezygnuje, a ten jego generał rzeczywiście potrafi myśleć. Na pewno poniesiemy straty. Należy się liczyć z tym, że co najmniej pięćdziesiąt procent.

Var nie rozumiał tego terminu.

— Ile?

— Dwoje z nas musi zginąć.

Var spojrział na Soli, która siedziała na kolanach Solą, pomiędzy Varem a Wodzem. Jej elegancka fryzura była nietknięta. Var nigdy nie widział tak pięknej i wyniosłej damy. Kontrast pomiędzy nią a pozostałymi, brudnymi i nie ogolonymi mężczyznami, był uderzający. Jak wielki wpływ wywarła na nią szkoła!

I jak bardzo oddaliła się od niego! Jego marzenia były śmieszne. Nie potrzebowała go. Znowu była ze swym ojcem. Pościg się skończył i Var stał się zbyteczny. Wrócili, by go zabrać, tylko ze zwykłej uprzejmości, nic więcej.

— Spędziłeś tu rok, Var — odezwał się Wódz. Znasz tę okolicę. Jaka jest najlepsza droga ucieczki i gdzie moglibyśmy się bronić, jeśli nas dościgną?

Var zastanowił się.

— Na południu są niziny. To terytorium Ts'ina. Na wschodzie i na zachodzie góry, przez które nie prowadzą żadne drogi, ale moglibyśmy pokonać którąś z przełęczy na piechotę. Z tym, że psy. . . — urwał zdając sobie sprawę, że nie mogą porzucić samochodu. — Na północ byłoby najlepiej, ale. . . Zrozumiał, w jakim są położeniu. Podejrzewał, że Wódz już o tym wiedział. Daleko na północy rozciągała się dzika kraina, gdzie pościg nie miał żadnych szans. Tamtejsze wolne plemiona zajadłe broniły się przed jakąkolwiek cywilizacją. Żołnierze Ts'ina zostaliby natychmiast wybici do nogi, natomiast mała grupka uciekinierów mogła przejść niepokojona. Była to dla nich pomyślna sytuacja. Od tych terenów oddzielały ich jednak ogromne Złe Kraje. Siedliska Rentgenów ciągnęły się setkami mil na wschód i na zachód, tworząc nieprzekraczalną barierę między cywilizowanymi mieszkańcami południa, a barbarzyńskimi plemionami pomocy.

Biegła tamtędy tylko jedna bezpieczna droga, ale blokowała ją dobrze umocniona i obsadzona twierdza. Var i Soli musieli zapłacić myto, gdy mijali ją idąc na południe. Twierdza należała do jakiegoś udzielnego księcia, który był jednak sojusznikiem Ts'ina.

— Myślę, że będziemy musieli przedostać się przełęczą pomiędzy Złymi Krajami — oznajmił Wódz.

Nikt się nie odezwał. Było oczywiste, że nie jest to możliwe.

— Gdy byłem gladiatorem — ciągnął Bezimienny — zastanawiałem się, w jaki sposób pół tuzina śmiałych ludzi mogłoby obezwładnić garnizon i opanować przełęcz.

— Ale nas jest tylko czworo! — zaprotestował Var. Wiedział jednak, że nawet setka ludzi nie mogłaby tego dokonać. W przeszłości ta forteca powstrzymywała całe armie barbarzyńców.

Bezimienny wzruszył ramionami, nie odzywając się więcej. Gdy mijali inne pojazdy, pozostali pochylali się, by nie przyciągać niczyjej uwagi. W odpowiednim momencie Wódz zboczył z głównej drogi, wjeżdżając na obszar Złego Kraju.

— Ostrzegaj mnie — polecił Varowi.

Var usłuchał rozkazu. Wódz zatrzymywał się natychmiast i wycofywał, gdy tylko Var poczuł dotyk Rentgenów. Potem stanął.

— Teraz znajdź kamień oblepiony Rentgenami. Potrzebujemy trochę takich kamieni. Nie dotykaj ich, rzecz jasna, tylko je wskaż — powiedział, uśmiechając się tajemniczo.

Tak też zrobili. Var odnalazł kilka sporych, mocno promieniotwórczych głazów. Załadowali je na tył ciężarówki za pomocą sznura i kija. Soli spoglądała na nich z troską. Była zaniepokojona. Var zgadzał się z nią w duchu. To była niebezpieczna robota, która nie przynosiła widocznego pożytku, a ponadto pochłaniała czas, który lepiej byłoby wykorzystać na ucieczkę przed oddziałami Ts'ina.

Następnie z ziemi i czystych kamieni zbudowali za tylną ścianą kabiny osłonę zabezpieczającą przed promieniowaniem. Na koniec włali do baku resztę benzyny z zapasowych kanistrów, po czym ruszyli w stronę przełęczy.

— Teraz zaczyna się najtrudniejsza część — oznajmił Wódz, gdy posuwali się w górę po krętej drodze. W twierdzy mają liczniki Geigera i możemy być pewni, że bardzo wystrzegają się promieniowania. Podobno służba tam uchodzi za wyjątkowo trudną,

a żołnierzy zmienia się często, by w ich genach nie zaszły mutacje, ani nie ulegli chorobie popromiennej.

— Ci ludzie na pewno przestraszą się promieniowania, gdy nagle zostaną nim otoczeni — ciągnął Wódz.

— Nic dziwnego — wtrąciła się Soli. — To straszna śmierć. Ugryzłam się ze trzy razy w język, kiedy patrzyłam, jak bawicie się tymi kamieniami.

Var przypomniał sobie przygodę, jaka miał Wódz z Rentgenami dawno temu w Złym Kraju, w Ameryce. Dziwił się, że Nieuzbrojony o tym zapomniał, ale zaczął też dostrzegać sens ich działania. Jechali ciężarówką pełną grozy. . .

— Użyjemy tego, by ich przepędzić — oznajmił Wódz. — Nie będą nawet strzelać, ponieważ to rozpyliłoby Rentgeny. Wycofają się. Będą musieli.

— Dlaczego mieliby się bać kamieni ukrytych w ciężarówce? — zapytał Var.

— Nie zostaną w ciężarówce. Wrzucimy je do twierdzy.

Var był wstrząśnięty i przerażony. Wiedział, że pozostali czują to samo.

— Zaniesiemy?

— Dwóch ludzi może wykonać to zadanie, a potem bronić przełęczy przez wiele godzin. Dzięki temu pozostała dwójka będzie mogła dotrzeć na dzikie tereny, a potem na wybrzeże i . .

— Nie! — wykrzyknęli razem Var i Soli.

— Wspominałem o pięćdziesięciu procentach strat — odparł Bezimienny. — Zdaje się, że cywilizowane życie rozpuściło was, młodych. Czy może macie jakieś złudzenia co do tego, co się stanie, jeśli wpadniemy teraz w ręce Ts'ina? Z pewnością to nastąpi, jeżeli natychmiast nie opuścimy tego kraju. Na pewno już rozpoczął się pościg, o jakim nikt dotąd nie słyszał.

Var wiedział, że Wódz ma rację. Musieli przedostać się przez przełęcz, a nie mogli tego zrobić podstępem. Wieści o nich na pewno już tam dotarły. Tych żołnierzy nie wzruszy żadna prośba i nie ulęką się groźby bez pokrycia. Nie mogło ich wyprzeć stamtąd nic oprócz artylerii. . . lub promieniowania.

— Kto ucieknie? — zapytała Soli cichym głosem.

— Ty — odparł szorstko Wódz — i ktoś, kto będzie cię strzegł.

— Kto? — zapytała ponownie łamiącym się głosem.

— Ktoś ci bliski. Ktoś, komu ufasz. Ktoś, kogo kochasz. . . — nastąpiła krótka przerwa. — Nie ja.

Var zrozumiał, że pozostało dwóch: on i Sol. Wiedział, co trzeba powiedzieć:

— Jej ojciec.

— Sol — rzekł szybko Wódz.

Sol nie powiedział nic, gdyż nie mógł mówić.

Tak więc decyzja zapadła. Vara przeszył chłód. Wiedział, że umrze i to nie szybko. Jego skóra ostrzegała go przed promieniowaniem, lecz poza tym nie stanowiła żadnej ochrony. Bronił się przed Rentgenami w ten sposób, że ich unikał, podczas gdy inni nieświadomie skazywali się na śmierć. Kiedy dotknie jednego z tych kamieni, ten najpierw go oparzy, a potem. . .

Mimo to czuł jednak posępną satysfakcję. Nigdy nie prosił o nic więcej, niż o prawo do tego, by żyć i umrzeć u boku Wodza. Teraz będzie mógł to zrobić. Soli zostanie uratowana, a Sol będzie jej strzegł, tak jak niegdyś. Wróć do Ameryki — kraju, w którym obowiązywał swojski Kodeks Kręgu. Var poczuł straszliwą tęsknotę za ojczyzną, za honorem i walką, a nawet za zwariowanymi Odmieńcami.

Najważniejsze, że Soli będzie bezpieczna, szczęśliwa i będzie miała dom. To właśnie starał się dla niej zdobyć. Bezpieczny, szczęśliwy dom. . .

Umrze myśląc o niej i kochając ją.

Ich oczom ukazała się twierdza. Drogę przegradzała żelazna krata. Gdy ciężarówka zatrzymała się przed nią, z tyłu opadła druga, poruszana hałaśliwym kołowrotem.

— Wysiadać! — rozkazał strażnik z wewnętrznej wieżyczki.

Cała czwórka opuściła ciężarówkę i ustawiła się w szeregu obok niej.

— To ta dziewczyna! — krzyknął żołnierz. Małżonka Ts'ina, cudzoziemska ślicznotka!

Wódz odwrócił się. W jego ręku pojawił się łuk. Strzała ze świstem pomknęła w górę. Strażnik na wieżyczce bez jęku runął na ziemię. Pocisk przebił mu gardło.

Nadszedł czas, by wydobyć kamienie. Var ruszył ku Tyłowi ciężarówki, przygotowując się w duchu na ból oparzeń, lecz nagle olbrzymia dłoń Wodza opadła na jego ramię. Zdumiony i zaskoczony Var zachwiał się na nogach, po czym został pociągnięty z powrotem.

W tej samej chwili Sol odwrócił się błyskawicznie w stronę córki, złapał ją za prawe ramię i podniósł je przed sobą w górę. Soli i Var spojrzeli sobie w oczy. Dłoń Wódza opadła na nadgarstek Vara i zerwała z niego bransoletę. Sol wyciągnął wolną rękę, wziął od Bezimiennego złoty przedmiot, założył go na nadgarstek Soli i zacisnął mocno. Potem Wódz i Sol wypuścili Vara i Soli, i popchnęli ich tak mocno ku sobie, że oboje musieli się objąć, aby się nie przewrócić.

Gdy odzyskali równowagę i uwolnili się z objęć, ujrzeli, że Sol i Bezimienny wyładują już śmiertelne kamienie. Chwilę potem skoczyli ku kracie i szybko wspięli się na nią niosąc głazy zawinięte w płaszcz. Gdy pozostali strażnicy odkryli, co się stało, napastnicy byli już na szczycie.

Wódz wrzucił jeden z kamieni do wartowni.

— Słuchajcie tego! — ryknął.

Var usłyszał gorączkowy terkot tykających skrzynek oraz okrzyki zdumienia i strachu. Wódz cisnął kolejny kamień w inne miejsce twierdzy, a następnie złapał za korbę i zaczął podnosić przednią kratę. Var ujrzał opuszczające się przeciwwagi i otwierającą się przed nimi drogę.

— Ruszaj! — krzyknął do niego Wódz. Var posłuchał go bez zastanowienia. Wdrapał się na miejsce kierowcy. Soli usiadła obok niego. Silnik przez cały czas pracował. Dopiero teraz Var zdał sobie sprawę, że Wódz zaplanował to wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Gdy przejście się otworzyło, Var ruszył naprzód. Dach kabiny otarł się ze zgrzytem o brzeg kraty i byli wolni.

Gdy zaczęli zjeżdżać z północnego zbocza, rozległ się huk walącego się na ziemię żelastwa. Wódz przeciął linę przeciwwagi strącając kratę i blokując drogę pościgowi.

Gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości od przełęczy, Var zatrzymał ciężarówkę.

— To nie jest w porządku — powiedział, jakby budząc się ze snu. — To ja powinienem tam zostać. . .

— Nie — odparła. — Oni chcieli, by tak się stało.

— Ależ, Soli. . .

— Jestem Vara.

Var spojrział na złotą bransoletę na jej nadgarstku, zdając sobie sprawę, co ona oznacza.

— Aleja nie. . .

— Owszem, tak — odparła udając, że źle go zrozumiała. — Na Nowej Krecie, w jaskini Minosa. Dziś w nocy zrobisz to samo, mam nadzieję, że bardziej umiejętnie. A potem wrócimy do Ameryki i powiemy tam to, czego się dowiedzieliśmy: że mamy najlepszy system społeczny na świecie i nie wolno go zniszczyć przez stworzenie Imperium. Helikon trzeba odbudować, koczownicy muszą się rozproszyć, a używania broni palnej należy zabronić. Wrócimy na terytorium Odmieńców i powiemy im to, mój mężu.

— Tak — odpowiedział. Wreszcie zrozumiał wszystko dokładnie.

Nagle, przypominając sobie poświęcenie obu swych ojców, Vara oparła się o jego ramię i zaczęła łkać. Znowu stała się małą dziewczynką.

— Zginą razem, jako przyjaciele — rzekł Var.

Choć była to prawda, nie przyniosło im to pociechy.